

# Graham Greene

# Made in England

przełożyła Ewa Życieńska  
Warszawa 1995

*VIVIEN*  
*w dowód długoletniego przywiązania*  
*1925 - 1935 Graham Greene*

## **Część pierwsza**

## I

Czekała jak na kochanka. Trzy kwadranse na tym samym stoiku, odwrócona bokiem do baru, nie spuszczać oczu z wahadłowych drzwi. W głębi, pod szklanym kloszem piętrzyły się sandwicze z szynką i łagodnie parowały czajniki. Kiedy drzwi się rozchyłyły, do środka przenika! dym z parowozów, osiadając piaskiem na skórze i smakiem miedzi na języku. - Jeszcze raz dzin.

To już trzeci. Niech go licho - pomyślała z czułością. Jestem głodna. Wypiła dzin jednym haustem, tak jak zwykło się pić sznapsa „skoal” - teraz jednak nie miała komu powiedzieć „skoal”. Mężczyzna w meloniku postawił stopę na miedzianym wsporniku, oparł się łokciem o bar, pił swoje „jasne”, gadał, pił swoje „jasne”, ocierał wąsy, gadał nie spuszczać z niej oczu.

Patrzyła w hałaśliwą ciemność za okopconą framugą drzwi. W gęstym zatęchłym powietrzu iskry strzelały i gasły; iskry z parowozów, iskry z papierosów, iskry spod kół wózków peronowych dudniących po asfalcie. Jakaś stara zmęczona kobieta pchnęła drzwi i zajrzała do środka; szukała kogoś, kogo tu nie było.

Wstała ze stołka; mężczyzna w meloniku obrzucił ją spojrzeniem, kelnerki przerwały wycieranie naczyń i również zaczęły się jej przyglądać. Ich myśli zabębniły jej po plecach:

Puszcza go kantem? Co też to za jedna? Może ją porzucił? Stała w drzwiach, pozwalając na te domysły; bawiło ją głębokie, milczące zainteresowanie tych ludzi. Popatrzyła przed siebie na sine puste szyny, spojrzała na peron w stronę świateł i kiosków z książkami, po czym zawróciła, podeszła ponownie do swojego stołka i naraz dostrzegła, jak te ich myśli stopiły się w parze nad czajnikami; kelnerki wycierały kieliszki, mężczyzna w meloniku pił swoje „jasne”.

- Wcale nie pada, leje. Weź, na przykład, jedwabne pończochy.
- Jeszcze raz dżin.

Ale tym razem ledwie umoczyła w nim usta, postawiła kieliszek na barze i pośpiesznie zaczęła się malować, jakby dopełniała powinności, o której w zbytnim podnieceniu zapomniała. Teraz, zupełnie już pewna, że on nie przyjdzie, miała przed sobą całą godzinę samotności, żeby pomyśleć o wszystkim, co zaniedbała: o ustach, policzkach, brwiach.

- Niech to wszyscy diabli! - sarknęła. Ołówek rozprysł się. Czubkiem pantofla wgniotła w podłogę odłamany sztyft. - Niech to wszyscy diabli! - powtórzyła, nie zważając, że znów otacza ją obca, nieprzyjazna ciekawość. Zupełnie jakby stłukła lustro - to przynosi pecha. Niezdara. Zachwiało to jej pewnością siebie. Zaczęła się zastanawiać, czy pozna brata, jeśli ten w końcu przyjdzie.

Poznała go od razu po niewielkiej szramie pod lewym okiem: tę okrągłą twarz zawsze wyglądającą tak, jakby swoją świeżość utraciła dopiero dzisiaj, niby twarz zmęczonego dziecka; tę pozorną dobroduszość, w którą nawet obcy by nie uwierzył.

- Przepraszam, że się spóźniłem, fiato. - Wyglądał jak uosobienie skruchy. - To nie z mojej winy. Właściwie... - i natychmiast spochmurniał, przygotowany na to, że i tak mu nie uwierzy. Zresztą po co miałby mu ktoś wierzyć? - pomyślała całując go i gładząc po plecach, żeby się upewnić, że jest, że

naprawdę przyszedł, że są razem. Nie potrafi! otworzyć ust, żeby nie skłamać.

- Wypijesz mój dzin?

Przyglądała się, jak pije go powoli, czując jednocześnie, że jej mózg nieomylnie rejestruje jego niepokój.

- Nie zmieniłeś się.

- Ty za to zmieniłaś się, Kate - odparł. - Jesteś piękniejsza niż kiedykolwiek. - Zawsze ten twój wdzięk, pomyślała, ten twój diabelsko ujmujący wdzięk. - Służy ci dostatek.

Przyjrzała mu się uważniej, szukając na jego ubraniu oznak świadczących, że dla niego te lata nie były tak dostatnie. On jednak zawsze miał jeden przyzwoity garnitur. Wysoki, barczysty, ale szczupły, trochę zniszczony, z tą szramą pod dolną powieką - przyciągał uwagę wszystkich kelnerek na sali.

- Poproszę jasne - ...i już któraś zza baru rzuciła się, aby go obsłużyć. Kate dostrzegła odruchowy uwodzicielski błysk w jego oczach.

- Dokąd pójdziemy coś zjeść? Gdzie masz bagaże? Ostrożnie odwrócił się od baru i jedną ręką poprawił krawat w barwach szkoły. - Właściwie to... - zaczął.

- ...nie jedziesz ze mną - dokończyła z rezygnacją. Na moment zdumiało ją własne głębokie rozczarowanie, bo on przecież czuł się tu jak u siebie, w tym lokalu, wśród tego dymu kłębiącego się za drzwiami, tego odoru zwietrzałego piwa, tego „Guinness to jest to” albo „Spróbuj Warthingtona” - miał w sobie taką samą, wyzywającą, miałą brawurę reklam,

- Skąd wiesz?

- Och, ja zawsze wiem.

Była to prawda, Kate zawsze wiedziała; starsza od niego o pół godziny, myślała czasem ze wstydem, że wyprzedzając go w czasie tak niewiele, pierwsza zagarnęła cnoty należne bardziej mężczyźnie: odpowiedzialność i aktywność, zostawiając mu to, co na ogół bardziej przydatne jest kobiecie - wdzięk.

- A więc nie dają ci tej pracy w Sztokholmie?

Zwrócił się do niej cały rozpromieniony; ściskając oburącz (zauważyła, że jego rękawiczki domagają się prania) rączkę parasola, plecami opierał się o bar i spoglądał na nią z promiennym uśmiechem. Zdawało się, że mówi: „Pogratuluj mi”, przesuwając po niej znajome spojrzenie tych swoich uśmiechniętych, rozbieganych oczu, niby światła samochodu z drugiej ręki, zwodniczo na nowo odmalowanego i wypucowanego, żeby wyglądał jak nowy. Każdy prócz niej uwierzyłby, że przynajmniej raz dokonał czegoś nadzwyczaj sprytnego.

- Złożyłem rezygnację.

Ona jednak zbyt często słyszała tę bajeczkę. Jej fatalne brzmienie co roku raniło uszy ich ojca, przyczyniając się do jego śmierci. Nie był w stanie podnieść słuchawki telefonu bez niepokoju... „Złożyłem rezygnację, złożyłem rezygnację” -dumnie, jak gdyby był to fakt zasługujący na uznanie... A później depesze ze Wschodu, otwierane drżącymi rękami: „Złożyłem rezygnację” - z Szanghaju, „Złożyłem rezygnację” -z Bangkoku, „Złożyłem rezygnację” - z Adenu, bezlitośnie coraz bliżej i bliżej. Ojciec do końca wierzył bez zastrzeżeń tym telegramom, podpisywanym z odrobiną pozerstwa imieniem i nazwiskiem „Anthony Farrant” - nawet do krewnych. Ale Kate wiedziała więcej; odczytywała z tych lekkomyślnych kartek: „Wyrzucony. Wyrzucono mnie. Wyrzucono”.

- Wyjdźmy - zaproponowała. Byłoby nieszlachetnie poniżać go przy kelnerkach. I znów uzmysłowiła sobie obce nasłuchiwanie w głębokiej ciszy. Czowała na sobie oczy obserwujące ich wyjście. Na odległym końcu peronu zaczęła go wypytywać: - Ile masz pieniędzy?

- Ani grosza.

- Dostałeś przecież tygodniową wypłatę. Wymówiłeś im chyba na tydzień naprzód.

-Właściwie to ... - zaczął przybierając teatralną pozę na tym zadymionym stalowoszarym tle, w świetle zielonego

sygnału zapalonego dla ekspresu „Wschodnie Wybrzeże”  
-...odszedłem z miejsca. To była sprawa honoru, naprawdę. I tak nie zrozumiałabyś tego.

- Możliwe.

- Poza tym gospodyni będzie mnie trzymać „na kredę”, dopóki nie wpadnie jakaś forsa.

- A jak długo to potrwa?

- Och, zaczepię się gdzieś w ciągu tygodnia.

Można by podziwiać jego odwagę, gdyby nie była taka bezmyślna. Pieniądze - ba, zawsze miał pewność, że skądś się wezmą - i zawsze się brały: jakiś znajomy ze szkoły, zauważywszy na ulicy jego krawat, zatrzymał się i proponował mu pracę; sprzedawał krewnym odkurzacze; potrafiłby przehandlować złotą cegielkę Australijczykowi na Strandzie; w najgorszym razie zawsze pozostawał jeszcze ojciec.

- Zapominasz, że ojciec nie żyje.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Nie mam zamiaru być czyimś pasożytem.

Był zupełnie przekonany, że nigdy na nikim nie „pasożytować. Oczywiście - pożyczął; jego długi u krewnych musiały do tej pory sięgać tysięcy, pozostawały jednak pożyczkami, nie darowizną, pożyczkami, które będzie mógł spłacić pewnego dnia, kiedy jeden z jego planów powiedzie się. Kate, czekając aż przejedzie ekspres, i osłaniając twarz przed dymem, przypomniała sobie parę z tych jego projektów: plan zakupu starej biblioteki powieści, które miały być rozprzedawane po wioskach; wielki projekt wysyłkowy (sklep, który by za dwa pensy od sztuki pakował i rozsyłał upominki gwiazdkowe); patentowany ogrzewacz do rąk (umieszczony w wydrążonej ręczce parasola rozżarzony sztyfcik węgla drzewnego). Wszystkie te projekty w jego ustach brzmiały na pozór solidnie; żadnych rzucających się w oczy uchybień poza tą jedyną fatalną skazą, że były to jego projekty. „Brak mi tylko kapitału” - tłumaczył z entuzjazmem, którego nigdy nie umniejszała świa-



domość, że nikt mu nie zawierzy więcej niż pięć funtów. Potem rzucał się do realizacji tych projektów bez kapitału; podczas weekendów pojawiali się dziwni goście, starsi od niego mężczyźni w takich samych krawatach, z tą samą co on radosną energią, tyle że w ich przypadku wyraźnie przyblakłą. Wreszcie nadchodził kres całej afery i ku powszechnemu zdumieniu z wielostronicowych i skomplikowanych rachunków wynikało, że nie straci! więcej pieniędzy, niż pożyczył. Tłumaczył się wówczas: „Gdybym miał odpowiedni kapitał...”

- ale nie winił nikogo i nikomu długu nie spłacał. Powiększał sumę zadłużenia, lecz nie „pasożytował”.

Twarz ma zadziwiająco młodą jak na trzydzieści trzy lata, myślała Kate. Trochę przywiędła, ale zaledwie tak, jakby ją zwarzył chłodny dzień, jest tak samo niedorośła, jak wówczas, kiedy był uczniakiem. Jakby był nim nadal i wracał właśnie z męczącego meczu piłki nożnej w złą pogodę. Złościł ją jego wygląd, ponieważ mężczyzna powinien kiedyś dorosnąć, ale nie zdołała jeszcze otworzyć ust, żeby mu powiedzieć, co myśli, kiedy znów obudziła się w niej czułość w obliczu tej nonsensownej niewinności. A to dlatego, że on błąkał się bez nadziei w świecie interesów, który ona знаła tak dobrze, w tym świecie, w którym ona czuła się jak u siebie; był przebiegły jak dziecko w świecie przebiegłych mężczyzn, nieuczciwy, ale niewystarczająco nieuczciwy. Dzieląc jego myśli przez trzydzieści lat z górą, czując pulsowanie jego lęków we własnym ciele, zdawała sobie sprawę z jego nieobliczalnych oporów. Były rzeczy, których by nie popełnił. Nagle uświadomiła sobie:

- Na tym polega ta zdumiewająca różnica między nami.

- Słuchaj - powiedziała. - Nie zostawię cię tu bez pieniędzy. Jedziesz ze mną. Erik da ci pracę.

- Nie znam języka. A poza tym...- Pochylił się do przodu, opierając dłonie na rączce parasola z uśmiechem tak niedbałym, jakby miał tysiąc funtów w banku - ... nie lubię cudzoziemców.

- Jesteś zacofany, mój drogi - oburzyła się. - W zakładach takich jak Krogha nie ma cudzoziemców; jesteśmy tam internacjonalistami, nie mamy ojczyzny. Nasze zakłady to nie jakieś staroświeckie biuro w City, od dwustu lat w rekach jednej rodziny.

Czasami wydawało się jej, że oboje kierują się tą samą intuicją, że on natychmiast w jednym przebłysku chwyta jej myśl.

- Ależ, kochanie, może to jest właściwe dla mnie miejsce. Ja też jestem staroświecki - dodał wciąż z tą samą podejrzaną uprzejmością, niepewnie uśmiechnięty, w tym swoim szykownym, jedynym porządnym garniturze. - A ponadto nie mam żadnych referencji.

- Powiedziałeś przecież, że to ty złożyłeś rezygnację.

- No, to było niezupełnie tak.

- Jakbym nie wiedziała. - Zeszli na bok, żeby przepuścić wózek peronowy.

- Jestem diabelnie głodny - oświadczył. - Możesz mi pożyczyć pięć szylingów?

- Jedziesz ze mną - powtórzyła Kate. - Erik da ci pracę. Masz paszport?

- W domu.

- Skoczymy po niego.

Światła wjeżdżającego pociągu padły mu na twarz i z twardą, zdecydowaną czułością mogła obserwować jego wahanie i obawy. Była pewna, że gdyby nie głód, gdyby nie to, że nie miał w kieszeni pięciu szylingów, odmówiłby, ponieważ nie mylił się mówiąc, że on też jest staroświecki: odwieczny kurz Londynu był jego żywiołem, czuł się u siebie w tych kłębach dymu i pary, przy marmurowych stolikach; zręcznie mieląc językiem przy automatach do nalewania piwa; był u siebie w hotelikach wynajmujących pokoje na jedną noc, w biurach gnieźdzących się po suterrenach, w kręgu drobnych matactw, efemerycznych przedsięwzięć, jowialnie zachwalając bezwar-

tościowe akcje. Pomyślała: - Gdybym nie spotkała Erika, byłabym taka sama.

- Poszukamy taksówki - powiedziała.

Patrzył przez szybę na sklepy rowerowe z Euston Road; w światłach elektrycznych za witryną pełną trąbek sygnałowych, szprych i puszek gumy arabskiej połyskiwała jesień, osuwając się w zimę, w miarę jak te światła gaszono i zabierano rowery na noc do środka.

- Och - westchnął - jak dobrze, co?

Jesień to było tych parę liści. Bóg wie skąd przywianych wiatrem na chodnik w pobliżu stacji kolei podziemnej przy Warren Street, blask latarni na mokrym asfalcie, błysk taniego porto w kieliszkach unoszonych przez stare kobiety w barze dla pań.

- Nie masz to jak Londyn - powiedział. Przytknął policzek do szyby. - Niech to licho, Kate, nie chcę wyjeżdżać.

„Niech to licho, Kate". To zdanie wyrażało całą głębię jego uczucia. Przypomniała sobie ciemną stodołę, księżyc za stogami i brata ze zmiętą szkolną czapką w ręku. Mieli tyle wspólnych wspomnień, co stare małżeństwo obchodzące trzydziestą rocznicę ślubu. „Musisz wrócić" - i czekała, aż zniknie jej z oczu, zanim sama ruszyła do swojej szkoły, niespokojnej wychowawczyni, dwugodzinnych indagacji i dochodzeń.

- Ty, oczywiście, wiesz najlepiej - powiedział Anthony. -Zawsze. Właśnie sobie przypomniałem, jak to było wtedy, kiedyśmy się spotkali w stodole. - Pomyślała ze zdziwieniem: On też czasami miewa intuicję. - Napisałem ci, że uciekam, pamiętasz? Spotkaliśmy się w połowie drogi między twoją szkołą a moją, gdzieś koło drugiej nad ranem. Odesłałaś mnie z powrotem.

- Nie miałam racji?

- Och, oczywiście, że miałaś. - Zwrócił na nią spojrzenie tak puste, że zastanowiła się, czy usłyszał jej pytanie. Tak

puste, jak ostatnie stronicie książki odwrócone w pośpiechu, żeby ukryć coś zbyt tragicznego albo podejrzanego na ostatniej karcie.

- No, jesteśmy - powiedział. - Witaj w moich skromnych progach.

Skrzywiła się na ten banalny zwrot, ani uniżony, ani zapraszający, wyrecytowany jak pierwsza lekcja z podręcznika subiekta. Kiedy gospodyni z uśmiechem oświadczyła im świdrującym szeptem, że „nikt panu nie będzie przeszkadzał”, Kate zaczęła sobie uświadamiać, co życie z nim zrobiło od czasu, kiedy widziała go po raz ostatni.

- Masz szylinga na gaz?

- Nie warto - odpowiedziała. - Nie zabawimy tu długo. Gdzie walizki?

- Właściwie to wczoraj je zastawiłem.

- To nieważne. Możemy ci coś kupić po drodze na dworzec.

- Sklepy będą zamknięte.

- Więc będziesz zmuszony spać w ubraniu. Gdzie masz paszport?

- W szufladzie. Zaraz będę gotowy. Usiądź na łóżku, Kate. - Z miejsca, na którym usiadła, widoczna była stojąca na stole taniutko oprawna fotografia: *Od Armette w dowód miłości*.

- Kto to jest, Tony?

- Annette? Och, to był rozkoszny dzieciak. Chyba wezmę ze sobą to uroczne zdjęcie. - Zaczął rozdzierać od spodu oprawkę.

- Zostaw ją tu. W Sztokholmie znajdziesz mnóstwo takich. Popatrzyła na niewielką, zastygłą w bezruchu porcelanową buzię.

- Ona była naprawdę dobra, Kate.

- Czy to jej perfumy czuć na poduszce?

-**Ach**, nie. Skądże. To niemożliwe. Dawno już jej tu nie

było. Nie miałem forsy, a dziewczyna musiała z czegoś żyć. Bóg wie, gdzie się teraz podziewa. Wyniosła się ze swojego mieszkania. Szukałem jej tam wczoraj.

- Po tym kiedy sprzedałeś walizki?

- Tak. Ale sama wiesz. Jak się raz taką straci z oczu, to już po niej. Już się jej nie zobaczy. To głupie uczucie nie wiedzieć, co się z dziewczyną dzieje, czy żyje, czy umarła, kiedy się kogoś tak dobrze znało i kiedyśmy się lubili.

- Wiec to perfumy tej drugiej?

- Tak - odparł - to perfumy tej drugiej.

- Jest stara, co?

- Po czterdziestce.

- Ma pewno dużo pieniędzy?

- Och, jeśli o to chodzi, jest dosyć bogata - potwierdził Anthony. Podniósł drugą fotografię i roześmiał się niezbyt wesoło. - Ładna z nas para: ty masz Krogha, ja Maud.

Nie odpowiedziała, patrzyła, jak on znów nachyliła się, szukając paszportu. Zauważyła, że stał się bardziej tolerancyjny, od kiedy widziała go ostatni raz. Przypomniała sobie tamte kelnerki gapiące się nad ścierkami do wycierania naczyń, ciszę otaczającą ich rozmowę. Wydało jej się dziwne, że Tony musi kupować sobie dziewczynę. Ale kiedy się odwrócił, jego uśmiech wyjaśnił wszystko: nosił go zawsze, jak trędotaty kołatkę; ten uśmiech był nie gasnącym sygnałem ostrzegawczym, że nie można mu ufać.

- No. Mam go. Ale czy Krogh na pewno da mi pracę? -Tak.

- Nie jestem taki znów bystry.

- Nie musisz mi mówić, jaki jesteś - powiedziała, po raz pierwszy sięgając aż do samego dna swojego żalosego przywiązania.

- Kate, zabrzmiało to głupio, ale trochę się boję. - Upuścił paszport na łóżko i usiadł. - Nie chcę już nowych ludzi. Mam ich dosyć. - Mogła dojrzeć cały ich tłum w głębi jego oczu;

tych mężczyzn z klubu, ze statków pasażerskich, mężczyzn na koniach do gry w polo, mężczyzn za oszklonymi drzwiami. - Nie opuścisz mnie, Kate?

- Oczywiście - przyrzekła. Nie było łatwiejszej obietnicy. Nie mogła się go pozbyć. Był dla niej czymś więcej niż bratem; wewnętrznym ostrzeżeniem: patrz, czego uniknęłaś; całym tym doświadczeniem, którego jej brakowało; bólem, ponieważ czuła ból jedynie przez niego; był również lękiem, rozpaczą, hańbą. Był wszystkim oprócz sukcesu.

- Gdybyś tylko mogła zostać ze mną tutaj.

„Tutaj” - to były bliźniacze tarcze gazomierza, brudne okno, nędzny kwiatek w doniczce, wachlarz papieru w pustym kominku; „tutaj” - to pachnąca perfumami poduszka, znajome fotografie, zastawione walizki, puste kieszenie, dom, Powiedziała:

- Nie mogę odejść z zakładów Krogha.

- On da ci pracę w Londynie.

- Nie, nie da, jestem mu tam potrzebna.

„Tam” - to była lustrzana czystość, supernowoczesna rzeźba, posadzki pochłaniające dźwięki, dyktafony i cynowe popielniczki, i Erik w odciętym od wszelkich dźwięków gabinecie, słuchający raportów z Warszawy, Amsterdamu, Paryża i Berlina.

- Dobrze, jadę. A forszę Krogh ma?

- O, tak. On ma forszę.

- I dla twojego człowieka coś skapnie?

- Otóż to, skapnie.

Roześmiał się. Nie myślał już o tych nowych twarzach, których się lękał. Włożył kapelusz, spojrział w lustro i poprawił chusteczkę w kieszonce marynarki.

- Cóż z nas za para!

Chciało jej się śpiewać z radości, kiedy poderwał ją z łóżka na nogi, ponieważ znów byli „parą”. Przygnębiał ją jednak jego widok - ta podejrzana elegancja, zdeprawowana niewin-

ność; był żałośnie bezbronny w tym swoim starym krawacie w barwach szkoły.

- Co to za krawat? - zapytała. - Przecież nie...

- Ach, nie, nie - odparł, tak nieoczekiwanie rąbiąc jej prawdę w oczy, że od razu padła ofiarą owego znienawidzonego wdzięku. - Awansowałem sam siebie. To krawat Harrow.

Ci faceci zaprosili mnie na jeszcze jedną whisky. Chcieli wszyscy posłuchać, co widziałem. Przedtem całymi tygodniami ledwie się do mnie odzywali, podobno miałem szczęście, że mnie nie wywalono z klubu za to, że, jak mówią, przyznałem sobie stopień wojskowy, do którego nie mam prawa. Na dworze słońce paliło chodnik, w skrawku cienia leżał jakiś żebrak i lizał ręce; do dziś nie mam pojęcia, po co je lizał. No więc kapitanowie przynieśli mi następną szklaneczkę, majorowie przysunęli krzesła, a pułkownicy kazali mi się nie spieszyć. Generałów nie było, pewno spali u siebie w gabinetach, bo działo się to koło południa. Zapomnieli, że właściwie nie jestem żadnym kapitanem, byliśmy wszyscy jedną rodziną.

Podrzucany na fali jakiś rybacki kuter z żółtym światłem u masztu na wysokości człowieka, w tym bladym świetle ktoś na klęczkach rozciągał na kutrze kłęb sieci, a naokoło niego tylko morze i noc i tylko my przesunęliśmy się obok niego jasno oświetleni, i grał gramofon.

Opowiadałem facetom z klubu, że byłem na chodniku, kiedy ten kulis rzucił bombę. Wywalił się jakiś wózek, samochód ministra zatrzymał się i wtedy kulis ją rzucił. Ale naprawdę wcale tego nie widziałem, doleciał mnie tylko huk nad dachami i zobaczyłem, jak drgnęły zasłony. Chciałem się dowiedzieć, za ile kolejek zapłacili. Zmęczyło mnie to wyłą-



czanie z każdej czwórki do brydża; nie miałem gdzie się zwrócić po trochę gotówki. Dlatego powiedziałem im, że doznałem silnego wstrząsu, wtedy zapłacili za trzy kolejki i pograliśmy w karty, wygrałem ponad dwa funty, zanim wszedł major Wilber, który wiedział, że mnie tam nie było.

Zapach whisky z palarni. Posmak soli na ustach. Muzyka z gramofonu, nowe twarze. No, to pojechałem do Adenu.

Na łące w zaroślach ściągałem skórkę z królika, przymknąłem na chwilkę oczy, nóż zaczepił o jakąś fałdkę skóry i dziabnął mnie pod okiem. Wszyscy mi zawsze powtarzali, żebym ciął w dół, jakbym sam cały czas o tym nie wiedział, teraz przypuszczano, że przestanę widzieć na to oko. Bałem się, ojciec był chory, przyjechała Kate. Ściany sypialni były bladozielone, ten pęknięty dzwonek dzwonił na herbatę, twarz miałem obandażowaną i słuchałem kroków schodzących po kamiennych schodach na herbatę. Słyszeć było, jak przed drzwiami kierowniczką czekają na jajka znaczone nazwiskami wypisanymi chemicznym ołówkiem, a potem znów dzwonienie pękniętego dzwonka, zanim go posługacz nie zatrzymał ręką. A potem cisza jak w niebie, i leżałem sam, aż przyszła Kate.

Ten facet zwiewał po dachach, a oni do niego strzelali z ulicy i z okien. Czaił się za dymnikami, a na płaskich dachach ślizgał się w kałużach deszczówki. Deszcz padał mu na głowę, a on obydwoma rękami trzymał się za siedzenie, bo podczas ucieczki rozerwał sobie spodnie. To był nasz pierwszy deszcz, ale sądząc po niebie, po temperaturze i spoconych dłoniach wiedziałem, że będzie teraz padało całe tygodnie.

„Kate” powiedziałem, a ona tam rzeczywiście była, tak jak się spodziewałem, i byliśmy sami w tej stodole.

Minęło ponad trzydzieści lat i niemało trzeba przemyśleć; to, co się widziało i słyszało, o czym się kłamało i co się kochało, to, czego się człowiek bał, co uwielbiał i czego pożądał,

co porzucił unoszony łagodną falą, aż światła portu zostały w tyle niczym stacyjka podziemna, jasna nocą i pusta, kiedy nikt nie wysiada i kolej nie staje.

Łudziłem się, że telefon jest zajęty, ale wiedziałem, że nie, cztery razy łączyłem się z jakiejś budki na Circus, a przez szybę gapiły się na mnie tamte twarze, kiedy inni czekali w ogonku, i trzy razy pamiętałem, żeby nacisnąć guziczek B, wyciągnąć z powrotem monetę, ale za czwartym razem, kiedy już wiedziałem, że tam nikogo nie ma, zapomniałem. I ktoś sobie zadzwonił za darmo, a ja się teraz muszę obejść tą dwupensówką w kieszeni. Mogę z kimś zagrać w orła i resz-kę i wygrać na jednego. Ale na statku prawie sami Szwedzi, a cudzoziemcy nie mają sportowej żyłki, a poza tym nie mówię po szwedzku.

Nowe twarze i stare twarze zniknęły, martwe, chore i umierające, na ścianie tabliczka „Do wynajęcia”. Kiedy nacisnąłem guziczek, nie było słycać dzwonka, a na podeście wysiadło światło. Ściana cała zagryzmołona ołówkiem: „Zobaczę się z tobą później”, „Jestem u piekarza”, „Zostaw piwo pod drzwiami”, „Wyjechałam na weekend”, „Dziś nie biorę mleka”. Nie było prawie wolnego skrawka tynku i wszystkie napisy już pokreślono. Tylko jeden był nie zamazany, na pozór sprzed miesiący, ale może świeży, bo oznajmiał: „Nie ma mnie w domu, kochanie. Wracam 12.30” - więc napisałem do niej kartkę, że będę o 12.30. I siedziałem dwie godziny na tych kamiennych schodach przed mieszkaniem na najwyższym piętrze, ale nikt nie przyszedł.

Na kamiennych schodach kroki, biegną, wciskają się, pchają na górę, do sypialni; Kate odeszła, sala jest pełna, dyżurni starostowie gaszą lampy. Nawet w nocy ani chwili spokoju, zawsze po tamtej stronie drewnianej ścianki ktoś mówi przez sen. Leżę lekko spocony, nie mogę usnąć, zapominam o tyra bólu pod okiem i czekam, czy nie rzucą gąbki, czy zasłona nie zaszeleści, jakaś ręka nie pociągnie za pościel, ktoś

nie zachichocze i czy nie usłyszę kłapania bosych stóp po drewnianej podłodze.

Dawne twarze, twarze znienawidzone, twarze kochane, żywe lub umarłe, chore i konające, po trzydziestu latach sporo tego rupiecia w pamięci; dziób statku coraz głębiej wrzyna się w morze, z tyłu światła portu i muzyka z gramofonu.

Po tych kamiennych schodach w dół z forszą, którą miałem dla niej; trzydzieści szylingów zysku, zważywszy, że jej nie było; raz zginęła z oczu - przepadła na dobre. Wylep sobie pokój fotosami aktorek filmowych, wydzierając portrety z *Ta-łtera*: „Zechce Pani ofiarować autograf nieznanemu wielbicielowi? Załączam szylinga na kopertę i znaczek”. Pełno kurew w Hollywood, ale nie ma drugiej takiej jak moja. Nieszczęście zawsze wzbogaca: trzydzieści szylingów zysku i nie ma do kogo pójść.

Kiedy powiedzieli mi: „Dyrektor pana wzywa”, od razu wiedziałem, o co chodzi, jasne. Spodziewałem się tego nie od wczoraj i co rano wdziewałem świąteczny strój i pucowałem zęby do ekstrapołytku. Nie pamiętam już kto, ale ktoś mi kiedyś powiedział, że mam olśniewający uśmiech, nie wiedząc o tych ćwiczeniach przed lustrem, o ciągłych zmianach pasty i o tych luksusowych dentystach, żeby plomby były niewidoczne. Mężczyzna musi dbać o swój wygląd tak samo jak kobieta. Często to jego jedyna szansa. Na przykład Maud.

Prędzej czterdzieści niż trzydzieści, blondynka, trochę za obfita w bluzce.

„Są rzeczy, których mężczyzna nigdy nie robi - należy do nich branie pieniędzy od kobiety” - powiedziałem. I ona to uszanowała, dawała mi prezenty, a kiedy potrzebowałem gotówki - zastawiałem je. Spotkaliśmy się w kolejce podziemnej. Zerkaliśmy na siebie przez cały wagon na odcinku od Earl's Court do Piccadilly; miałem dziurę w skarpetce i nie mogłem założyć nogi na nogę. Powoli. Zbliżenie następowało powoli. Poznaliśmy się w końcu na ruchomych schodach.

A jak szybko z Annette. Zadzwoiłem tam z myślą o kimś innym, a drzwi otworzyła ona i przyszło mi do głowy: „Ta jest pierwszorzędna”.

Kiedy otworzyłem drzwi, udawał, że pisze. Stara sztuczka, żeby gościa upokorzyć, ale zawsze robi wrażenie. „Aha, panie Farrant - powiada - proszę mi wyjaśnić, co ma znaczyć ta skarga wniesiona przez maklerów. Nie wątpię, że pan to zrobi”. Ale mimo, że on nie wątpił, ja nie byłem tego pewny.

I do Bangkoku.

Woda pluje i syczy, gramofon milczy. Na pokładzie wygaszone światła, nikogo.

Kazania, Boże, ileż kazań prawią człowiekowi w życiu! Zdaje się, że tylko Kate nigdy, nigdy nie wierciła mi dziuiny w brzuchu, po prostu mówiła, zrób tak i tak. I Annette - za spuszczonej storami, w półmroku, zadowolona, cicha i czuła. A od Maud, ojca, dyrektorów - kazania. Boże Wszechmogący, jestem Anthony Farrant, wcale nie gorszy od nich. Potrafię w pamięci zsumować dwie kolumny cyfr, pomnożyć przez trzy i odjąć liczbę, jaką na początku pomyślałem. Nawet dyrektorzy o tym wiedzą. „Znakomite - mówią na początku - znakomicie zrobione, panie **FaiTant**” - bo im nabijam **kabzę**; dopiero potem, kiedy zaczynam dbać o swoją kieszeń, każą mi wyjaśniać.

Handel herbata. Trzysta worków zepsutej herbaty, z którą nie mają co począć, i strzelanina na ulicach. Odkupuję to od nich za pół darmo i sprzedaję z powrotem za pełną cenę. Podczas rewolucji pieniądze leżą na ulicy. Ale potem podejrzliwie na mnie patrzyli. Nie wierzyli mi już nigdy.

Szepty w sypialni: „Ktoś zostawił kamizelkę w przebieralni. Honor szkoły...”, dwa rzędy chłopaków ze skreconymi rękami, huk ponad dachami, drżenie papierowych zasłon, zepsuta herbata, strzelanina na ulicach, „honor firmy”.

No, to do Adenu.

Wszyscy w łóżkach; zimna noc, pod bladą, wąską jak ostrze noża smugą piany niewidoczna woda. Pasażer w dolnej

koi całą noc gada w języku, którego nie rozumiem; wstaje szary i wietrzny dzień, łopocze płótno leżaków na pokładzie, na śniadaniu bardzo mało ludzi; nie ogolona twarz, ponure żarty stewardów, jakaś dziewczyna z włosami na Gretę Garbo spaceruje samotnie, zapach ropy naftowej i daleko do lunchu, a Kate myśli o Kroghu.

Skąd wiem, że ona myśli o Kroghu? Skąd wiedziałem, że będzie na mnie czekała w tej stodole?

„Zatrzymamy się na noc w Góteborgu” - powiedziała i wiedziałem, że się martwi.

Udałem, że muszę iść do toalety, i wymknąłem się. Pod szlafrokiem miałem ubranie, niosłem schowane buciki i skarpetki, a skradałem się w rannych pantoflach. Przez dziurawą podeszwę ciągnęło chłodem od kamiennych schodów. Zostawiłem szlafrok w toalecie i nasłuchiwałem pod drzwiami kierownika. Nic trudnego. Był na kolacji, a okna jego pokoju nie miały krat. Ale Kate odesłała mnie z powrotem i zaufałem jej; na drodze leżał szron, pachniały zmarznięte liście, niebo było bezchmurne, a ja szczęśliwy, zostawiłem wszystko za sobą; na bocznej drodze twarde koleiny, pod nogami głośno trzeszczące gałązki, na szosie migające światła samochodów i było mi ciężko, że wszystko zostawało tak jak przedtem.

Myśli o Kroghu. „Używajcie tylko wyrobów Krogha. Wyroby Krogha są najtańsze i najlepsze”. To było dziesięć lat temu, nie, piętnaście, dwadzieścia lat temu, z nianią na zakupach w halach targowych, gdzie trzeba się było nachylać w przejściach pod koszami, ocierać o puszki ze środkiem chwastobójczym, oglądać kosiarki, podczas gdy niania kupowała wyroby Krogha. Teraz nie są one najtańsze i najlepsze. Są jedyne. Wyroby Krogha we Francji, Niemczech, Włoszech, w Polsce. Wszędzie wyroby Krogha. Dzisiaj slogan „Kupuj wyroby Krogha” ma inne znaczenie; dziesięć procent i z dnia na dzień zwyczajka.

I ja mógłbym być taki sławny i bogaty jak Krogh, gdyby mi zawierzono, tak jak zawierzono Kroghowi, gdyby mi pożyczono kapitał; dostawałem pięć funtów i miałem być wdzięczny. W każdym z moich projektów krył się majątek, gdyby mi tylko zawierzono. Czy Krogh potrafiłby sprzedać sto worków zepsutej herbaty?

Jednak nigdy mi nie zawierzono.

Kiedy przyszedł Wilber, tamci przestali mi fundować whisky; przegnali mnie z tego klubu; no, to do Colombo. Szare morze, telegramy do domu, bandyta, który chował się za kominy, ucieczka ze szkoły po tym ochrypłym dzwonku na gaszenie świateł, skarga maklerów i huk bomby dochodzący z nad domów; sto worków zepsutej herbaty, mały Chińczyk -oficer w złotych okularach pałacy Woodbiney, zielone ściany sypialni, szare morze i łopoczące leżaki. Kate myśli o Kroghu: w każdym domu Krogh jak Pan Bóg Wszechmogący; najmniejsza wioska nie może się obyć bez Krogha; Krogh w Anglii, w Europie, w Azji, a jednak Krogh, ten niby-Pan Bóg Wszechmocny, to, do cholery, zwykły człowiek.

### III

Zanim Kate odnalazła stolik Anthony'ego, już od dłuższej chwili słyszała jego głos. Przysłuchiwała się z zazdrością, czułością, irytacją i podziwem tym radosnym, miłym dźwiękom. Pomyślała: - Więc już znalazł przyjaciół, dwie godziny w GÓteborgu i już znalazł przyjaciół. Godna zazdrości, ale i żenująca cecha charakteru.

Myślała początkowo, że trochę go przygnębia ten nieznany północny kraj, w którym na nic się zdały wszystkie doświadczenia z tropików: w milczeniu posuwał się w cieniu wysokich, sztywnych, szarych domów nad schludnymi kanałami; nadając bagaż na dworcu, zauważyła, że Anthony ze zdumieniem przygląda się klombom kwiatowym za odbojami. Na ulicach każdy słup latarni czy sieci elektrycznej paradował z bukietem jak. *primadonna*. Powietrze było płynną szarością.

Ale on tylko kalkulował; oglądał więcej portów, niż mógłby zliczyć. Gdy Kate oznajmiła: „A teraz zostawię cię samego aż do lunchu”, dała mu pieniądze i opisała restaurację, w której ma na nią czekać, z roztargnieniem skinął głową i natychmiast, poprawiając fałszywy krawat Harrow, odmaszerował pierwszą napotkaną ulicą krokiem zdobywcy, choć nie mógł mieć pojęcia, dokąd ta ulica prowadzi.

Okazało się, że zaprowadziła go do przyjaciół; a może tego właśnie oczekiwał. Pogodził się już z tym nowym krajem.

- I wtedy eksplodowała ta bomba - opowiadał. - Kulis po prostu upuścił ją sobie pod nogi. Zbierają go po kawałeczku po całym mieście. Przestraszył się mojego głosu.

Kate weszła powoli po schodkach na taras. W ogródku stały spiętrzone stoliki, jakiś człowiek zmiatał mokre liście z niewielkiego podium naprzeciwko tarasu. W głębi leżał wielki rozbity bęben.

- A co z ministrem? - zapytał dziewczęcy głos.

- Nawet go nie drasnęło.

Anthony opierał się łokciem o ogrodzenie tarasu; nigdy nie wyglądał lepiej, rozkwitał wręcz ponad światem chylącym się ku ziemie. Widziany z drugiego krańca sali restauracyjnej, mógł się wydać kilkunastoletnim uczniakiem. Troje turystów, starszy pan, starsza pani i dziewczyna, nie spuszczała z oczu jego ust; odsunęli się z krzesłami od stolika, szklanki mieli puste. Spustoszony półmisek *smörgåsbordu*<sup>1</sup> i resztki na talerzach świadczyły o tym, że byli już po lunchu.

- A oto i moja siostra - przedstawił ją Anthony. Przyszła pięć minut za wcześnie, na jej widok zamarł mu na ustach jakiś błahy frazes z repertuaru globtrotera. Opuściła go na chwilę nawet grzeczność, nie podniósł się, kiedy tamtych troje obcych wstało; pomiędzy nim a siostrą znalazły się wyciągnięte ręce, wyrazy uprzejmości i odsunięte krzesła.

- Pan Farrant był tak miły i oprowadzał nas po Góteborgu - wyjaśniła starsza pani.

Kate spojrzała poprzez nich na brata: twarz miał pochmurną, odpychającą i w tej chwili odartą z uroku.

- Oprowadził nas po porcie i pokazał składy - wtrącił starszy pan.

- I właśnie opowiadał nam - dodała dziewczyna - skąd ma tę szramę.

**I. SmOrgSsbord - szwedzkie przystawki**



- Przypuszczaliśmy - wyjaśniła starsza pani - że może wyniósł ją z wojny.

Byli zdenerwowani i skrępowani; jak gdyby pragnęli ją zapewnić, że nie mają w stosunku do niego żadnych złych zamiarów; osłaniali go na wypadek wymówki, że wdał się w przygodną znajomość z obcymi.

- Ale rewolucja jest dużo bardziej ekscytująca - powiedziała dziewczyna.

Kate przypatrzyła się jej uważnie i pewna myśl: „Biedactwo, zakochała się w nim” obudziła w niej litość, mimo że jednocześnie gromadziła w myślach przeciwko tamtej okoliczności obciążające - wielkie, nieinteligentne oczy, małe, wilgotne, źle umalowane usta, szczupłe ramiona, smużka zaschłego pudru na szyi. Przypomniła sobie Annette i Maud wylewającą się zza małej ramki, tanie perfumy na poduszce; Anthony zawsze wołał pospolite.

- Za coś takiego jak uratowanie życia ministrowi powinni go byli odznaczyć - dorzuciła dziewczyna.

Kate uśmiechnęła się, widząc jak Anthony wierci się na krześle.

- Czyżby państwu nie powiedział? Doprawdy, on jest zbyt skromny. Odznaczono go orderem Niebieskiego Pawia drugiej klasy.

Przyjęli to z absolutną powagą; przyśpieszyła nawet w ten sposób ich odejście. Widać było wyraźnie, że nie chcą zabierać mu czasu - mogliby zaprzepaścić szansę następnego spotkania. Mieli na nie nadzieję w Sztokholmie. Kobieta zapytała, czy długo tu zabawią.

- My tu mieszkamy - odparła Kate.

- Ach tak - powiedział mężczyzna. Zawahał się: - My jesteśmy z Coventry. - Należał do ludzi skrupulatnie uczciwych w udzielaniu informacji. Spoglądając na nią, zmrużył oczy, jakby obserwował wahania czułej laboratoryjnej wagi; brakowało jeszcze jednego miligrama. - Nazywamy się Davidge.

Pani Davidge, stojąca nieco za mężem, skinęła głową aprobująco: równowaga była idealna. Westchnęła z ulgą nad precyzją proporcji; teraz była w stanie zająć się innymi sprawami, poprawić suknię przed wielkim lustrem wiszącym w głębi na ścianie, odgarnąć wymykający się siwy włos, wygładzić rękawiczki, napomknąć dyskretnie, że wkrótce wyjeżdżają.

- Państwo z wycieczką? - zapytała Kate, zauważyła, że dziewczyna, która nie podzielała w najmniejszym stopniu ich subtelności i wydawała się całkowitym przeciwieństwem reprezentowanego przez nich dobrego wychowania, protestując przeciwko ich starannym rozróżnieniom, przeciwko ich stonowanym barwom źle dobraną szminką - że ta dziewczyna dzięki jakiemuś szczególnemu wyczuleniu czuje jej wrogość, podczas gdy oni dostrzegali tylko uprzejmość.

- Z wycieczką indywidualną - sprecyzowała uprzejmie pani Davidge.

- Zapewne... - powiedziała Kate, rozmyślnie podkreślając brak określonych zamiarów - ...zapewne spotkamy się jeszcze.

Dziewczyna jednak zwlekała. Rodzice, z przesadną ostrożnością ludzi starszych, schodzili już do pożółkłego ogródka pomiędzy tarasem a rozbitym bębem, a ona uparcie nie ruszała się z miejsca. Przypominała jaskrawo pomalowaną drewnianą figurkę o pospolitym przeznaczeniu ustawioną między stolikami - można by pomyśleć: popielniczka z niedopałkami.

- Mogłabym we wtorek - powiedziała.

- Świetnie - odpowiedział Anthony, bawiąc się widelcem. Kate zrobiło się żal dziewczyny, tej naturalnej naiwności,

nie było jej jednak na rękę przypominać Anthonyemu, co mu zostało oszczędzone; , dziewczyna symbolizowała w tej chwili tylko światełko roweru, liście na asfalcie Warren Street, porto w barze dla pań.

- Więc jedno mogłoby we wtorek - ironizowała Kate, patrząc, jak dziewczyna dołącza do rodziców między spiętrzonymi krzesłami - a drugie uratowało życie ministra.

- Człowiek musi coś wymyślić - powiedział Anthony. -A oni fundowali lunch.

- Zafundowałam ci śniadanie, a nie zauważyłam, żebyś coś dla mnie wymyślił.

- Ach, Kate, ty znasz wszystkie moje historyjki. Często przecież pisałem...

- Nie - przerwała - pisałeś bardzo rzadko. Telegramy do ojca, widokówki, ileż widokówek! Widokówki ze Syjamu, Chin, Indii, nie przypominam sobie w ogóle listów.

Uśmiechnął się.

- Widocznie zapomniałem wysłać. No, ale pamiętam długi list. Napisałem go do ciebie z gratulacjami, kiedy dostałaś tę pracę u Krogha.

- Widokówka.

- I kiedy umarł ojciec.

- Telegram.

- No, telegramy więcej kosztują. Nigdy dla ciebie, Kate, nie szczędziłem wydatków. - Spoważniał. - Biedactwo, nie jadłaś lunchu. To wstyd, że zacząłem bez ciebie, ale oni mnie zaprosili. Okazja, żeby oszczędzić trochę grosza.

- Tony - powiedziała Kate - gdyby nie to, że jesteś moim kochanym bratem... - Pozwoliła temu zdaniu rozpląnąć się nad resztkami jedzenia i brudnymi, nie dopitymi kieliszkami, nie kończąc go, nie nadając mu znaczenia. Na cóż by się to zdało?

- Straciłabyś dla mnie głowę - stwierdził rzucając jej spojrzenie, jakim obdarzał każdą kelnerkę: wyrachowanego zainteresowania, wyrachowania dziecka - wdzięk, którego wszystkie ingrediencje zostały wypróbowane i zachowane na dalszy użytek.

Przyszło jej na myśl: - Gdybym mogła cofnąć czas. Gdybym mogła przekreślić ten pierścionek od Krogha i gdyby wszystko to zniknęło, ten wielki bęben, opadające liście i odbicie mojej twarzy w lustrze, byłaby noc, wiatr na dworze, za-

pach nawozu, on stałby z czapką w ręku, a ja bym powiedziała: „Nie wracaj. Nieważne, co powiedzą ludzie. Nie wracaj.” - I wszystko potoczyłoby się inaczej.

- To rozkoszny dzieciak - zaopiniował Anthony. - Przełknęła wszystko, co mówiłem. Ba, mógłbym w nią wmówić, co tylko bym chciał - dodał, a Kate niemal widziała, jak przebiega w myśli niezliczone podmiejskie uliczki, dzwoni do drzwi frontowych, jak odsyłają go do drzwi kuchennych. Przez moment stała obok niego patrząc, jak poprawia krawat szkoły w Harrow, obserwując ten wdzięk „na daną okazję”, tę „na daną okazję” nadzieję, i próbowała odróżnić, ile w tym jest odwagi, ile zwykłego przekonania., że coś się zawsze znajdzie.

No i ja znalazłam.

Myśl o tym, czego mogliby dokonać razem, zagłuszyła zazdrość i lęk. Anthony ma inteligencję, nikt nigdy nie odmawiał mu inteligencji, a na niej można polegać i nikomu nie przyszłoby do głowy temu zaprzeczyć. Ona ma upór, potrafi wytrwać. Pięć lat w brudnym kantorze na Leather Lane, potem w filii Krogha, teraz sam Krogh.

- Muszę się napić - oświadczyła . - Chce mi się pić, A kiedy kelner ją obsłużył, dodała: - Za naszą spółkę.

- Naprawdę, zostaw to, Kate - zaprotestował Anthony, dając znaki kelnerowi i oblizując wargi. Nie apróbował tego, nie uznawał pijących dziewcząt, pełen był konwenansów o całe pokolenie starszych od niego. Pije się, oczywiście, i sypia się z dziewczynkami, ale nigdy nie sypia się z siostrą przyjaciela, a „porządne” dziewczyny nie bywają podchmielone. Te dwa podstawowe kanony, jeden dla mężczyzn, drugi dla kobiet, strzegły bram jego umysłu. Widziała niemal, jak cisną mu się na usta maksymy wszystkich tych majorów, co do których miał pewność, że prawa moralne formułują przy kominku palami.

- Mój Tony - powiedziała. - Kocham cię.

Drgnął niespokojnie w obliczu tego całkowitego porozumienia.

### **3. Made in England**

- Tak czy owak - stwierdzi! - nie należy pić na pusty żołądek.

Było to niemal zachwycające, że niepowodzenia w najmniejszym nawet stopniu nie wpłynęły na jego lekką skłonność do pozerstwa; poczucie niższości pozbawiłoby go człowieka bardziej nieśmiałego, nie tak prężnego; w nim klęski jeszcze je wzmogły. Mogła przypuszczać, że dni jego największej nędzy należały do najmniej pompatycznych; wyobrażała go sobie, jak prawi morały Annette, zaleca abstynencję Maud. "Wystrzępione rękawy kazałyby mu jedynie zawiązać krawat byłych gwardzistów.

Kate była w Sztokholmie, kiedy umarł ojciec, ale przyjeżdżający z Aten Anthony wydał ostatniego funta na to, aby drogę z Marsylii odbyć samolotem. Zachował się z pompą i godnością, jaka zyskałaby poklask we wszystkich tych klubach, z których go wykluczono. Pamiętała jego telegram: „Ojciec zgasł spokojnie podczas snu w sobotę” - szaleńcza rozrzutność na rzecz wspaniale wyświechtanego frazesu, a dalej szereg oszczędnych skrótów i staranna interpunkcja, na skutek czego dalszy ciąg telegramu stał się nieczytelny. SMUTNA SPRAWA MABEL PRZEJŚCIOWE STRATY ŚREDNIK ZWOLNIONY Z PRACY KŁOPOT KIEROWNIK MYŚLNIK GOULD-SMITH KROPKA.

Dowiedziała się potem, że opierając się o poręcz łóżka, uśmiechnięty, wesoły i pełen dobrej myśli przy chorym (przy pielęgniarce ocierał łzy, dla krewnych włożył czarny garnitur, a dla księdza i adwokata ostatni czysty kołnierzyk) powiedział ojcu, że złożył rezygnację. Temat wyrażany dotychczas jedynie depeszami i kartkami pocztowymi, teraz nareszcie zabrzmiał ludzkim głosem: Anthony znów był w domu i zrezygnował właśnie z posady; była to naprawdę sprawa honorowa, ale tego nie mógł wyjaśnić.

- O czym też ty myślisz? - zapytał. Spostrzegła, że odzyskał już równowagę i pełen zapału, spragniony, aby zabły-

snąć swoim mistrzowskim akwizytorstwem, stoi jak gdyby na jakimś nowym progu.

- Myślałam o ojcu - odpowiedziała.

-Ach, ojciec! - podchwycił Anthony. - Jakże by się cieszył, widząc nas tutaj razem!

To była prawda. Ojciec nigdy nie mógł odżałować długich pobyków Anthony'ego za granicą: brat, według jego przekonań, to naturalny opiekun siostry, dopóki ta nie wyjdzie za mąż. I jedno, pomyślała Kate, trzeba przyznać starszemu panu: Anthony'emu zawsze udawało się wyjść cało z opresji. Czy to w jakiejś speluncie, czy w komisariacie policji nie można było sobie życzyć lepszego przewodnika i doradcy: miało się pewność, że instynktownie będzie wiedział, gdzie znajduje się jakieś tylne wyjście albo kogo należy przekupić. Nikt poza nim nie wyszedłby cało z tyłu podejrzanych przygód.

Już się rozglądał, taksując wzrokiem otoczenie, bystry, pełen zapału i nadziei.

- Co też tu można robić wieczorem? - zastanawiał się. I dodał przewrotnie, co ją zaskoczyło: - Oczywiście myślę o jakimś kinie, music-hallu. W porcie trzeba się pilnować.

I nagle znudzony popatrzył na opuszczony ogródek, opustoszałą scenkę, rozbity bęben, fruujące, zmiotane miotłą liście. Następnie zwrócił w jej stronę twarz z wyrazem pustej niewinności, wytartą i gotową.

- Och, czy nigdy nie możesz być sobą? - zapytała Kate.

Pod powiekami zapiekły ją łzy osamotnienia. Dotkliwie odczuła jego nieobecność, kiedy wzniósł między sobą a nią tę cienką ścianę fałszywej przyzwoitości; tak samo odczuła ją, gdy go zabrakło, kiedy po raz pierwszy wyjechał za granicę: kufer podróżny na dachu taksówki, w mikroskopijnym zagraconym przedpokoju nie dająca się domknąć walizka, wlokący się po dywanie pasek od pidżamy; pożegnanie pomiędzy stojakiem na parasole a kolorową szybą. Wtedy przynajmniej nie było w tym nic przewrotnego; byli wobec siebie tak otwar-

ci jak pięć lat temu w ciemnościach stodoły; on blady, przerażony i bliski łez, kiedy mu powiedziała, że musi już iść, bo się spóźni na pociąg; ucałowała go pośpiesznie i czuła, że serce jej rozdziera się na widok Anthonyego otwierającego oporne drzwiczki taksówki, a połowa jej ciała odjeżdża wraz z nim ponuro, dygocząc na czarnych błyszczących poduszkach siedzenia. Wierzyła jednak, że będzie przynajmniej pisał, nie przewidywała tych kart pocztowych, tych „Bardzo tu ładnie”, „Tutaj się kąpaliśmy”, „Moje okno zaznaczone krzyżykiem”, tej rosnącej lekkomyślności, dziwnych łamańców stylu, którymi się maskował, aż wreszcie przyszła świadomość, że Anthony stał się nieodwołalnie jednym z nich, tych obdartych awanturników, którym brakuje odwagi do osiągnięcia celu. A teraz, pomyślała unosząc pudemiczkę, żeby ukryć swoje przygnębienie, nawet karta pocztowa uczyniłaby go bliższym.

- Czy nigdy nie możesz być sobą? - powtórzyła, zastanawiając się, jakiego triku mogłaby się nauczyć od Annette czy Mabel, żeby rozwiązać jego powagę. Dodała: - Dziś sobie popijemy i pójdziemy do Lisebergu.

Skrzywił się na tę propozycję. - Jak tam jest?...

- Och, całkiem przyzwoicie - odpowiedziała. - Wręcz familijnie. Można potaćczyć, postrzelać i utrzęsnać sobie wątrobę w górskiej kolejce. Nudno tam w porównaniu z tym, coś ty oglądał, ale jeżeli najpierw coś wypijemy...

- Wiesz co - rzekł Anthony - jeszcześmy nawet poważnie nie pogadali.

- O czym?

- Och, o wszystkim - wyjaśnił. - O wszystkim. Jeżeli nie masz zamiaru jeść lunchu, poszukamy jakiegoś spokojnego miejsca... - I z surową dezaprobatą powiódł wzrokiem po restauracji, po pustych szklankach, talerzach z resztkami jedzenia. Port również, oświadczył, kiedy zaproponowała, żeby

go jej pokazał, tak jak pokazał go pannie Davidge, nie był bynajmniej miejscem dość spokojnym.

- Z tego, jak się uczepiłaś tej dziewczyny - obruszył się - można by sądzić, że jesteś zazdrosna. Czy nie możemy na chwilę wynieść się z tego miasta? Nie ma tu jakiegoś parku?

Przesiedzieli pół godziny na drewnianej ławce nad sadzawką, obserwując ptactwo wodne. Mali chłopcy pedałowali pod górę, od strony Goteborga, na rowerach z jaskrawo wymalowanymi szprychami; w bloku mieszkalnym na skraju parku zapaliły się jedno po drugim światła, skrzące, małe i wyraźne jak zapalki jarzące się w sali kina. Wodę pokrywała cienka warstwa śmieci, liście przyczepiały się do przepływających przez sadzawkę kaczek.

- Przywiozłaś mnie tu - powiedział Anthony - a teraz... -Nagle stracił opanowanie i stał się zimny i wrogi. - Na jedno się nie zgodzę. Nie będę pasożytem. Nigdy nie byłem pasożytem.

- Erik da ci pracę.

- Sama wiesz, że nie znam szwedzkiego.

- U Krogha nieważny jest szwedzki.

- Kate, ja zginę w takim przedsiębiorstwie - prosił Anthony. - Przywykłem do czegoś mniejszego. Posłuchaj. Przez cały czas na statku myślałem o tym, że do niczego się Kroghowi nie przydam. Nie będę miał najmniejszej okazji pokazać...

Jakiś spadający liść kołując musnął jego ramię i opadł na ławkę pomiędzy nimi.

- Popatrz - rzekł Anthony. - Złoto. Widzisz? Ominęło mnie.

- Jeszcze zielony. To nic nie znaczy. Spójrz - Kate podniosła liść i pokazała mu go z bliska w zmierzchającym świetle. - Coś go obgryzło. Wiewiórka. Albo jakiś ptak.

- Posłuchaj, Kate. Dziś rano, kiedy byłem w porcie, zobaczyłem ogłoszenie. Po angielsku. Potrzebny doświadczony pracownik. Anglik. W składach. Księgowość.

- Owszem, myślę, że to potrafisz - odpowiedziała.



- Prowadziłem więcej ksiąg handlowych, niż potrafiłbym zliczyć.
- To praca bez przyszłości.

Prosiła go, żeby „był sobą”. Teraz, kiedy ledwie dostrzegła w tej szybko zapadającej, zimnej ciemności jego twarz, nagle wzdrygnęła się, przypomniawszy sobie: On jest bez płaszcza. Gdzie go podział? Gdy tak myślała o lombardach i handlarzach starzyzną, zwrócił się do niej z całkowitą szczerością, niby chwytający człowieka za rękaw przyjaciela, o którym się prawie zapomniało:

- Ja nie mam przyszłości, Kate.

Był spokojny, poważny, był całkowicie sobą, zupełnie taki, jakim pragnęła go widzieć, a jednak zdumiewało ją to nawet teraz, kiedy starała się nie zmarnować, nie przepuścić okazji. Znała go dotychczas jako osobę, na której nie można polegać, kogoś, kto posługuje się drobnymi podstępami, komu nie można ufać w sprawach pieniężnych, ale nie zdawała sobie sprawy z tego, że on tak dobrze zna siebie.

Powtórzył:

- Wiesz o tym równie dobrze jak ja, Kate, ja nie mam przyszłości.

Kaczki wyszły z wody na brzeg z piórami nastroszonymi od zimna. Spęczniełe jak niewielkie brunatne piłki futbolowe wtoczyły się na porośniętą trawą zbocze i znikły, jedna za drugą, rozdeptując liście pletwiastymi łapami.

- *Ależ* masz, masz - zaprzeczyła. Lęk, że nie sprosta nadarzającej się okazji, walczył w niej z uszczęśliwieniem, że wreszcie, jak tyle lat temu, spojrzeli sobie otwarcie, bez rezerwy, w oczy. - Ufaj mi. - Teraz należy do mnie, pomyślała. To jest Anthony, nie mogę dopuścić, żeby mi się wymknął - ale zamiast właściwych słów stanęła znów wobec jakiegoś rozdwojenia umysłu i serca: to ona siedziała tu bez płaszcza, bez przyjaciół, bez przyszłości w krawacie Harrow, pełna wielkich pretensji. Przytuliłaby go, gdyby się nie odezwał.

- Szczęście może się, oczywiście, odmienić - powiedziai.

- Coś się może nawinąć,

Zorientowała się od razu, że chwila minęła. Był od niej tak samo oddalony jak wtedy, w tym klubie w Szanghaju czy na kursie golfa w Adenie. Tamto było nie tyle znajomością samego siebie, co nietrwałym prześwitem w obłoku samoułudy. Myślała przez chwilę, że on potrzebuje jej pomocy, a jemu wystarczył tylko lekki podmuch jakiejś myśli, jakiegoś określonego wspomnienia.

- Czy opowiadałem ci kiedyś o tej zepsutej herbacie?

- Nie przypominam sobie. Zimno. Chodźmy. A co do tych składów...

Ale teraz wiatr był już pomyślny. Anthony gotów był zgodzić się, że nie miał racji, a nawet przyznać, że w końcu czeka go jakaś przyszłość.

- Rozumiem - powiedział. - Nie podoba ci się ten pomysł. Roześmiał się z nieprawdopodobną beztroską.

- Dam szansę temu twojemu Kroghowi.

Przypominał człowieka, który o włos uniknął wielkiego niebezpieczeństwa. Ulga wprawiła go w szampański nastrój, a ów nastrój czyni! go najlepszym kompanem.

Nastrój ten Anthony zachował przez cały wieczór. Popadał z jednej krańcowości w drugą. Sądziła, że ma szczęście, gdy przyłapała go na przygnębieniu i szczerości, ale całkiem inną przyjemnością było przyłapać go, gdy się tak weselił w sposób najbardziej nienaturalny. Opowiadał jej historie, które zaczynały się dość bezbarwnie i prawdziwie, a po chwili stawały się nie mniej barwne niż te, jakie mógłby zmyślić dla Maud, Annette czy też tej córki Davidge'ów.

- Pisałem ci przecież o tym fiacie naczelnego?

- Nie, skądże - odparła. - W żadnej z kartek nie było nic

o fiacie. - Po dwóch kolejkach była gotowa wierzyć niemal we wszystko, co mówił. Rozczulał ją. Nakryła jego rękę swoją

1 powiedziała: - Och, Tony, dobrze jest mieć cię tutaj. Mów

dalej. - Ale zanim *zdążył* otworzyć usta, zauważyła, że Anthony nie ma swojego sygnetu (każde z nich uroczyście obdarowano takimi samymi na dwudzieste pierwsze urodziny: w jego przypadku był to sygnet wysłany poleconą przesyłką, nie pamiętała już dokąd, pod adresem klubu). - Co zrobiłeś ze swoim sygnetem? Nie dostałeś go?

Widziała niemal, że Anthony ocenia jej nastrój, odmierza, ile jeszcze może jej powiedzieć.

Zastanawiała się, czy ten wieczór, mimo wszystko, nie będzie nieudany. Muszę z tym skończyć, och, muszę skończyć z tym zadawaniem pytań. Ale po tylu latach rozłąki pytania wyrwały się jej bezwiednie.

- Głupstwo - rzekła. - Mów dalej. Opowiedz mi o tym aucie, aucie dyrektora.

Kładąc lewą dłoń na jej dłoni protekcyjnym, opiekuńczym gestem, łagodnie i otwarcie, powoli powiedział:

- Chciałbym ci jednak opowiedzieć o sygnecie. To długa historia, ale ciekawa. Nie jesteś w stanie wyobrazić sobie, staruszek, w jakie dziwne miejsce mnie on zaprowadził,

- Och, nie - przerwała. - Nie mów o tym. Opowiedz o samochodzie dyrektora. Ale przedtem chodźmy stąd, tu już nie dostaniemy nic do picia.

Bawiło ją pełnienie wobec niego roli przewodnika po labiryncie przepisów prohibicyjnych, to, że udało im się trochę wstawić tymi „sznapsami”, mirno przepisów (ograniczających ich ilość do dwóch na mężczyznę, jednego na kobietę).

- A teraz - zarządził - Liseberg.

Kiedy minęli kanał, szmer wody na skraju porośniętych trawą brzegów, szepty mężczyzn i kobiet siedzących w mroku na ławkach wzdłuż opustoszałej podmiejskiej ulicy, zza zakrętów dobiegały nierówną falą rozliczne dźwięki - irie muzyka, ale jakby stroiciel gdzieś w odległym domu dotykał bez jakiegoś szczególnego porządku jednego po drugim klawiszy fortepianu. W białym świetle ponad dachami rysował się kre-

ską rząd wież; dźwięki zlewały się niczym dręcząca pamięć melodia i poprzez wysoko sklepione wejście buchnęły znanym rytmem (minister spraw zagranicznych z najwyższą grzecznością odpowiedział na jej „skoal”, a Krogh w drodze z umywalni kroczył przez taras, kłaniając się od czasu do czasu którejś z par tańczących za szklanymi drzwiami, drżącymi i podzwaniającymi jak żyrandole).

- No, staruszko - zaproponował Anthony. - Poskaczemy trochę?

Im więcej pił, tym bardziej zanurzał się w przeszłość. Rozpoczął wieczór błyskotliwym i pustym slangiem lat, które nastąpiły tuż po zakończeniu wojny, slangiem, który jednak wkrótce nasiąknął błotem okopów, wydestylowanym jakby spośród słownictwa, jakiego używali eks-oficerowie, plotkując pod wentylatorami o godzinie zero, w Victoria Palace, w pociągach wiozących na urlopy i na hulanki.

W powietrzu zasyczała, błysnęła i zgasła rakietka. Nie chciała się zapalić z powodu wilgoci i spadła na ziemię. Na placu otoczonym kamienną kolumnadą dansingów i restauracji szmaragdowa fontanna spływała w rozlaną płytko szmaragdową sadzawkę, tryskała w górę niby pęd jakiejś tropikalnej rośliny pod niebem zimnym i bezchmurnym i spadała w dół zielonym lśnieniem, wychlapując się z sadzawki na chodnik, srebrna na skraju zbiornika. Nad dachy wyskoczył pusty wagonik kolejki górskiej, po czym znikł piszcząc jak zgrana płyta. W budach w głębi obszarpane plutony egzekucyjne trafiały do swoich celów.

- Tędy. Chodźmy tędy.

Na spokojnym jezioru upstrzonym pudełkami po papierosach unosił się statek piracki. Obrzeżona kwiatami ścieżka biegła spiralą do niewielkiego podium, na którym dwóch mężczyzn w białych kombinezonach grało z każdym, kto podszedł, w szachy po pół korony partia. Gdzie się człowiek ruszył pośród tych różowych i zielonych placyków, w tej staran-

nie zaplanowanej ciemności, wszędzie słyszało się mimo muzyki, mimo wystrzałów syk wielkich ukrytych reflektorów i wszędzie widać było chmury ciem pędzących ku zagładzie na rozpalonych wypukłych szklach.

Wagonik kolejki w górze, w świetle, to znów w dole, w ciemności; w ciemnej budzie żywy wodotrysk przypominający postać ludzką o jasnozielonej skórze i w turbanie, woda tryskająca ze szkarłatnych stygmatów na dłoniach i stopach; kabiny grubych kobiet, wrózek, pogromczyń lwów; ómy spadające jak płatki popiołu z wygasłego pożaru, wciąż w jednym kierunku, nie sprowadzane z kursu słabym światłem żarówek w mniejszych budach.

Wysoko nad dachami wagoniki kolejki; w powietrzu rozpryskuje się rakietą, zagęszczając mrok deszczem żółtych rozprysków; obszarpany pluton nabija i strzela.

- Za dużo wypileś, żeby tańczyć - powiedziała Kate.

- Posłuchaj - przekonywał podchmielony Anthony -jeszcze jeden kieliszek, a gram przeciwko całemu światu, w cokolwiek zechcesz. W krążki. Nie widziałaś jeszcze, jak strącam krążki.

Na strumieniu wody tańczą barwne piłeczki pingpongowe.

- Chcesz lalkę? - pyta Anthony. - Czy szklaną wazę? Tylko powiedz, a wygram, co zechcesz. I tak, cóż mi pozostaje?

- Chodź, zagrasz w krążki. Sam wiesz, że nie umiesz strzelać. Trzeba trafić pięć piłeczek pięcioma strzałami, żeby wygrać. W szkole nigdy nie umiałeś trafić do celu.

- Od tamtej pory nauczyłem się coś niecoś. - Wziął z kontuaru pistolet i wycelował. - Bądź równą dziewczyną, Kate, zapłać za mnie - poprosił. Podekscytowany, zważył pistolet w rękę. - Wiesz co, Kate - dodał - chciałbym dostać jakąś pracę związaną z bronią. Instruktora w szkole czy coś podobnego.

-Ależ, Tony - zaprotestowała - nigdy nie umiałeś w nic trafić.

Otworzyła torebkę, ale nim znalazła pieniądze, Anthony wystrzelił. Podniosła oczy i ujrzała, jak na szczycie słupa wody zachwiała się żółta piłeczka.

- Co za traf! - wykrzyknęła.

Anthony potrząsnął głową, zbyt przejęty, żeby coś powiedzieć, naładował pistolet na nowo ostro zakończonym, ozdobionym piórkiem nabojem, westchnął tylko i nie celując wystrzelił. Zanim jeszcze piłeczka opadła, Kate wiedziała, że trafi; była świadkiem jedyne go być może popisu, w którym Anthony wykazywał niezrównaną zręczność - popisu w jarmarcznej strzelnicy. Nie widziała trafianych piłeczek; przyglądała się jego twarzy, poważnej, skupionej, dziwnie pełnej odpowiedzialności; palce Anthony'ego, szerokie z poobgryzаныmi paznokciami, upodobniły się nagle do palców pielęgniarki, zręcznych i delikatnych. Wetknął pod pachę ohydną niebieską wazę i zaczął od początku.

- Tony, co masz zamiar z tym zrobić? - zapytała, kiedy położył u swoich stóp futrzanego tygrysa. Zatrzymał się w trakcie otwierania zamka i zmarszczył brwi.

- Co? Co powiedziałaś?

- Z tą wazą i tygrysem. Co z nimi poczniesz? Na litość boską, nic już nie wygrywaj. Chodź, napij się.

Powoli potrząsnął głową; nieprędko pojął, o co jej chodzi, oczyma wciąż powracał do piłeczek tańczących na fontannie.

- Przecież waza zawsze się przyda, no nie? Na kwiaty i takie tam różności - powiedział.

- A ten tygrys, Tony?

- Całkiem niezły tygrys. - Nie spojrzał nawet na zabawkę, wsuwając pociski do komory zamka. - Jeżeli nie jest ci potrzebny, oddam go komuś. - Strzelał i nabijał, strzelał i nabijał, a piłeczki z trzaskiem spadały. Za nimi zebrał się niewielki tłumek.

- Dam go we wtorek tej dziewczynie - westchnął i wskazał na zieloną blaszaną papierośnicę z inicjałem „A”, po czym

wsunął ją do kieszeni i odszedł unosząc pod jedną pachą tygrysa, pod drugą wazę.

Kate musiała podbiec, aby go dogonić.

- Dokąd idziesz? - zawołała za nim i poczuła przeszywający ból jego nostalgii, kiedy odparł:

- Och, Kate, mógłbym tak bez końca - i z rozpaczą szedł dalej między reflektorami. - Raz w święto bankowców... - zaczął - ... już nigdy więcej nie byłem w kraju na święto bankowców.

- Jak nazywa się ta dziewczyna?

- Zapomniałem.

Wsunęła mu rękę pod ramię, a waza wyśliznęła się, upadła i legła u ich stóp w ohydnych niebieskich skorupach, jak stłuczona butelka - symbol zakończenia pijackiego wieczoru.

- Nie szkodzi - powiedział łagodnie, przyciągając ją do siebie bliżej - zostaje jeszcze ten tygrys.

## **Część druga**



## I

Brązowe podwoje gładko rozsunęły się i Krogh stanął na kolistym dziedzińcu; Krogh w imperium Krogha. Sześcian szkła i stali przykrywało zimne, bezchmurne niebo. Na głębokość jednego piętra widział pod sobą całą jedną kondygnację - pracujących na parterze księgowych. Szkło błyskało różowo, podświetlone elektrycznymi kominkami. W jednej chwili zauważył, że fontannę już ukończono. Ten zielony kształt niepokoił go, jak mało co oskarżał o tchórzostwo. Poparł lekkomyślnie modę, której nie rozumiał; stanowczo wolałby ustawić pośrodku fontanny marmurową boginkę, nagiego amorka, nimfę wstydliwie osłaniającą się dłońmi. Zatrzymał się, by obejrzeć rzeźbę; pozbawiony był instynktu, który by mu podpowiedział, czy jest to dzieło sztuki, czy nie; nie znał się na tym. Był zmieszany, ale nie okazywał swojego zmieszania. Gładko wygolona twarz, niby arkusz gazety z daleka ukazywała tylko śmiałe wersaliki. Drobniejszy druk, małe subtelności, skryte obawy były niewidoczne.

Poczuł nagle, że go ktoś obserwuje; poprzez szkło patrzył na niego jakiś księgowy znad maszyny, jakiś dyrektor ze swojej łoży z chromowanej stali, któraś z kelnerek zaciągająca czarne skórzane zasłony w restauracji dla dyrekcji. W górze dzień szarzał szybko, za owalnymi szklanymi ścianami zaczę-

ly zapalać się światła, podczas gdy on tracił czas przed tą zieloną rzeźbą.

Krogh wchodził po stalowych stopniach do wrót sanktuarium Krogha. Kiedy dotknął stopą najwyższego stopnia, zwolniona sprężyna rozchyliła przed nim podwoje. Schylił się wchodząc; było to przyzwyczajenie, którego nigdy się nie pozbył; mając sześć stóp i dwa cale wzrostu oraz proste, energiczne plecy, całe lata musiał pochylać się w drzwiach swojego pokoiku, potem małego mieszkania, a potem małego przedsiębiorstwa. Czekał na windę, starał się wymazać z myśli tę rzeźbę.

Winda była samoobsługowa. Krogh lubił być sam. Zamykała go teraz podwójna warstwa szkła - szklana ściana windy i szklana ściana budynku. Biuro, niby człowiek, któremu nie można ufać, podkreślało swoją przejrzystość. Krogh pomału i w ciszy wznosił się na najwyższe piętro, wciąż jeszcze widząc fontannę - oddalała się, zmniejszała, spłaszczała; kiedy naokoło dziedzińca zapaliło się ukryte oświetlenie, brutalny kształt rzeźby rzucił delikatny cień, który na kolistym wypolerowanym asfalcie wyglądał niby rysunek na porcelanie. Krogh pomyślał z niejasnym żalem: - O czymś zapomniałem,

Wszedł do swojego gabinetu i zamknął drzwi; papiery, które kazał sobie przynieść, leżały uporządkowane na biurku zaokrąglonym tak, żeby pasowało do kształtu szklanej ściany. W oknie odbijał się kominiek, okrągły kłoc drewna obsunął się, opadł i w szybie wzniósł się kurz białych, zimnych iskier. Był to w całym budynku jedyny pokój nie ogrzewany elektrycznością. W tym dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, w tej arktycznej izolacji łagodne pulsowanie ognia stanowiło dla Krogha jakąś formę towarzystwa.

W dole noc skapywała na dziedziniec jak strużki atramentu w szary połyskliwy płyn. Zastanawiał się, czy popełnił omyłkę co do tej fontanny.

Podszedł do biurka i zadzwonił do jednej ze swoich sekretarek.

- Kiedy wraca panna Farrant?

- Oczekujemy jej dzisiaj, panie dyrektorze - odpowiedział głos w mikrofonie.

Usiadł za biurkiem i beczynn timer rozłożył dłonie; człowiek rodzi się z tym, co ma wypisane na lewej dłoni, z prawej dłoni można odczytać to, co zrobił ze swoim życiem. Ta podejrzana gałąź wiedzy była mu na tyle znana, że rozpoznawał Sukces i Długie Życie.

Sukces: był zupełnie pewny, że nań zasłużył; istniało tych pięć pięter stali i szkła, rozpryskująca się w świetle krytych lamp fontanna, dywidendy, nowe filie, zamykane po upływie dwunastu godzin listy; przyjemnie było pomyśleć, że nikt poza nim nie przyczynił się do jego sukcesu. Gdyby jutro umarł, towarzystwo zbankrutowałoby, jego prywatny kredyt zapewniał trwałość całej skomplikowanej sieci towarzystw subsydiowanych. Nigdy nie przejmował się czymś takim jak uczciwość; było się uczciwym tak długo, jak długo miało się pewny kredyt, a jego kredyt, co przyznawał z dumą, o punkt przewyższał kredyt rządu Francji. Od lat był w stanie pożyczać pieniądze na cztery procent i brać za nie od rządu Francji pięć. To była uczciwość - coś, co da się zmierzyć terminami i liczbami. Dopiero w ciągu ostatnich trzech miesięcy odczuł, że ten kredyt nie tyle się zachwiał, co niedostrzegalnie skurczył.

Ale nie bał się. Fabryki w Ameryce zrobią z tym porządek w parę tygodni. Nie wierzył w Boga, lecz bez zastrzeżeń wierzył w linie na swojej dłoni. Powiedziały mu one, że jego życie będzie trwało długo, a był pewien, że nie przeżyje swojego przedsiębiorstwa. Gdyby ono upadło, bez wahania popełniłby samobójstwo. Człowiek z jego autorytetem nie idzie do więzienia. Przykładem dla niego był Kreuger, leżący z kulką w głowie w paryskim hotelu. Nie kwestionował swojej odwagi do

#### **4. Made In England**

dokonania tego ostatniego aktu, tak samo jak nie kwestionował swojej uczciwości.

Znowu mgliście zaczęła go dręczyć myśl, że czegoś zaniedbał. Wróciło męczące wspomnienie rzeźby na dziedzińcu. Przy wznoszeniu tego budynku zatrudnił najlepszych szwedzkich architektów, rzeźbiarzy i dekoratorów. Zza półkolistego biurka rzeźbionego w drewnie tui spojrzął na szklane ściany, przeniósł oczy z zegara ze ślepym cyferblatem na statuetkę kobiety w ciąży, stojącą między oknami. Nic nie rozumiał. Te przedmioty nie sprawiały mu żadnej przyjemności. Zmuszono go, żeby przyjął to wszystko na wiarę. Robiły na nim wrażenie akurat tak długo, jak długo zegar nie wydzwonił owej pół godziny, którą nikt nigdy nie nauczył go się cieszyć.

A jednak trzeba było jakoś spędzić te wieczorne godziny, zanim zmęczy się na tyle, żeby pójść spać. Odsunął szufladę biurka i wyjął kopertę. Wiedział, co zawiera: były to bilety do opery na dziś wieczór, na jutrzejszy wieczór, na cały tydzień. Jest Kroghiem; musi się wykazywać w Sztokholmie swoim zamiłowaniem do muzyki. Siadał zwykle w przytulnym odosobnieniu własnego pomysłu, mając z jednej i drugiej strony obok siebie pusty fotel. Eksponowało to za jednym zamachem jego obecność i strzegło przed okazaniem ignorancji, gdyż nie mógł go byle nachalny sąsiad pytać o zdanie na temat muzyki, a jeśli zdrzemnął się trochę, nikt nie mógł tego zauważyć.

Zadzwoił do sekretarki.

- Gdybym był potrzebny - powiedział - będę na herbacie w poselstwie angielskim. Proszę tam łączyć wszystkie rozmowy zamiejscowe.

- A notowania z Wall Street?

- Wrócę na czas.

- Właśnie dzwonił pana szofer, panie dyrektorze. Auto popsuło się.

- Tak. Nic nie szkodzi. Pójdę pieszo.

50

Wstając zaczepił marynarką o popielniczkę i zrzucił ją na podłogę. Zobaczył swoje własne inicjały: E.K. Projektantem monogramu był słynny szwedzki artysta. E.K. - te dwie litery powielone bez końca układały się we wzór na puszystym dywanie, po którym stapał w drodze do drzwi. E.K. w restauracjach - cały gmach upstrzony jego monogramem. E.K. głośno elektryczne lampki nad drzwiami, nad fontanną, nad bramą na dziedzińcu. Litery błyskały ku niemu jak światła semaforów przynoszące wieści z daleka, ponad oddaleniem, jakie dzieliło go od innych ludzi. Była to wieść pełna podziwu; patrząc na te światła zupełnie zapomniał, że zainstalowano je na jego rozkaz. Na zimnym kamieniu E.K. wyblyskiwały haracz od jego udziałowców; był to najbliższy kontakt z ludźmi, jaki osiągnął.

- No, panie dyrektorze, na koniec toto jest gotowe. Krogh spojrzął w dół; w Jego oczach zgasło odbicie światła;

dostrzegł obojętnie postać portiera, który, rozpromieniony, zacierał ręce z wylewną dobroduszością.

-Mówię o tej rzeźbie, panie dyrektorze, że już zrobiona, gotowa.

- No i co wy na to?

- Ba, panie dyrektorze, trochę to ona dziwaczna. Nie rozumiem tego. Słyszałem, że pan Laurin mówił...

Zirytowało go, że człowiek, który z racji swojej młodości i braku doświadczenia wszystko mu zawdzięcza - komuż bowiem śniłoby się wyznaczać Laurina, szarego, niepozornego Laurina, na dyrektora, jeśli nie samemu Kroghowi - że ten człowiek może go niepokoić przez chwilę swoimi wątpliwościami.

- Proszę zapamiętać sobie...- widział, jak wylewność małego człowieczka usycha - tę figurę wykonał najlepszy szwedzki rzeźbiarz i portier nie musi jej rozumieć, zadaniem portiera jest informować odwiedzających, że wykonał ją...wykonał ją... dowiedźcie się nazwiska od mojej sekretarki, ale nie chcę słyszeć, że opowiadacie odwiedzającym, że ta rzeźba jest trudna do zrozumienia. To dzieło sztuki. Zapamiętajcie sobie.

Przeszedł przez dziedziniec i znów się odwrócił; światła jego monogramu migotały poprzez spadającą wodę.

- Gdyby ta rzeźba nie była dziełem sztuki, zakłady Krogha nigdy by jej nie zamówiły.

Na tle nieba rozciągały się światła położonego na wzgórzu Djurgarden, światła restauracji, wysokiej wieży w Skansen, wieżyczek i kolejek górskich Tivoli. Znad wody unosiła się przejrzysta niebieska mgiełka, przysłaniając łodzie motorowe, pełznące powoli ku światłom zakotwiczonych parowców. Naprzeciwko Grand Hotelu stał na kotwicy angielski statek wycieczkowy, w świetle ulicznych lamp lśnił białą farbą, a poprzez olinowanie Krogh widział nakryte stoliki, kelnerów wnoszących kwiaty, rząd taksówek na North Strand. Po tarasie pałacu tam i z powrotem spacerował wartownik, światło latarni zapalało się chwilami na jego bagnecie, mgła wpełzła na taras, pod stopy. W wilgotnym powietrzu unosiły się i zatrzymywały dochodzące zewsząd tony muzyki, szkielet melodii nad jesiennym obumieraniem.

Na Moście Północnym Krogh podniósł kołnierz płaszcza. Otaczała go mgła. Restauracja pod mostem była zamknięta, szklane ścianki spływały wilgocią, parę doniczkowych palm umierając wyciągało liście do okien, do ciemności, do statków w porcie. Jesień przyszła wcześniej; snuła się jak dym po nagich udach jakiegoś pomnika. Oficjalnie jednak było jeszcze lato (Tivoli wciąż jeszcze czynne), mimo chłódów, wiatru, grząskiego błota i podwiewanych w górę parasoli wokół kamiennego Gustawa. Minęła go drobnymi kroczkami kobieta ciągnąca za rękę dziecko, studentka w spiczastej czapce uskokczyła przed podjeżdżającą do krawężnika taksówką, naprzeciwko jakiś mężczyzna pchał na moście pod górę wózek z gorącymi kasztanami.

Widać było stąd czworokątny, obwieszony balkonami blok na Norr Mälarstrand, w którym mieszkał. Od dzielnicy robotniczej po drugiej stronie dzieliła go szerokość jeziora Mäla-

ren. Z okna bawialni mógł obserwować parowce z Góteborga wiozące przez kanał cudzoziemskich pasażerów. Po drodze mijały miejsce jego urodzenia, o świcie wylaniały się bezszelestnie z serca Szwecji, spośród srebrnych brzozowych lasów nad jeziorem Vatten, kolorowych drewnianych domków, małych przystani-pomostów, na których z ziemi cienko pokrywającej skałę kury wygrzebywały robaki. Krogh, ten kosmopolita pracujący w fabrykach całej Ameryki i całej Francji, mówił po angielsku i po francusku tak samo jak po szwedzku i pożyczał pieniądze rządowi wszystkich krajów europejskich, wieczorami przyglądał się parowcom zawijającym do przystani naprzeciwko ratusza z uczuciem, że coś zgubił, coś zaniedbał, coś uparcie żywego.

Odwrócił się od nabrzeża. Sklepy na Fredsgatan były pozamykane; ludzi spotykało się niewiele. Poczł zimno, więc rozejrzał się za taksówką. Zobaczył jakieś auto w głębi wąskiej uliczki na prawo i zatrzymał się na rogu. Tramwaje z piskiem przejeżdżały przez Tegelbacken, ponad dachami dobiegł z wiatrem gwizd jakiegoś pociągu. Auto jadące zbyt szybko jak na taksówkę zahaczyło niemal o chodnik, na którym stał Krogh, i natychmiast zniknęło wśród tramwajów, szyn i świateł Tegelbacken, pozostawiając po sobie wrażenie lekkomyślności, huk strzelających spalin i zapach benzyny. W bocznej uliczce szofer taksówki zapalił silnik i wolno zajechał na róg przed Krogha. Wybuch w rurze wydechowej znów przywołał wspomnienie jeziora Vatten i szumu skrzydeł dzikich kaczek zrywających się ciężko spośród trzciny. Podniósł wiosła i siedział cicho, kiedy ojciec strzelał; był głodny, a od tego strzału zależał obiad. Ostry, gorzki zapach osiadł nad łódką, ptak zachwiał się w powietrzu, jakby uderzony jakąś wielką dłonią.

-Taksówka, panie Krogh.

Gdybym był w Ameryce, pomyślał Krogh, mógłby to być strzał - i odwrócił się gwałtownie do kierowcy.

- Skąd znacie moje nazwisko?

Kierowca o twarzy jakby drewnianej i osmaganej wiatrem popatrzy! na niego.

- Każdy by pana pozna!. Jest pan taki sam jak na fotografiach.

Kaczka trzepocząc skrzydłami opadła w dół, jakby powietrze stało się za rzadkie, by ją utrzymać. Spadła i leżała w wodzie. Kiedy dopłynęli, nie żyła, dziób zanurzony był pod wodą, jedno skrzydło wystawało nad powierzchnię, jak skrzydło zestrzelonego i opuszczonego samolotu.

- Proszę zawieźć mnie do poselstwa angielskiego - rzuci! Krogh.

Opar! się o poduszki w głębi taksówki i patrzył, jak za szybą twarze wyłaniają się z mgły i znów odpływają. Falowały, bezpieczne i szczęśliwe w swojej anonimowości, w drodze do kolejek w Tivoli, tanich miejsc w kinie, w drodze do miłości w cichych pokojach. Zaciągnął! firanki i w ciemnej trzęsącej się klatce usiłował myśleć o cyfrach, sprawozdaniach, umowach.

Człowiek na moim stanowisku powinien mieć ochronę, uprzytomnił sobie, tyle że za opiekę policyjną trzeba płacić odpowiedziami na pytania. Dowiedzieliby się o amerykańskim monopolu, który nawet jego dyrektorzy uważali za pozostający jeszcze w stadium negocjacji; dowiedzieliby się za dużo o wielu innych sprawach, a zbyt często o tym, co wie policja, natychmiast dowiaduje się i prasa. Świadomość, że nie może sobie pozwolić na ochronę policji, dotknęła go boleśnie. Płacąc kierowcy za kurs, po raz pierwszy odczuł swoje odosobnienie jako słabość.

Słychać było syrenę parowca na jeziorze i ciężkie dudnienie jego maszyn. Dźwięki dochodziły z mgły stłumione, jakby wilgoć gasiła w nich ludzkie uczucia, jak dudnienie silnika zalanego przez wodę i tonącego statku.



## II

Krogh nie należał do ludzi analizujących własne uczucia, co najwyżej mówi! sobie: „Wtedy to a wtedy byłem szczęśliwy; teraz jest mi źle”. Przez szklane drzwi zobaczył angielskiego lokaja kroczącego w dół po marmurowych schodach. Szczęśliwy był tamtego roku w Chicago.

- Czy pan minister w domu?

- Tak, proszę pana.

Wszedł na górę za służącym; szczęśliwy był w Hiszpanii. Jego wspomnienia nie wiązały się z kobietami. Pomyślał: -Byłem szczęśliwy tamtego roku - i przypomniał sobie tę małą maszynkę, nie większą od walizki, maszynkę, która na stole w jego pokoju zaczęła działać; przypomniał sobie, jak przez cały wieczór nie spuszczał z niej oka, nic nie jedząc, nic nie pijąc, i jak przez całą noc leżał na wznak nie mogąc usnąć, zdolny tylko powtarzać sobie bez końca: „Miałem rację. Tarcie jest właściwie nieznaczące”.

- Pan Erik Krogh.

Pokój był pełen kobiet, nie sprawiło mu to bynajmniej przyjemności, ich ciekawe i pełne skrytej chciwości spojrzenia, jakimi obrzuciły drzwi (najbogatszy człowiek w Europie), ich twarze stare, gładkie i jaskrawo wymalowane jak iluminacje ze starego mszału, pieczołowicie przechowywane pod szkłem, otwarte dla zwiedzających, zawsze na tej samej stronie. Mini-

ster gromadził wokół siebie kobiety podstarzałe. W tej chwili<sup>za</sup>Jęty był małą, srebrną maszynką spirytusową ustawioną pod imbrykiem (zawsze sam nalewał herbatę), a minutę później, skinąwszy głową w stronę Krogha, srebrnymi szczypczykami unosił z podstawki plasterki cytryny.

Do Krogha zwróciła się kobieta przypominająca sępa:

- To wielki dzień, proszę pana.

Spotykał ją w poselstwie często i przypuszczał, że to jakaś krewna ministra, ale nazwisko jej umknęło mu z pamięci.

- Wielki dzień?

- Nowy tom poezji.

- Ach, nowy tom poezji,

Wzięła go pod rękę i poprowadziła do filigranowego stolika w stylu chippendale w rogu pokoju najbardziej odległym od ministra rozlewającego herbatę. Całe urządzenie pokoju stanowiły chippendale i srebra; zupełnie obcy tu, w Sztokholmie, pokój przypominał jednak kulturalnego cudzoziemca, który zupełnie dobrze mówi miejscowym językiem, nasiąknął też wieloma miejscowymi dziwactwami i formami grzecznościowymi, choć w stopniu niewystarczającym, by Krogh mógł czuć się w nim dobrze.

- Nie rozumiem poezji - wyznał niechętnie.

Nie lubił przyznawać, że istnieje coś, czego nie rozumie; wolał zaczekać, aż usłyszy opinię jakiegoś znawcy, którą mógłby przyswoić, ale jedno spojrzenie powiedziało mu, że tu, w tym pokoju, czekałby na próżno. Podstarzałe damy kolonii angielskiej ćwierkały jak szpaki wokół stołu z herbatą.

- Pan minister byłby bardzo zawiedziony, gdyby pan nie obejrzał książki.

Krogh spojrział. Obok strony tytułowej widniała reprodukcja portretu De Laszlo: gładkie siwe włosy, nieco nieszczerze kpiące oczy w siatce zmarszczek, drobne okrągłe policzki podobne do jabłuszek.  
*Viol and Vine.*

- *Viol and Vine* - przeczytał Krogh. - Co to znaczy?

- No - odpowiedziała kobieta o posępnej twarzy - no wie pan, viola da gamba i... i wino.

- Angielska poezja sprawia mi zawsze dużo trudności - powiedział.

- Ale musi pan choć trochę przeczytać.

Wcisnęła mu książkę do rąk, a on z głębokim szacunkiem, jaki rezerwował dla cudzoziemek, posłuchał jej, stojąc sztywno wyprostowany z książką nieco odsuniętą i uniesioną prawie na wysokość oczu. „Pamięci Dowsona” przeczytał, słysząc za sobą dźwięczący wśród porcelany głos ministra.

*Ja, com wraz z tobą w smutku róże zrywał, I ten puchar rozpaczy wychylił z żalobą, Widzę, przychodząc tu, gdzie serce twe spoczywa, Duchy nędznych ulicznic, któreśmy wraz z tobą...*

- Nie - powiedział Krogh. - Nie. Zupełnie tego nie rozumiem.

Był zmieszany. Najwyżej cenił sobie poprawność: poprawność maszyny, poprawność sprawozdania. Mężczyzna musi czasami zadać się z kobietą - pomyślał chłodno - tak jak czasami musi się ukryć pewne aktywa, ukryć istotną wartość niektórych udziałów, ale takie rzeczy robi się w określony sposób. Przyjrzał się ze zdumieniem i podejrzliwością ministrowi skubiącemu ciasteczko. Męczyły go obyczaj, który nie pojmował, i słowa, jakich nie uznawał, pomyślał po raz drugi tego popołudnia o swoim nędznym pokoiku w Barcelonie i o tym małym modelu maszyny, który przekreślił dla niego koło fortuny: wielkiego bogactwa, wielkich wpływów, a także tego znużenia i tego niepokoju. Skoro wszedł na rynek amerykański, musi być przygotowany na metody amerykańskie.

Pomyślał o Chicago. W Chicago był szczęśliwy, w Chicago nie tkniętym jeszcze przez wojny gangów. To były dawne czasy, przed Barceloną; teraz już nie mógł przypomnieć sobie, dlaczego był szczęśliwy. Pamiętał tylko takie rzeczy, jak lód na

jeziorze, jakiś wynajęty pokój z hamakowym łóżkiem, most, przy którego budowie pracował, i jak pewnej nocy, kiedy padał śnieg, kupił na rogu ulicy parówkę i zjadł ją pod filarem mostu, osłonięty od wiatru. Prawdopodobnie miał przyjaciół, aie nie mógł ich sobie przypomnieć, miał jakieś dziewczyny, ale w pamięci nie pozostała mu ani jedna twarz. Był jeszcze wtedy człowiekiem, na którego nie miała wpływu kariera.

Teraz nie miał nadziei uwolnić się spod jej wpływu - nawet tu, w tym jasnym i przestronnym pokoju o białych ścianach, w którym napotykał wzrok ministra nad spirytusowym prymusem. Wiedział, że zaraz się zacznie uciążliwe wypytywanie: czyjego, Krogha, zdaniem, guma ma jakieś perspektywy? Kiedy zacznie się hossa na srebro? Kawa z San Paulo, meksykańskie koleje, inwestycje w Rio de Janeiro, a na koniec te grzeczności, ten protekcjonalizm: kazałem swojemu maklerowi zakupić dwieście akcji pańskiej nowej filii - jakby Erik Krogh winien był wdzięczność autorowi *Viol and Vine* za dwieście funtów pożyczki.

Głosy dobiegały do niego falami, załamując się w miejscu, gdzie nad swoją rockinghamską porcelaną stał pan minister, i rozchodziły się zmarszczkami w jego stronę, cichnąc o kilka jardów dalej, znów wznosząc się nagłym przyływem, aby po raz któryś tam wspiąć się i opaść nad stołem z herbatą. Wycofała się nawet dama o sępiej twarzy; podobnie jak inni nie czuła się zdolna podtrzymać rozmowy o finansach; ani wszystkie te wieczory w operze, kiedy starał się nie zasnąć, ani stateczne fokstroty z Kate w najmodniejszych lokalach, ani przyjęcia urządzone w wytapetowanych zbiorowymi edycjami salonach nie zdołały przekonać ich, że Krogh to człowiek, który podziela ich zamięłowania. I oczywiście, pomyślał, znowu na chybił trafił otwierając tomik *Viol and Vine*, mają rację: nie rozumiem tych rzeczy. Gdyby tylko Kate była ze mną.

Drzwi otworzyły się cicho, podszedł do niego na palcach lokaj.

- Telefon z Amsterdamu, proszę pana.

Wiadomość ta pokrzepiła go i przez moment poczuł się szczęśliwy. Wyszedł za służącym z pokoju i udał się przez obwieszony kolorowymi obrazami korytarz do gabinetu ministra. Zaczekał z podniesieniem słuchawki, aż wyjdzie służący.

- Hullo - powiedział po angielsku. - Halo, to ty. Hall? pdpowiedział mu głos bardzo cichy i bardzo wyraźny,

chropawy i zniekształcony przez dzielące ich mile:

- To ja, panie dyrektorze.

- Mówię z poselstwa angielskiego. Powiedz mi, co dzieje się na giełdzie.

- Nadal pozbywają się akcji.

- Ty oczywiście kupowałeś?

- Tak, panie dyrektorze.

- Utrzymałeś cenę? -Tak, ale...

„Tak, ale...” - był to ten sam głos pełen zastrzeżeń, głos z lekkim akcentem cockneya, który przedostał się kiedyś do ubogiego pokoiku w Barcelonie. „Powiadam ci, że to właściwie nie jest tarcie”. „Tak, ale...” W tym człowieku nie ma nic oprócz wierności, pomyślał o Hallu z irytacją, aż dziwne, że kiedyś rozmawiali ze sobą zupełnie jak równy z równym, że byli Jimem i Erikiem (a nie Hallem i dyrektorem), że jeden drugiemu pożyczał świąteczny garnitur, pili razem w winiarni przy Buli Ring.

- Kupuj dalej. Cena nie może spaść więcej niż o pół punktu.

- Tak, panie dyrektorze, ale...

Gdyby nie to, że na Hallu tak zupełnie można było polegać, on byłby teraz dyrektorem, nie Laurin. Hall i Kate. Kate i Hall.

- Słuchaj - powiedział Krogh ~ te akcje są prawie bezwartościowe. Lepiej, żeby znalazły się w naszych rękach. Lepiej,

żeby nikt nas o nic nie pytał. - Hallowi trzeba było wszystko tłumaczyć jak dziecku.

- Jeżeli I.G.S. może sobie na to pozwolić...

- Oczywiście, że może. Dziś mamy Rumunię, za tydzień, dwa będziemy mieli Amerykę.

- Pieniądze się kończą.

- Pieniądze mogą zdobyć zawsze.

- Trzy minuty minęły - wtrąciła telefonistka.

- Dongen... - Głos Halla rozcięło jak blaszkę, telefon gwizdnął i jęknął, odezwał się jakiś zanikający głos: - *Une femme insensible* - po nim cisza i delikatne pukanie do drzwi.

- Proszę - powiedział Krogh.

- Mój drogi - zagadnął minister wysuwając głowę zza drzwi. Wszedł na palcach. - Nie chcę panu przeszkadzać, ale muszę choć na moment wyrwać się tym harpiom. Jakies obrzydliwe babsko stłukło właśnie jedną z moich filizanek. Ach, widzę, że pan jeszcze dzwoni.

- Nie. Właśnie skończyłem. - Krogh odłożył słuchawkę.

- Co za życie - ciągnął minister - jest pan przywiązany do telefonu. Pieniądze, cyfry, akcje od rana do nocy. Nawet nie był pan wczoraj w operze, prawda?

- Nie byłem - odparł Krogh. - Miałem zamiar pójść, ale coś mi przeszkodziło.

- Wie pan co - kontynuował minister - wczoraj zaopatrzyłem się w pewną ilość pańskich nowych akcji.

- Nie zrobił pan złego interesu.

- Oczywiście, właściwie to wcale się nie spodziewałem, że uda mi się coś kupić. Jestem w tych sprawach dość powolny. Doprawdy, mój drogi, byłem zdumiony, kiedy dowiedziałem się, że listy są jeszcze otwarte. Po dwunastu godzinach.

- Ludzie nie mają tyle pieniędzy co dawniej.

- Oczywiście. Ja nie spekuluję. Właściwie kupiłem je dlatego, że uważam akcje Krogha za złoty interes... - Jak szara

niespokojna zjawą podfrunął od drzwi do okna, od okna do półek. Coś go trapiło.

- Nie są złotym interesem, przynosząc dziesięć procent, sir Ronaldzie.

- Wiem, wiem, mój drogi, ale panu człowiek wierzy. Prawdę mówiąc, zrobiłem coś, co...napije się pan whisky?... co parę lat temu uważałbym za lekkomyślność. W akcje pańskiej najnowszej filii wsadziłem mnóstwo pieniędzy, jak na mnie -diabelne mnóstwo. To pewne akcje, prawda?

- Tak pewne, jak akcje macierzystego towarzystwa.

- No tak, oczywiście. Musiało się panu wydać dziwne, że o to pytałem, ale jeszcze nigdy nie położyłem tyle na jedną szalę. Do licha, Krogh, człowiek w moim wieku nie powinien się troszczyć o pieniądze. Mój ojciec nie był do tego zmuszony. Wystarczyły mu papiery konsolidacyjne. Ale dziś nie można mieć zaufania nawet do akcji rządowych. Rządy labourzy-stowskie, moratoria, wszystko jest takie niepewne. Czy pan wie, Krogh, w zeszłym roku zbankrutowało dwóch moich znajomych. To znaczy, stracili wszystko. Nie szło o sprzedanie auta czy stajni wyścigowej. Zostali na lodzie z jakimiś dziesięcioma funtami na tydzień. To każe się człowiekowi zastanowić, mój drogi, to każe pomyśleć.

- Ma pan trochę akcji Zakładów Metalurgicznych? -Tak, jakieś parę tysięcy. Stoją bardzo dobrze. To nie akcje Krogha, oczywiście, ale jednak, mój drogi, bardzo dobre.

- Jeśli wolno mi radzić, na pana miejscu - powiedział Krogh - zaraz z samego rana porozumiałbym się ze swoim agentem. Przypuszczam, że jutro będą stały sto dwadzieścia pięć szylingów, mogą nawet osiągnąć sto trzydzieści, ale niech mu pan każe je sprzedać, jak tylko dojdą do stu dwudziestu pięciu. Pod koniec tygodnia spadną do osiemdziesięciu szylingów.

- Pan jest bardzo uprzejmy, doprawdy, bardzo uprzejmy. Jeśli pańskie listy nie będą jeszcze zamknięte, zastanawiam się, doprawdy, czy na tej samej szali jeszcze...

- Proszę zadzwonić jutro do mojej sekretarki, panny Far-rant. Przypuszczam, że będę mógł odstąpić panu jakieś tysiąc według parytetu. Dla dobra przyjaźni - oznajmił, ale ta próba uprzejmości zabrzmiała lodowato.

Minister tupął po gabinecie w podnieceniu, kołyszając mono-kłem, mówiąc o perspektywach gumy, o inwestycjach w Rio, raz po raz wracając do akcji Zakładów Metalurgicznych. Było coś sympatycznego w jego pazerności, jego sposób bycia, dziecięcy i niezręczny, pozbawiał chciwość połowy jej zwykłego chamstwa. Krogh patrzył i słuchał trochę zirytowany, stojąc sztywno przed półką z książkami, na której znajdowało się parę prac pióra sir Ronalda: *Srebrne ostrze*, *Niegdyś pod Syreną* i *Pielgrzym w Tessali*. Na tę sztywność składały się po części duma, po części niechęć, której nie umiał ukryć, do tego dyletanta finansowego, a po części nieokrzesanie ubogiej przeszłości: drewniana chata, noce na jeziorze, dzikie gęsi i most w Chicago,

- Czy dawno widział się pan z księciem? - zapytał sir Ronald.

- Z księciem, z księciem - zastanowił się Krogh - och, zdaje się, że w ubiegłym tygodniu. - Mały grający zegar wybił godzinę. - Muszę już iść - oświadczył. - Nadeszły notowania z Wall Street. - Ale mimo dwudziestu lat bogactwa i powodzenia wciąż czuł się skrępowany, wciąż bał się jakiegoś potknięcia towarzyskiego, które mogłoby zdradzić jego chłopskie pochodzenie. Obserwował tamtego z widocznym wahaniem - czy ma się uklonić, czy podać rękę, czy po prostu uśmiechnąć się i skinąć głową. Zaprzętało go to równie głęboko jak jakiś problem finansowy.

- Więc, jeżeli zadzwonię... - mówił minister wprawiając swój monokl w ruch wirowy.

Nagle (Krogh sam nie wiedział, z jak dalekiej przeszłości) przypomniał mu się jakiś zupełnie prostacki i nieprzyzwoity dowcip: przyniósł ze sobą ciepło dawnej, jakby odnowionej



przyjaźni - zaskoczy go i wywoła! na usta niezwykle serdeczny uśmiech.

- Co pana tak cieszy, mój drogi? - zapyta! zdumiony minister.

Tego dowcipu jednak, niby starego przyjaciela, nikomu nie można było wyjawić - należał do innego, bardziej zgrzebnego, biedniejszego, serdeczniejszego okresu. Teraz Krogh wstydził się go, nie przekazałby nowym przyjaciołom - ani ministrowi, ani księciu, ani nawet Kate: takiego karmi się po swojemu, zaopatruje w pieniądze i odsyła - przynajmniej nigdy nie wróci i nie będzie szantażować. Ale wspomnienie pozostawiło po sobie uczucie samotności, pustki, jakby teraz jego życie zacieśniło się, zamiast nieskończenie poszerzyć. „A kiedy doszli do tego burdelu...”

- Nic, nic. Pewna myśl. Muszę iść.

Ale zadzwonił telefon. Minister podniósł słuchawkę i oddał ją Kroghowi.

- Do pana, mój drogi. Zostawiam pana. Kiedy pan skończy, proszę zadzwonić, Calloway pana wypuści.

Wylewnie ścisnął ramię Krogha i na palcach wyszedł! z pokoju. Raz jeszcze zajrzał! i przypomniał:

- Zadzwonię jutro o jedenastej.

- Ależ to niemożliwe - mówi! Krogh. - Mamy zaufanych ludzi w każdym dziale. Co oni robili? - Kiedy usłyszał ministra, dodał: - Natychmiast wracam. Skontaktujcie się z panem Laurinem, on umie z nimi rozmawiać.

Niecierpliwi! się. Ruszy! do drzwi. Nie chciał czekać na Callowaya, powstrzymało go jednak na korytarzu delikatne podzwanianie tiliżanek i widok oprawnych w złoto portretów dygnitarzy. Zesztywniał, zawrócił! i zadzwonił.

- Niemiły wieczór, proszę pana - oznajmił Calloway, podając mu płaszcz. - Nadal ta sama nieprzyjemna mgła, jak wczoraj.

- Proszę wezwać taksówkę.

Patrzył na Callowaya stojącego na środku jezdni z dwoma palcami w górze i myślał: - Chciał ze mną pogadać. Zdaje się, że nawet Calloway kupuje udziały. A może chciał tylko zamienić parę słów o pogodzie. W jaki sposób rozmawia się z ludźmi? Jak należy się zwracać do ludzi o innych zainteresowaniach, innych przyzwyczajeniach? Pomiędzy nim a Callowayem przejechał oddział konnicy, na chwilę tego łysego mężczyznę w krótkim czarnym żakiecie przesłonił ruchomy las oficerskiego szychu i pióropuszy. Oficer dostrzegł Krogha na stopniach poselstwa, skinął głową i pomachał ręką w białej rękawiczce; konie podrzucały łbami, stąpając lekko w świetle latarń, powiewając kasztanowatymi ogonami. Ludzie na chodniku bez ruchu przyglądali się przejeżdżającym i uśmiechali się do żołnierzy, jakby defilowało przed nimi coś młodego, pięknego i lekkomyślnego. Zdawało się to nie wzruszać jedynie Callowaya, rozglądającego się i gestami przyzywającego taksówkę.

Monogram nad wejściem na dziedziniec nie palił się. Pierścien małych poczerńiałych żarówek przypominał mu starą, zmatowiałą srebrną broszkę. Ostro zapytał portiera:

- Dlaczego nie zapalono tu świateł?

- Pan Laurin przysłał przedwczoraj papierek, żeby gasić po szóstej.

- Natychmiast zapalić - rozkazał Krogh.

Na biurku leżała wypisana na maszynie lista ostatnich notowań z Wall Street, w sąsiednim pokoju słychać było stukanie maszynistki, jakby ktoś szył na maszynie.

- Czy panna Farrant wróciła?

- Jeszcze nie, panie dyrektorze. - Zastępczyni Kate czekała przy jego biurku, szczupła, siwa, cierpiąca na nerwowy tik w jednej powiece.

- Ten strajk. Kiedy o nim zawiadomiono?

- Zaraz po pana wyjściu, panie dyrektorze.

- I zapowiedzieli go na jutro?

- Jutro w południe.
- W ilu fabrykach?
- W trzech.
- Przywódca?
- Informator z Nyköping doniósł, że to Andersson...
- Czy szło o zwolnienie z pracy, czy tylko o płacę? Dziś wieczorem trzeba to załatwić.
- Raport z Nyköping... leży tutaj, panie dyrektorze, obok kwiatów... sugeruje, że to wpływy amerykańskie...
- Naturalnie - powiedział Krogh. - To oczywiste. Ale jaki był pretekst?
- Słyszeli coś o niskich płacach, jakie pan proponuje w Ameryce. Redukcje u nas, bezrobocie.
- Dlaczego mieliby się przejmować tym, co dzieje się w Ameryce?
- Ten Andersson uchodzi za socjalistę...
- Niech pani ściągnie Laurina. Natychmiast. Nie możemy tracić czasu. On umie z nimi rozmawiać.
- Było to jedyne, do czego Laurin się nadawał, wprowadził go do Rady Nadzorczej nie dla jakiegoś innego powodu - czasami potrzebny był człowiek bez żadnych specjalnych kwalifikacji poza łatwością porozumiewania się z ludźmi, umiejętnością współżycia.
- Usiłowałam połączyć się z panem Laurinem. Ale nie ma go w Sztokholmie.
- Musi wrócić.
- Dzwoniłam do niego do domu. Leży chory w łóżku. Czy mam zadzwonić do pana Asplunda, pana Bergstena?
- Nie - odpowiedział Krogh. - Oni do niczego się nie przydadzą. Gdyby tylko Hall był tutaj.
- Czy mam wysłać samochód po Anderssona? Pan może z nim sam tutaj porozmawiać, panie dyrektorze. To zajmie zaledwie dziesięć minut.
- Pani rady są bezużyteczne - przerwał ostro Krogh. - Bę-

## **5. Made in England**

dę musiał sam pojechać do tego człowieka. Niech auto czeka za pięć minut.

Spojrzał na notowania z Wall Street i spróbował je czytać. Nie miał pojęcia, co powiedzieć Anderssonowi. E. K. na popielniczce, E.K. na dywanie, rozbłyskujące nad fontanną, kiedy czekał, E. K. nad wejściem na dziedziniec - otaczał wokół sam siebie. Wydawało mu się, że zawsze był w ten sposób otoczony. Cóż może powiedzieć Anderssonowi? Może mu zaproponować pieniądze, ale jeżeli nie zechce pieniędzy?... Musi być miły, musi Anderssona ośmielić, musi z nim porozmawiać jak równy z równym. Fakt, że Laurin, o którym wczoraj tak łatwo zapomniał, którym gardził, nie widziałby najmniejszej trudności w rozmowie z tymi ludźmi, wydał mu się okrutną niesprawiedliwością. Od czego Laurin by zaczął? Często obserwował go w trakcie wykonywania tej sztuczki. Opowiadał jakiś dowcip i zaraz wszyscy czuli się swobodnie.

Ja też - pomyślał Krogh - muszę opowiedzieć jakiś żart. Wydarł kartkę z notosu i zapisał na niej, podkreślając, słowo: „żart”. Jaki żart? „A kiedy przyszli do tego burdelu...”. U ministra uśmiechnął się na wspomnienie tego dowcipu. Przywędrował on z zapomnianej przeszłości, niosąc ze sobą cały patos i piękno związane z czymś, co wydarzyło się w biednej młodości, właściwie nigdy do końca nie zapomnianej. Uprzytomnił sobie, że już się nie może uśmiechnąć; poczuł wstyd i smutek na myśl, że nawet z tej anegdotki musi zrobić narzędzie służące jego karierze, innych żartów nie mógł sobie przypomnieć.

No dobrze, zastanowił się, a co dalej? Co Laurin powiedziałby potem? Może zapytałby tego człowieka o jego rodzinę. Zadzwoił do sekretarki i natychmiast zanotował pod słowem „żart”, na tym samym kawałku papieru: „żona, dwóch synów, jeden w fabryce, córka lat dziewięć”. Starannie zapisał te słowa i podkreślił je, po czym podarł kartkę i strzępki upuścił na podłogę. Spotkania z człowiekiem nie planuje się na wzór

harmonogramów produkcji. Próbowałam dodać sobie odwagi: -To mi dobrze zrobi, zanadto zaabsorbowały mnie finanse, muszę rozszerzyć swój zakres działania o sprawy ludzkie. Powtarzałam sobie: Na pewno czułam się z innymi ludźmi swobodnie - i próbowałam przypomnieć sobie te czasy, ale wracało tylko wspomnienie wczesnego poranka i mozolnych powrotów, wody skapującej z wioseł, czuwającego w milczeniu ojca.

Tamci nitownicy przy budowie mostu, pomyślałam, byli moimi przyjaciółmi. Ale wtedy, gdy chowając się przed wiatrem jadłam parówkę, byłam samą, w swoim wiszącym łóżku byłam sama (nie przypominałam sobie ani jednej dziewczęcej twarzy): z całego tego współżycia z ludźmi pozostał tylko burdelowy dowcip.

Potem jednak był Hall; przy Buli Ring piliśmy razem tanie czerwone wino i gadaliśmy; kiedyś podczas ludowego święta Hall nałożył nos z papieru; gadaliśmy do północy i dłużej. O czym? Nie mogłam sobie przypomnieć nic oprócz maszyny, tarcia i rozszerzalności metali.

Podniósł znad biurka listę notowań i udał, że czyta. Dlaczego muszę tam jechać?

Air Reduction **94 1/2 94 3/4**

Alaska Juneau **20 1/4 20 1/2**

Allied Chemical **148 148**

American Woolen **13 1/2 14**

Bethlehem Steel **40 1/8 41 3/4**

Niewiele z tego do niego docierało.

- Samochód czeka, panie dyrektorze.

- Słyszałam. Już idę.

Chile Copper **14 14**

Colgate-Palmolive-Peet **15 1/2 16 1/8**

Continental Cal **76 77**

**67**

Zajrzał na ostatnią stronę U.S.Industrial Alcohol, U.S.Leather, U.S.Ruber, U.S.Steel. Pomyślał ponuro, ponieważ wcale go to nie bawiło: Jestem nieśmiały.

Myśl, że wkrótce nowa kierowana przez niego firma będzie tu wymieniona, tak jak powyższe wymieniano w Sztokholmie, Londynie, Amsterdamie, Berlinie, Paryżu, Warszawie i Brukseli, nie sprawiła mu najmniejszej przyjemności.

Jakiś żart, pomyślał, parę pytań o rodzinę; czy mam go poczęstować cygarem czy papierosem?

Woolworth Co Worthington Pump Youngtown Sheet and Tube

49 3/4 24 1/2 26 1/2

50 3/8 25 1/2 27 1/2

### III

- Powinni mieć igrzyska wyścigowe - powiedział Anthony. - Jesteś pewna, że nie mają?

- Posłuchaj - zapytała Kate - czy to winda?

Nie umiała zamaskować niepokoju; wszystko już ułożyła, co Anthony wyraźnie mógł wyczytać w jej głosie. Ale z Kro-gkiem nawet ona nie mogła być pewna wyniku.

- Co zrobisz, jeżeli on mnie nie zechce? - zapytał.

- Co ty zrobisz?

- Och, dam sobie radę - odparł Anthony. W końcu po co się martwić?

Anthony był jak wytrawny wojownik, nawykły przemierzać olbrzymie przestrzenie o chlebie i wodzie; nie głoduje się i nie umiera; w tej wojnie największym zwycięstwem jest przeżycie. Kate niespokojna i blada stała między biblioteczką Kro-gka a drzwiami do gabinetu Kro-gka i Anthony wiedział, że ona boi się o niego. Chciałby jej wytłumaczyć bezpodstawność tego lęku, ale nie znajdował właściwych słów.

- Zdarzało mi się już być pod wozem - powiedział, ale określenie to nawet jego samego nie zdołało przekonać o własnych sukcesach. To było zwycięstwo, że jakoś przeżył do dziś; szczęście to była od czasu do czasu dodatkowa przyjemność: nieoczekiwana funda, dziewczyna-niespodzianka. Tego jednego nauczył się w szkole gruntownie, tej lekcji, jaką mu

dato trzynaście tygodni ciasnoty, nudy i strachu. Czas jakoś mijat i najgorsze kończyło się; istniały przerwy, istniały momenty szczęśliwe: choroba, herbatka u kierowniczk, kary, które niosły ze sobą chwilową popularność. Człowiek po pewnym czasie nawet się przyzwyczajał do warunków, przyswajał sobie sekret niezawadzania nikomu i z przekonaniem nosił wspólny uniform.

Uznawał jednak w Kate jej inność: ona była ambitna, a może największą różnicę między nimi stanowiło to (ponieważ ambitny był i on, czego dowodem opatentowany przez niego wynalazek ogrzewacza do rąk - jego ambicją było mieć pieniądze, żeby móc je wydawać), że ona miała nadzieję. A pod błyskotliwym humorem jego spojrzenia, pod krępkim uściśnięciem jego ręki i szybką ripostą krył się głęboki nihilizm.

Kiedy znów się odezwał, zrobił to z nutką protekcjonalizmu, jakby Kate była dzieckiem, za które jest odpowiedzialny, dzieckiem o żywej wyobraźni, myślącym.

- Nie martw się, Kate, tym, co on powie. Wiesz przecież, że to nieważne. I tak będziemy się świetnie bawili. Pokaż mi mieszkanie. Czy to są jego książki?

- Tak.

- Czy on je czyta?

- Myślę, że nie.

- A tam?

- Jego sypialnia.

Była skrupowana; przez chwilę to on poczuł się starszy, dźwigający większą odpowiedzialność, mądrzejszy od niej. Był w swoim żywiole dzięki przyzwyczajeniu do wypełniania pustki, zręczniejszy od innych w odsuwaniu zastrzeżeń. Miał w życiu taki okres, kiedy leżąc czy to osobno w sypialni w szkole, czy na koi statku, czekał ze strachem na rękę, która ściągnie z niego przykrycie, rękę człowieka w białym drelichu, który przybędzie na pokład razem z celnikami. Tamte



lata jednak nauczyły go być wdzięcznym za chwilę obecną, nie patrzeć w przyszłość. Teraz, w tej chwili, jestem sam w sypialni, teraz, w tym momencie, tylko ja tu jestem z Kate, z przyjacielem. Pociągnął rozsuwane drzwi wielkiej szafy i odsłonił gęsty las garniturów.

- Jak sklep z używaną odzieżą - zauważył. - Czy on je kupuje hurtem? - zaczął przeliczać garnitury, ale przy dwudziestym przerwał. - Materiał niezły, ale wzór... Te czerwone prążki trochę za jaskrawe, nie uważasz? A krawaty! Zdaje się, że ma ich mnóstwo, tylko te kolory... - Krawaty wisiały rządami jak śnięte tropikalne ryby. - Nie pokazałbym się nikomu w czymś takim - stwierdził Anthony. - ■ Kłopot w tym, że ci cudzoziemcy nie wiedzą, co na siebie włożyć. Nie pomagasz mu wybrać?

- Nie. Ma specjalnego człowieka od kupownia.

- Wymarzone zajęcie dla mnie - orzekł Anthony. - Jakąż prowizję można by z tego wydusić! Dobrze, ale czyż on nie ogląda materiału, zanim kupi?

- Nie zgadza się nawet na miarę - wyjaśniła Kate. - Nie brano jego wymiarów od dwóch lat. Garnitury dostarczane są hurtem, jak te, które widzisz. Raz na pół roku.

- Ale dlaczego?

- Zanim się wzbogacił, zawsze kupował ubrania gotowe. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek chodził do krawca. Przypuszczam, że boi się krawców. - Zawahała się. - Jest nieśmiały. Ma niewiele zainteresowań.

- To by był dopiero kawał, gdyby tak się nim zająć. Przede wszystkim pozbylibyśmy się tych krawatów.

- Nie - wybuchnęła nagle Kate. - Nie. - Stała w drzwiach łączących oba pokoje; starannie podkreślała swój brak udziału w tej zbyt poufale przebiegającej inspekcji. Zauważył, że powinna poprawić szminkę na ustach, były zbyt blade, nie pasowały do koloru sukni. Pomyślał: Czyżby on był jednym z takich, co to nie uznają szminki i pudru? Jakim prawem

coś jej narzuca? - I ciągnął dalej wściekły z zazdrości: - Już ja się zajmę tym składem.

- Nie wtrącaj się do niego.

Gniew równie szybko go opuścił, jak przedtem szybko go ogarnął; słuchał jej głosu podniesionego w obronie Krogha ze smutkiem, jakby ktoś, kogo wiele lat temu dobrze znał, nie poznał go na ulicy i wyminął, pogrążony w jakimś innym świecie myśli, w którym nie mieli wspólnych wspomnień... Kate stojąca przy jego łóżku, podczas gdy pęknięty dzwonek wzywa na herbatę, Kate mówiąca w zagraconym hallu: „Spóźnisz się na pociąg. Musisz już iść”. Kate pożyczająca dla niego pieniądze, plany Kate, decyzje Kate - zastanawiał się, jak dalece te wspomnienia zasłania sylwetka Krogha w jakichś jej wiadomych okolicznościach. Popatrzył na te garnitury, na te krawaty, na tę stal i szkło jego łóżka; po raz pierwszy zauważył platynowy zegarek Kate, jej kosztowne kolczyki.

- Och - powiedział - on obejdzie się beze mnie. Poproszę go o pieniądze na bilet powrotny na jutro.

- Będzie musiał cię przyjąć - rzekła Kate.

- Dlatego, że go kochasz?

- Nie - odpowiedziała. - Dlatego, że Kocham cię.

- Biedactwo - westchnął Anthony. - Nie spotkałem w życiu nikogo, kto by był taki jak ty. Związki krwi muszą jednak coś znaczyć. Jakże byś mnie nienawidziła, gdybym nie był twoim bratem.

- To nieprawda.

- Pomyśl: te tandetne pokoje, te lombardy, te wymówienia, ci straszni ludzie, których przyprowadzałbym do domu na ucztę z wędzonego śledzia. Nie, nie, Kochanie, ty się wybiłaś w świecie. Nie wiesz, co to znaczy miłość, kiedy mówisz, że mnie Kochasz. - Roześmiał się, widząc, jak uważnie go słucha. - Najdroższa Kate, to po prostu rodzinne przywiązanie.

- Nie - zaprzeczyła. - Ja cię Kocham. Jeżeli on nie da ci pracy, jutro wracam z tobą do Londynu.

- Nie byciabyś mi potrzebna. Klóciłabyś się z gospodynią. A co też znajduje się za tymi drzwiami? Jego gabinet?

- Nie - odparła Kate. - Tam jest moja sypialnia. Anthony szybko cofnął rękę, aż zakolysały się płaszcze

Krogha.

- Mój Boże - powiedział. - Te czerwone prążki. Rażą oczy. Te krawaty. Jak można to nosić! Nigdy nie zaufałbym takiemu komuś, gdybym był akcjonariuszem.

- A co do Erika - odparowała, a gniew zapłonął w niej jak zapalka potarta nagle, żeby rozbłysnąć, wypalić się do końca i sparzyć ją w palce - myślisz, że on tak od razu zaufa facetowi w fałszywym krawacie, którego wywalano z pracy tyle razy, że nie potrafię zliczyć?

- Przestań - powiedział Anthony. - Przestań. - Podszedł do niej. - Gdybym chciał, mógłbym w ten sam sposób co ty zarobić całą górę forsy.

Szybko uderzyła go w twarz zaciśniętą pięścią, a on z reflekssem nabytym w ciągu długich lat praktyki schwycił ją za rękę, myśląc z bólem: - Ileż to już razy się zdarzyło, ile razy, niech to diabli, i z kim?

- Masz zupełną rację - powiedział przepraszająco, puszczając jej rękę. - Przecież Maud... - przyznał się do winy według formuły, którą zawsze miał w pogotowiu. - Byłem zazdrosny o tego nudziarza. Muszę cię kochać, Kate, to jedyne wyty maczenie.

- Rodzinne przywiązanie - powtórzyła ze smutkiem. Nie odpowiedział. Życie jest za krótkie, żeby się klócić, natychmiast rozwinął w stosunku do niej całą swoją technikę zała-godzeń. Zapomniał o Kroghu, zapomniał nawet o niej, stała się niewyraźną, złożoną z wielu postacią: Maud, Annette, barmanką z „Korony i Kotwicy”, Amerykanką ze statku *City of Nagpur*, córką jego gospodyni z Edgware Road tego roku. - kochanie - powiedział - masz ładną szminekę. To jakiś nowy odcień, prawda? I natychmiast przypomniał sobie, że Kate

jest nie umalowana - powinien był wspomnieć coś o jej sukni albo o perfumach.

- Tak, tak - podchwyciła Kate. - To nowy odcień. Cieszę się, że ci się podoba.

Prześliznął się więc na powrót przez te wszystkie lata i odszukał właściwe słowa:

- Jesteś zabójcza, Kate.

Po czym, słysząc klucz przekręcany w drzwiach hallu, natychmiast stracił pewność siebie. Oto cena, jaką zapłacił za swoją świeżość, za ten fason uczniaka, który wie to i owo: żył chwilą i nigdy nie był przygotowany na nagły kryzys, na obcą twarz, nowe zajęcia. Zanim wszedł z Kate do bawialni, rozejrzał się bezradnie, sondując możliwości tego łóżka, szafy i drzwi za plecami.

Opanowanie wróciło wraz z pierwszym spojrzeniem na Krogha, rozwiała się nawet zazdrość. Ten facet był ostatecznie tylko zwykłym cholernym cudzoziemcem. Miał na sobie zbyt jaskrawy garnitur w lila prążki, ordynarną koszulę w kratę i źle dobrany do niej krawat. I w ogóle w całym jego wyglądzie nie było nic, co by mogło rywalizować z wyglądem An-thony'ego. Krogh był wysoki i może kiedyś przystojny, ale niekorzystnie utył i wyglądał na swoje lata. Należał do ludzi, którzy lepiej prezentują się publicznie niż przy spotkaniach prywatnych. Stojącego za plecami Kate Anthony'ego zaczął ogarniać szampański nastrój. Oto ktoś, kogo można oskubać, ktoś niezbyt sprytny, a nadziany gotówką. Zdumiewające, prawie nie do wiary, że ten człowiek to właśnie Erik Krogh, znów uderzyła go myśl obecna po każdym niepowodzeniu i przed każdym spodziewanym sukcesem: - Wszystko polega tylko na tym cholernym tucie szczęścia. Śmiechu warte. Trzeba zadbać o siebie.

- Cieszę się, że wróciłaś, Kate - powiedział Krogh. Wycofał się z powrotem do hallu i nie zdejmując nawet kapelusza, przyglądał się Anthony'emu z przestachem, zbyt zmęczony,

żeby zdobyć się na uprzejmość. W ciemnościach hallu zmęczenie to wydzielało się z niego jak ektoplazma. Przez szczelinę między drzwiami docierały z korytarza ciche dźwięki, oddalające się kroki, zamykanie windy, czyjś kaszel; za oknem krzyknął jakiś morski ptak, a z niego zmęczenie wylewało się jak na seansie spirytystycznym, drgając, zakłócanie przez dźwięki tamburynu i potrzaskiwanie stołu.

- Gdzie byłeś, Eriku?

Krogh starannie zamknął drzwi, odcinając łagodne szmery z korytarza.

- Jakiś reporter czeka.

- Czego chce?

Na chwilę emanacja tego zmęczenia urwała się; Krogh powiedział z szorstką energią:

- Cała seria sławnych Szwedów. - I, znów tak samo zmęczony, po omacku szukał, gdzie by położyć kapelusz. - Ktoś ich na mnie nasyła. Nie wiem, dlaczego.

- Przecież to jest mój brat. Przypominasz sobie? Depeszowałam ci...

Wszedł znów do oświetlonego pokoju i Anthony zauważył, że Krogh łysieje na skroniach, co sprawiało wrażenie, że ma czoło wyższe niż miewają na ogół inni ludzie.

- Miło mi pana poznać, musimy jutro porozmawiać. Zechce mi pan dziś wybaczyć. Miałem męczący dzień. - Sztywno czekał, żeby Anthony wyszedł; wyglądało to nie tyle na grubiarstwo, co na niezręczność.

- No, to zmykam do hotelu - powiedział Anthony.

- Mam nadzieję, że podróż dobrze przeszła?

- Jak po maśle.

- Masło... powtórzył Krogh i urwał. - Och, proszę mi wybaczyć. „Jak po maśle”. Zapomniałem tego wyrażenia.

- No to do widzenia - powiedział Anthony.

- Do widzenia.

- Czy potrafisz zająć się sobą, Tony? - zapytała Kate.

- Och, poszukam sobie jakiegoś kina - odpowiedział Anthony - albo może tych Davidge'ów.

Wyszedł i zamknął za sobą drzwi bardzo powoli: ciekaw był zobaczyć, jak też się przywitają, kiedy zostaną sami, ale Krogh powiedział tylko:

- „Jak po maśle”, zupełnie zapomniałem. - A w chwilę potem: - Laurin chory.

Przez szklany szyb windy widać było głęboko w dole migoczący światłami hall; powoli wypływała łysa głowa portiera pochylonego nad listą interesantów, spiralnym ruchem głowy wznosiły się postacie dwóch mężczyzn siedzących pod przeciwległym; ścianami - dostrzegał stopniowo ich marynarki, nogi, obuwie, aż znalazł się, oddzielony drzwiami windy, na tym samym poziomie co oni. Kiedy znów się odwrócił, przyglądali mu się, już stojąc. Jeden z nich, młody mężczyzna, podszedł i cichym głosem zwrócił się do niego po szwedzku.

- Jestem Anglikiem - powiedział Anthony. - Nie rozumiem ani słowa. - Za plecami Szweda przyciągnął jego spojrzenie uśmiech, jaki zajaśniał na twarzy drugiego. Ten niski, pomarszczony, nieświeży, z niedopałkiem papierosa przyklepionym do dolnej wargi podszedł z wyciągniętą ręką.

- Ach, jest pan Anglikiem? - zapytał. - Czy to nie szczęśliwy traf? Ja też jestem Anglikiem.

W jego zachowaniu było coś zaczepnego i przymilnego, coś, co Anthony dobrze pamiętał. Było to wytarte piętno jakiegoś zawodu, równie jednoznaczne jak podniszczona teczka, jak golfowa torba kryjąca ruchome części odkurzacza.

- Nie mam zamiaru nic kupować - oświadczył Anthony. Szwed stał tuż przy nim i z głową przechyloną lekko na

bok uważnie się przysłuchiwał, z nadzieją, że coś zrozumie.

- Ach nie, pan się myli - wyjaśnił tamten. - Nazywam się Minty. Napijmy się kawy. Portier nam poda. Mnie tu znają. Niech pan spyta o mnie panną Farrant.

- Panna Farrant to moja siostra.

- Powinienem się być domyślić. Jest pan do niej podobny.

- Nie mam ochoty na kawę. A swoją drogą, kim pan jest?

Tamten odlepi! od wargi niedopałek, który przywarł mocno jak plaster, zostawiając po sobie parę żółtych wiórków, i zmiążdżył resztkę papierosa obcasem na czarnej, szklanej podłodze.

- Ach - przemówił - jest pan podejrzliwy. Nie ufa pan Min-ty'emu, że postąpi z panem uczciwie. A w całym Sztokholmie nie dostanie pan za wiadomości lepszej ceny.

- Aha - domyślił się Anthony - jest pan dziennikarzem, co? Wszędzie pan za nim chodzi? Zapali pan?

- Krogh to sensacja - odpowiedział mały, nieświeży człowieczek i wziął od Anthony'ego dwa papierosy.

- Gdybyś pan tylko wiedział, jak mało tu, w tej dziurze, sensacji, zrozumiałbyś pan, że muszę deptać mu po piętach. Ja jestem na wierszówce. Ten tutaj, Nils, może się nie martwić. On siedzi w redakcji, ale ja nie mogę sobie pozwolić, żeby mi się cośkolwiek wymknęło. - Chwycił go długi suchy kaszel ziejący tytoniem. - Krogh to dla mnie stół i dach nad głową - wyjaśnił. - To moje papierosy i moja kawa. Jednego tylko się boję: że umrze przede mną. A wtedy już tylko dwie bite kolumny z uroczystości pogrzebowych, wieńców i innych takich tam, pół kolumny haraczu dziennie przez tydzień - co za orgia! I milczenie, koniec z Mintym.

- No - powiedział Anthony. - Muszę już iść. Nie wyjdzie pan ze mną?

- Nie mogę sobie na to pozwolić - odparł Minty. - On może znowu gdzieś wychodzić. Dziś po południu był w poselstwie angielskim, wyszedł wcześniej, dużo za wcześniej, i przyłapał mnie na drzemce. Leciałem przez most. jakby mnie diabeł gonił. Drugi raz go dzisiaj nie mogę zgubić.

- Dziś już nie będzie wychodzi! - powiedział Anthony. - Jest zmęczony jak pies.

- Zmęczony jak pies? Czymże to?

- Może - wystrzeli! Anthony na chybi! trafii - tym, że Laurin chory.

- E, nie - stwierdził Minty. - Nie byiby to powód do zmęczenia. Laurin nie ma znaczenia. Laurinem nikt się nie przejmuje. Czy nie mówił czegoś o strajku? Podobno...

- Był zanadto zmęczony, żeby ze mną porządnie porozmawiać - oświadczył Anthony. - I tak zobaczę się z nim jutro.

- Może byśmy mogli - zaczął Minty - ... ma pan zapalki? O, dziękuję... Może byśmy mogli zawrzeć pewną umowę. Parę słów z prywatnego źródła zawsze mi się przyda. Kim pan właściwie jest? Przecież pan się tu dopiero zjawiał? - Palił mówiąc i ani na chwilę nie wyjmował papierosa z ust; twarz miał szarą od wciąganego dymu, od czasu do czasu dym unosił się w górę i szczypał go w oczy.

- Owszem - powiedział Anthony. - Właśnie dopiero wszedłem do firmy. Obejmę pewne poufne stanowisko.

- To wspaniale - ucieszył się Minty. - Będziemy pracowali razem. Daj pan papierosa Nilsowi. To porządny chłopak. -Przeszukał kieszenie swojego zniszczonego garnituru. - No, no, wizytówki zostawiłem w domu, ale zapiszę panu adres na tej starej kopercie. - Poślinił ogryzek ołówka i spojrzał na Anthony'ego z nagłym przeblyskiem zainteresowania, które zamigotało jak iskra wśród popiołu. - Widzę, że pan też z naszej starej budy - zauważył.- To były czasy, co? Ale Henrique'owie i Patterson skończyli pewno wcześniej. Tego pocziwca Testera (sześć miesięcy za usiłowanie gwałtu) chyba nie może pan pamiętać. Staram się utrzymywać z nimi kontakt. Kto był pańskim tutorem'?

-Och, to będzie już po pańskim odejściu - odpowiedział Anthony. - Nazywaliśmy go... Żarłokiem. Ale czy pan ma zamiar czekać tu całą noc?

**1. Tutor - w angielskich uniwersytetach i college'ach wychowawca mający nadzór nad studiami przydzielonej mu grupy studentów.**



- Dam za wygraną o północy - powiedział Minty. - Potem dom i butelka z gorącą wodą dla Minty'ego. Czy wpadał pan tam ostatnimi czasy?

- Tam? Ach, ma pan na myśli Harrow. Nie, od dawna już nie. A pan?

- Kopę lat. - Dym z papierosa przesłonił mu oczy, wyłoniły się spoza niego zaczerwienione i załzawione. - Ale jestem z budą w kontakcie. Od czasu do czasu urządzam małe przyjęcie. Nasz poseł to także wychowanek Harrow. Pisuje wiersze.

- Widujecie się?

- Och, on umyślnie mnie nie poznaje - poskarżył się Minty głosem, który wydał się Anthony'emu tak żaloszny, jak dźwięk dzwonka chłopca od czyszczenia butów, brzęczący od sypialni do sypialni i wreszcie stłumiony ręką położoną na sercu dzwonka, kiedy chłopak, ciężko powłócząc nogami po kamiennej podłodze, schodził do kredensu w suterenie. Minty dodał piskliwie, jakby na próżno szukając tego dawnego tonu, tego żargonu sal gimnastycznych i zmienianych sypialni: - To śmierdzący esteta.

- Jestem zmęczony - oświadczył! Anthony - muszę iść. Do zobaczenia.

Wyciągnął rękę i zorientował się natychmiast, że Minty zauważył wystrzępiony mankiet.

- Zapłaciłbym panu awansem za każdą ciekawą wiadomość - powiedział Minty. - Ale zastrzegam sobie wyłączność. Jak pan przystąpi do Krogha, będzie pan miał na karku cały tłum. Im ani słowa. To tylko kupa cudzoziemców. Mieszkam tu już dwadzieścia lat i wiem, co mówię. Tak czy owak zresztą wychowankowie Harrow powinni trzymać się razem. Inaczej nie ma co liczyć na jakieś obrywki. - Odwrócił się szybko, ponieważ ktoś z góry przywołał windę. Przyglądał się jak znużony chciwiec jej migotliwemu kryształowemu wznoszeniu. Młody, elegancki Szwed u jego boku patrzył tam, gdzie

on patrzył, obracał się w tę stronę, w którą on się obracał, niczym wiemy paż ze sztuk elżbietańskich towarzyszący swemu monarsze w biedzie i wygnaniu. Tak ich Anthony zostawił.

Tuż za drzwiami prowadzącymi wprost na ulicę, leżało nabrzeże Visby. Jezioro Malaren lizało najniższe kamienne stopnie, reling jakiegoś małego parowca sterczał nad poziom chodnika. Światło ulicznej latarni sięgało zaledwie tak daleko, aby musnąć wodę obmywającą kamień; w barze dwóch marynarzy grało w karty. Anthony zatrzymał się na chodniku i przez szkło szyby popatrzył na nich, a ponad pikowaną wel-wetową kanapą - na podłużny, lśniący stół.

Karty, pomyślał, wystarczy mi zupełnie jedna partyjka. Brzęknął paroma monetami, jakie miał w kieszeni, i przyglądał się, próbując rozpoznać, w co grają. Parowiec łagodnie ocierał się o molo, po pokładzie spacerował czarny kot, ostrząc pazurki między deskami. Od ratusza dobiegał dźwięk dzwonków tramwajowych i Anthony wciąż jeszcze nie odchodził, kiedy jakiś tramwaj przejechał rozświetlając wodę jak niski i późny zachód słońca. Jeden z grających podniósł na niego oczy i uśmiechnął się.

Anthony postawił kołnierz i ruszył do swojego hotelu. Może tu być tak samo dobrze jak gdzie indziej - pomyślał. Sztokholm lepszy niż Szanghaj; mogę popracować z tym Mintym i zarobić tyle, że mi na jakiś czas starczy. Posiedzę tu z tydzień, nawet jeżeli mnie Krogh nie zechce. Otworzył okno i wychylając się daleko na zewnątrz w zimne, wilgotne, wieczorne powietrze, zobaczył mewę opadającą ciężko w wąską uliczkę na tyłach hotelu. Pomyślał: - Wtorek, muszę zdobyć jakąś forszę od Minty'ego lub Kate albo też od Krogha. Co będę z nią robi!?! To takie mile dziecko, dam jej tego tygrysa. Uwierzyia co do słowa we wszystko, co jej naopowiadałem w Góteborgu, poszukamy jakiegoś parku, jakiejś rozrywki, którą można mieć za grosze. Nazywa się Davidge i pochodzi

z Coventry. Mewa złożyła skrzydła i wylądowała w hotelowym śmietniku. Kate nie chciała tygryska, a waza się stłukła.

Kate i Krogh, myślał, jak ja i Maud. Zamknął oczy porażony nagłym bólem, a kiedy je otworzył, mewy już nie było. Staliśmy w tej stodole i Kate powiedziała: „wracaj”. Oczywiście miała rację, po dwóch latach byłem tak samo lubiany jak inni. Siedziała przy moim łóżku, a ja czułem się szczęśliwy i bolało mnie bardzo, i miałem stracić to oko. A tam w hallu nic nie czułem, odwracając się po walizki zadrapałem sobie rękę o jakiś gwóźdź i nie czułem nic; na statku chorowałem przez tydzień z powodu tego zakażenia; i kiedyśmy się znaleźli w Adenie, wysłałem kartkę. Już nigdy nie byliśmy razem; ona zawsze wiedziała, kiedy mnie coś bolało, a ja, kiedy ona czuła się źle. Mówią, że to przekleństwo bliźniaków, ale ja myślę, że to szczęście wiedzieć, co to drugie myśli, czuć, co to drugie czuje. Przestać wiedzieć - to jest dopiero przekleństwo.

W tej chwili jest z nią Krogh.

Zaczął się energicznie rozpakowywać. Z każdą rzeczą kupioną mu przez nią w Góteborgu, teraz, kiedy je wyjmował z walizki, jak gdyby utwierdzał się w przekonaniu, że pewne sprawy są nieuniknione, że coś się już skończyło, że trzeba brać życie takie, jakie jest, powodzenie i nieświadomość tak samo jak klęskę i kogoś obcego we własnym łóżku: tę fotografię Annette dość zniszczoną, którą wyrwał z ramki (opar! ją o kubek do mycia zębów), krawaty, które wepchnął do kieszeni jeszcze u siebie w mieszkaniu, nowe spodnie, nowe kamizelki, nowe skarpetki, *Czterech sprawiedliwych* w wydaniu Tauchnitza, granatową piżamę, numer *Tygodnika Filmowego*. Wywrócił kieszenie - ołówek, wieczne pióro wartości pół korony, puste pudełeczko po wizytówkach, paczka papierosów De Reszke. Nie nosił wiele po kieszeniach, ten najlepszy garnitur musi mu na długo starczyć. W Góteborgu kupił formę do prasowania krawatów i teraz starannie naciągnął na nią krawat Harrow; reszta może poczekać na swoją kolej. Marynarke

## **6. Made in England**

powiesił na krześle, a spodnie ułożył pod materacem. Potem, w kalesonach i koszuli, położył się na chwilę, był zmęczony, przeżył lęk nowych twarzy i osiągnął ten nieunikniony stan ducha, kiedy to zastanawiał się, gdzie też może coś zyskać. Nie potrafiłby już zliczyć, ile to razy leżał tak na jakimś obcym łóżku, nigdy właściwie do samego końca nie znużony takim nawąłem myśli, tyłoma perspektywami przy tak niewielkich rezultatach. Minty musi dać połowę, chyba że dostanę dobrą pracę. Zamknął oczy i nagle, bez ostrzeżenia, z całą dawną jasnością odczuł przebiegające przez własną głowę myśli Kate. Jak gdyby przez zdewastowaną ziemię pomiędzy nimi, przez wysadzone w powietrze mosty, przez wrogie wsie, poprzez stare zasieki przeczołgał się jakiś szpieg i na samej granicy łącząc na nowo dwa przewody stworzył między nimi łączność i ona mogła mu znów powiedzieć, że wszystko będzie jak najlepiej, że znów udało jej się opanować sytuację, że kontroluje wszystko, a przede wszystkim, że go kocha.

Ale, pomyślał, miłość to ja i Maud, ty i Krogh. „Tam jest moja sypialnia” - powiedziała, kiedy pokazał na drzwi, a chwilę potem zamierzyła się na niego pięścią.

Anthony wstał z łóżka i powrócił do rozbierania. Ale w pokoju było zimno (zamknął okno), nieprzytulnie. Zerwał barwną okładkę z *Tygodnika Filmowego* i przylepił ją do ściany kawałkiem mydła: na okładce dziewczyna o potężnych udach, ubrana w zielony kostium kąpielowy, z rozstawionymi kolanami siedziała na huśtawce. Wydarł fotografię Claudette Colbert w rzymskiej łaźni i oparł ją o walizkę. Nad łóżkiem przylepił znów mydłem dwie dziewczyny grające w strip-pokera.

No, pomyślał, troszkę lepiej - i stanął pośrodku pokoju zastanawiając się, co jeszcze zrobić, żeby upodobnić ten pokój do domu. Nasłuchiwał, jak za ścianą jęczą rury z gorącą wodą.

#### IV

Budzę się, Erik śpi, zimną rękę położył mi na boku. Wszystko ustalone. Powiedział mi : „Laurin chory”, ale wiedziałam, że to nie o to idzie. Taki był zmęczony. Nie widziałam jeszcze, żeby był taki zmęczony, teraz śpi, żeby taką zimną rękę... Anthony śpi w tej chwili, z tą szramą pod okiem, nóż niespodzianie podjechał w górę przez futerko królika, ten krzyk, żadnego opanowania, powiedziała kierowniczką. Obudziłam się w środku nocy o pięćdziesiąt mil stamtąd, słysząc jego krzyk. Wiedziałam, że go boli. Ojciec chory. Nie chcieli mnie puścić. Cały dzień wtedy zdawał ten egzamin z francuskiego, czasowniki nieregularne, dwa razy dyżurna nauczycielka wychodziła ze mną do łazienki. Odezwałam się do niej, a ona powiedziała: „Nie wolno ci się do mnie odzywać, zanim nie oddasz swojej pracy”.

Jak stare małżeństwo po trzydziestu latach. Srebrny miedziak, jak tam to się zwie, srebrne wesele.

Erik: „Strajk zażegnany. Dałem sobie z tym radę tak samo, jakby to zrobił Laurin”. Erik: „Opowiedziałem mu kawał, zapytałem o rodzinę, poczęstowałem cygarem”. Ja: „I to wszystko?” Erik: „Dałem gwarancję, że nie obniżę płac w Ameryce”. Ja: „Na piśmie?” On: „Nie. Dałem mu tylko słowo”. Taki był zmęczony.

Budzę się: on śpi, zimna ręka, wszystko załatwione,

On: „Co twój brat potrafi?” Pocztówki z Adenu, odkurzacze, podsłuchujące kelnerki, „to twoja wina, że muszę cię

kochać", a tamtego dnia w music-hallu kupił mi przy barze whisky, moją pierwszą w życiu, i ojciec powiedział: „Gdzieże-ście się podziewali przez cały dzień?", a on: „Spacerowaliśmy po parku". Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Powiedziałam: „Zawsze był dobry w arytmetyce". A Erik: „Nic nie mogę dla niego zrobić. Powiedz sama. Czy on się do czegoś nadaje?" Powiedziałam: „Nie nadaje się do niczego poza wygrywaniem tygrysków". Pomyślał, że zwariowałam. Powtórzył: „Wygrywaniem tygrysków?" Powiedziałam: „Wczoraj wieczorem w Gó-teborgu ogołacał wszystkie strzelnice, póki go nie powstrzymałam". Nie przypuszczałam, że to przemówi do Erika, to nie w jego stylu, dowcip, pytanie o zdrowie rodziny, cygaro, zimna ręka na moim boku. Powiedział: „Mam dla niego zajęcie".

„Mam dla niego zajęcie" - powiedział mi. Tamten kantorek na Leather Lane. Strasznie sztywny siedział na jednym z dwóch tylko krzeseł, w rękawiczkach, a Hammond skrzypiał i skrzypiał. Binokle spadające ze spiczastego nosa, uszczypliwy ton, szczurza twarz. Oświadczył: „Zawsze wywiązywała się zadowolająco", i przewrócił kałamarz na biurku, wstając za szybko, żeby otworzyć drzwi. Jako przyjaciel ojca, czuł się odpowiedzialny. Interes sprzedany, biuro w rękach wierzycieli, ojciec umierający.

Kiedy wyjeżdżałam z Anglii, ojciec powiedział: „Chciałbym, żeby Anthony był z tobą". Powiedział, że muszę uważać, że będę narażona na pokusy. On jednak nigdy nie miał pokus, nie wiedział, co znaczy to słowo, leżał tam w łóżku, umierał powoli i nic nie wiedział. Zapach lekarstw, pielęgniarka przy drzwiach, w hallu kolorowe szybki, na mahoniowej półce pełny komplet *Puncha* w niebieskiej płóciennej oprawie: jego wuj znał Du Mauriera i pamiętał, jacy ludzie byli zgorszeni *Tril-byem*. Jednego roku powiedział mi: „Nie lubię panny Mollison. Dziewczyna nie powinna się pokazywać w teatrze ze swoim pracodawcą". Zmarłym należy się szacunek - takie były mak-

symy jego życia, częśćka Anglii, Anthony napisał, że ojciec musi mieć marmur, ja mówiłam, że „osierocone dzieci” to za mocno, ale Anthony na to, że „osierocone” to tylko parę liter drożej, a za to brzmi, jak należy. Ale takie były zasady ojca. Nie okazywać uczuć. Był umiarkowany w miłości. Zachować czystość, przyzwoitość, płacić długi. Nie kupować na kredyt. „Osierocone” to było za mocno. Na grobie matki „pogrążony w smutku mąż” nie skąpił na litery w dobrej sprawie, w sprawie przyzwoitości.

Czytał Szekspira, Scotta i Dickensa i przez całe życie układał akrostychy. Częśćka Anglii. Służba go nie lubiła. Był człowiekiem honoru. Ręce miał ciepłe tak samo jak ja. Może też kochał Anthony'ego na swój sposób. Dlaczego go tak nie lubiłam?

Oto przyczyny. Będę dokładna i przypomnę sobie jasno i wyraźnie. On by to ocenił. Jest czarna noc, groby wydają swoich umarłych. Nie cenił *Narzeczonej z Lammermoor*. Mówił, że to przesada, że to dzieło człowieka chorego. A *Troiliisa i Kressydy* nie napisał Szekspir, czego był pewny, bo Szekspir nie był cyniczny. Głęboko wierzył w ludzką naturę. Ale trzeba zachować czystość, przyzwoitość, płacić długi i strzec się nieumiarkowania w miłości.

Oto przyczyny. Anthony uczył się (baty w pokoju dzieciennym, łązy przed wyjazdem do internatu) trzymać twardo, Anthony uczył się (lanie w gabinecie, kiedy przyniósł do domu nieprzyzwoitą książkę z obrazkami) szacunku dla cudzych sióstr. Anthony uczył się kochać umiarkowanie, Anthony w Adeiiiie, Anthony w Szanghaju, Anthony tak daleko ode mnie jak nigdy dotąd, Anthony'emu się powodzi: owszem, ojciec kochał Antho-ny'ego i zniszczył Anthony'ego, a Anthony zakłócał mu spokój do samego końca. Te telegramy, te telefony, ta uśmiechnięta twarz nad łóżkiem ojca: „Złożyłem rezygnację”.

Teraz, w ciemności, trzeba uczciwie. Erik śpi z zimną ręką na moim boku, wszystko postanowione, tylko Strand, wstą-

żeczka wody i ulica pomiędzy nami - wszystko to wydaje się ciemniejsze niż rok temu i jakby powtarza, że niestety, niestety, nie wolno nam do siebie przejść.

„Wygrywanie tygrysków” - powiedział. „Mam dla niego pracę” - oznajmił. Nie mogę zrozumieć. Obudziłabym go i zapytała, ale jest zmęczony, pomyśli, że to pożądanie. Raz tylko to się zdarzyło, na obiedzie był ambasador, upiłam się, a pierwszy sekretarz pociągnął mnie za suknię, kiedy oni załatwiali interesy w drugim pokoju. „Czy możemy? W każdej chwili mogą tu wrócić. Napije się pan brandy?” Był tego wzrostu co Erik, miał jak Anthony szramę po pojedynku, pod prawym okiem (w lustrze nad kominkiem było to lewe oko), uczył mnie przekleństw w swoim języku i śmieliśmy się: byłabym mu pozwoliła na wszystko, czego chciał, ale tamci w sąsiednim pokoju załatwiali interesy, więc zapytałam: „Czy umie pan oprawiać króliki?”, a on pomyślał, że zwariowałam. Tej nocy pożądałam Erika, pożądałam byle kogo, nawet mężczyzny, którego rozbierając się widziałam przez okno, gdy krył się przed wiatrem obok molo. „Wezmę tę pożyczkę - powiedział Erik - wezmę tę pożyczkę” - i nie mógł usnąć, i ja nie mogłam usnąć, i zaraz byliśmy szczęśliwi i zmęczeni oboje z powodu szramy jednego mężczyzny i pożyczki drugiego. I tej nocy.

Anthony w okolicach Marsylii, ojciec umierający, lampa elektryczna zapalona pod zaciemnionym abażurem aż do siódmej rano, pielęgniarzka nad książką, czajnik na ogniu, w miseczce przykrytej gazą sterylizowane tampony. Mój rok w szpitalu. Jodynowałam to, co trzeba było posmarować wazeliną.

Stłukła się niebieska waza i Anthony powiedział: „Ale mamy jeszcze tygrysa”. Czy dla Erika znaczyłoby to samo, gdybym dziś powiedziała: „Wygrywanie niebieskich waz\* wygranie papierośnic z inicjałem A” - czy powiedziałby wtedy: „Mam dla niego pracę”? Tygrys płonący jasno w Tivoli, nieśmiertelne oko, ręka na moim boku, stopy dotykające moich:



nawet tam kobiety oglądały się za nim, kiedy się odwrócił, kiedy się uśmiechnął, co za ramię i co za zręczność, i patrzyły, jak strzela raz po raz. Widziałam, jak patrzyła na niego ta dziewczyna w Goteborgu, nieudolny makijaż, zaufanie, niewinność, ten spryt, który aż się naprasza, żeby go przechytrzyć. Zapominamy tych, których kochamy, a pamiętamy właśnie tych, których zdradzamy. Czy uśmiechała się, żeby zobaczyć swoje dzieło? „Dam jej tego tygryska” - powiedział. A kiedy serce zaczęło mi bić w Bedford Pałace w Camden Town (ojcu powiedział, że „spacerowaliśmy po parku”), kochałam go bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Pomarańcze się skończyły, ale kupił mi orzeszków.

I ze ściśniętym sercem, z zazdrością patrzyłam, jak ta ko-bieta-manekin leci na deski, na te uda, ten uśmiech pełen zębów, tę tlenioną piękność. Obchodziłam szesnaste urodziny: spoglądałam na zegar, kiedy pokazał godzinę szóstą czterdzieści trzy, oznajmiłam: „To moje urodziny”, a kiedy wskazywał szóstą czterdzieści dziewięć, powiedziałam: „Wielu szczęśliwych urodzin”. Na scenę wyszedł kłown w spodniach w szachownicę, ciągnąc baranka na sznurku.

Człowiek babrze się w tych wspomnieniach jak stara para małżeńska po trzydziestu latach, jak ci, co dzielili pierwszą miłość, pierwszą nienawiść, pierwszą wódkę, pierwszą zdradę, kiedy powiedziałam: „Spóźnisz się na pociąg”. Piwo z beczki. Nie mógł pić piwa, zakrztusił się, odwrócił, kurtyna poszła w górę i uratowała go przed hańbą, aleja wypłam swoje sherry, wstrzymałam oddech i ani pisnęłam. A potem na Moming-ton Crescent jedliśmy jabłka, żeby nie było czuć.

Ojca znów oszukaliśmy. Osierococone dzieci. Ale w tych wspólnych oszustwach tyle było słodczy.

Tamtego roku, kiedy byłam na praktyce w szpitalu, przyszedł mnie odwiedzić i zaproponował przełożonej kupno odkurzacza. Z dyżurki, zostawiając stoły zmyte eterem, policzone tampony w odpowiedniej miseczce, gazę, przyćmione światła,

zeszłam do Anthonyego; zimowe słońce, zniżając się ku zachodowi, świeciło prosto na chodnik. Anthony gwizdał jakąś nową melodię. Ja miałam piętnaście szylingów, a on pięć. Kino, klub na Gerrard Street, ostatni kieliszek, Anthony nie pozwolił na więcej, przyzwoite dziewczęta nie piją. Kochany głuptas. Nie nadaje się na pielęgniarkę - orzekła przełożona i kiedy on wyjechał za granicę, ja poszłam na Leather Lane. Księgowość, stenografia, nagrody za wydajność pracy, przydzielane przez samego pana Hammonda o szczerzej twarzy. Od tamtej chwili, mogłabym powiedzieć swoim biografom, przestałam oglądać się za siebie. Intrygowałam, planowałam, oszczędzałam tylko w jednym celu - żebyśmy znowu byli razem.

Obudź się... ta zimna ręka... wszystko załatwione. Teraz możesz usnąć.

Żadnych nowych emisji, rynek spokojny. Teraz możesz spać, zachowana stabilność pierwszego okresu, średnia przeciętna wyższa, większe oprocentowanie, coraz wyżej, wyżej, w odpowiedzi, coraz wyżej, wyżej, szczerze oddani, wyżej, coraz wyżej, na próżno, wyżej, Anthony naszym związkiem, naszym związkiem Anthony, co za zysk, nasze ubezpieczenie, przyszłość mamy pewną, nowe odkupienie, coraz wyżej i wyżej.

Nie bój się. Nie wahaj. Nie ma powodów do lęku, Na tej giełdzie nikt nie podbija kursów. Ten tygrysek jest farbowany. Lasy. Sen. Nasz związek. Nowe odkupienie. I unosimy się, unosimy. A Bóg, który stworzył baranka, stworzy! też Whita-kera, stworzył Loewensteina. „No, ma pani szczęście - powiedział wtedy Hammond na Leather Lane - Krogh to pewna firma. Cokolwiek by się działo, ludzie zawsze i wszędzie muszą kupować u Krogha". Nowe odkupienie. Żadnych drapieżców, tygrys i jagnię. Niedźwiedzie. Las. Sen. Akcje pewne. Ostatnia cena wywoławcza. Coraz wyżej.

## **Część trzecia**

## I

Minty już od rana, od chwili wstania z łóżka wiedział, że to jest jego dzień. Po cichu podśpiewywał sobie przy goleniu: „Tędy kroczy Minty, Minty, Minty”. Mimo że używał nowej żyletki, zaciął się w kilku miejscach; golił się teraz ostrożnie raczej niż dokładnie, podczas gdy na umywalce stygła przyniesiona przez gospodynię kawa. Minty pijał zimną kawę - jego żołądek nie znosił nic gorącego. Spod szklanki do mycia zębów przyglądał mu się pająk, siedział tu już pięć dni. Minty liczył, że gospodyni go wymiecie, ale pająk ciągle tam siedział. Gospodyni przypuszczała pewno, że jej lokator trzyma pająka dla obserwacji. Czyszcząc zęby pod kranem, Minty zastanawiał się, jak długo owad wyżyje. Obserwowali się obaj z kosmatą cierpliwością. Pająk stracił nogę, kiedy Minty przykrył go szklanką.

Nad łóżkiem wisiało grupowe zdjęcie szkolne, rzędy chłopców mrużących oczy od słońca, a poniżej siedzące postacie opiekunów, w środku dyrektor i jego żona. Nasuwało się ciekawe spostrzeżenie, jak to nawoskowane koniuszki wąsów potrafią umiejscowić w czasie mężczyznę tak samo dokładnie, jak kobietę suknia, biała bluzka, kołnierz z fiszbinami i bufiaste rękawy. Od czasu do czasu ktoś prosił Minty'ego, żeby wskazał na zdjęciu siebie; częste ćwiczenie wyrobiło w nim doskonałość; był czas, że wahał się, czy wybrać Patterso-

na siedzącego po lewej ręce dyrektora, czy stojącego raczej w głębi, na miejscu dosyć niewidocznym Testera jako swój odpowiednik, ponieważ samego Minty'ego na zdjęciu nie było. Przyglądał się wykonywaniu fotografii z okna iniermerii. Blask światła, zmarszczone od słońca, wyblakłe na zdjęciu twarze, fotograf nurkujący pod swoją płachtę.

„Tędy kroczy Minty”. Wydłubał z mydelniczki niedopałek papierosa i zapalił. Potem w lustrzanych drzwiach szafy obejrzał swoje włosy; tak, to był jeden z jego dni; musi być przygotowany na wszystko, nawet na życie towarzyskie.

Zaniepokoił go łupież. Wtarł w skórę na głowie całą pozostałą resztkę pomady, wyszczotkował wąsy i przyjrzał im się raz jeszcze. Minty był zadowolony. Nie wyjmując papierosa 7, ust wypił letnią kawę, dym wznosił się do góry i zapiekł go w oczy. Zaklął tak cicho, że nikt poza nim nie dosłyszałby przekleństwa. „Rany słońca!” Przekleństwo było jego własnego pomysłu; instynktownie, jako anglikatolika, raziło go zawsze „rany Chrystusa”, równą satysfakcją jak tamto bluźnierstwo dawały w jego przekonaniu „rany słońca”

Minty włożył swój czarny płaszcz i zszedł na dół. Był wtorek, dwudziestego trzeciego. Powinien dostać list z Anglii. Od blisko dwudziestu już lat Minty odbierał co miesiąc swoje listy na Poczcie Głównej - w ten sposób unikał niewygody, na wypadek, gdyby musiał zmienić mieszkanie bez zwyczajowego uprzedzenia. Na placu przed dworcem poczuł, że słońce przypieka dosyć mocno, ale idąc po listy zawsze wkładał płaszcz. Zostawił papierosa na zewnątrz, w miejscu, gdzie nie mógłby go znaleźć żaden żebrak. Podając w okienku poste restante wystrzępiony dowód osobisty, czynił to z przekonaniem, że jako Anglik i stary wychowanek Harrow przynosi Sztokholmowi zaszczyt, wybierając to miasto jako swój dom. Nikt bowiem nie miałby prawa zakwestionować tego, że jest spokojnym dżentelmenem, który mógłby mieszkać wszędzie, gdzie znalazłby urząd pocztowy i ujście dla własnej osobowości.

Ku swemu zdziwieniu otrzymał dwa listy - wydarzenie to należało uczcić jeszcze jedną filiżanką letniej kawy. W kawiarni naprzeciwko dworca wybrał skórzany fotel z widokiem na ulicę i zasiadł czekając, aż kawa wystygnie. Był tak pewny, że dzień ten jest jednym z jego dni, że zgniótł niedopałek papierosa i kupił całą paczkę. Potem spróbował kawę łyżeczką, ale wciąż jeszcze była gorąca.

W trakcie otwierania jednego z listów zatrzymał się, ponieważ wzrok jego przyciągnęło niezwykle ożywienie na dworcu. Przez ulicę przebiegło kilku mężczyzn z kamerami filmowymi. Ujrzał przemykającego za oknem Nilsa i pomachał do niego ręką. Przypomniał sobie, co to wszystko oznacza; „Gwiazda ekranu powraca do ojczyzny”. Parę dni temu zarobił sześćdziesiąt koron, tłumacząc na szwedzki wszystkie brednie, jakie mógł wygrzebać w filmowych magazynach. „Największa amantka sceny”, „Tajemnicza kobieta Hollywood”. Spora grupka ludzi (zastanawiał się, czy wynajęto ich na godziny] zaczęła wznosić okrzyki, a kilku urzędników z teczkami pod pachą zatrzymało się na ulicy, z niesmakiem spoglądając na dworzec. Zasłonili Minty'emu widok. Stał na krześle. Nie zaszkodzi mieć oczy otwarte, nawet jeżeli dzieje się coś nie w jego parafii. Aktorka nie była w Szwecji bardzo popularna, mógł się zdarzyć jakiś skandal, coś, co ktoś chciałby potem zatuszować. Na przykład gdyby ją wygwizdano...

Ale nic takiego się nie stało. Z dworca wyszła kobieta okryta płaszczem z wielbłądziej wełny z dużym kołnierzem; można było zobaczyć akurat tyle, że ma na sobie szare flanelowe spodnie; Minty'emu błysnęła przelotnie blada, zniszczona, pozbawiona wyrazu twarz, długa górna warga, nierzeczywiste piękno i nierzeczywisty tragizm maski, znanej jak maska Dantego - zbyt dobrze. Zaterkotały kamery filmowe, kobieta podniosła ręce do twarzy i wsiadła do auta. Ktoś rzucił kosztowny bukiet kwiatów (Minty'ego zaciękało, kto za niego zapłacił), ale bukiet nie trafił do auta i upadł na ulicę.

Nikt tego nie zauważył. Mała kobiecina w ciężkiej żałobie i w czarnym welonie prędko schroniła się do auta, które natychmiast odjechało. Przed dworcem zebrali się reporterzy i Minty usłyszał ich śmiechy.

Otworzył pierwszy list. Firma adwokacka Scott i James.

*Niniejszym załączamy przekaz pieniężny na 15 funtów, rentę Pańską za miesiąc kończący się 20 września b.r. Prosimy o podpisanie i zwrot załączonego kwitu. GL/RS.*

Znak GL - zastanawiał się Minty - tych inicjałów nie spotkałem dotąd. Nowa krew w starej firmie. Po dwudziestu latach bawiła go najmniejsza zmiana w sformułowaniu listu; zanim otworzył drugą kopertę, wypił kawę „na szczęście”,

Rany słonia, to od ciotki Elli. Zupełnie zapomniał, że ta stara...stara kobieta (uważaj, Minty) jeszcze żyje.

*Najdroższy Ferdynandzie* Własne imię aż zatkało Min-ty'ego. Od bardzo dawna nie oglądał tego szczególnego zestawu liter. Człowiek podpisuje się oczywiście imieniem na czekach, ale Minty w jakiś sposób pozbył się ciężaru swojego. „Najdroższy Ferdynand”- roześmiał się mieszając kawę -to ja.

*Wydaje mi się, że już bardzo dawno nie miałam od ciebie wiadomości...* Bardzo dawno, pomyślał Minty. Pewnie, że dawno: prawie całe dwadzieścia lat. Zaczął czytać:

*Przedwczoraj przypadkiem natrafiłam na dawny Twój list, kiedy przygotowując się na ostatnią drogę, sprzątałam w szufladach. Wsunął się w głąb szuflady, w której przechowuję stare bruliony. Przyszło mi na myśl, że jesteśmy osiatni z prawdziwych Mintych. Oczywiście żyje jeszcze rodzina Twojej kuzynki Delii, ale oni pochodzą od Mintych z Heitfordshire i nigdy wiele nas z nimi nie łączyło; jest też bez wątpienia Twoja matka, ale ona to Minty tylko przez małżeństwo. Za-*

*pewne - dziwna myśl, prawda? - wszyscy jesteśmy Mintymi jedynie przez małżeństwo. Tak czy owak znalazłam oto Twój Ust i jakąż przyjemność sprawiło mi odczytanie go na nowo. Co znamienne, jest nie datowany, więc trudno mi powiedzieć, jak dawno go otrzymałam. Przypuszczam, że to już parę lat temu. Czytam, że jak twierdzisz, podoba Ci się w Sztokholmie, mniemam więc, że odnosi się to również do dnia dzisiejszego. Nie przypominam sobie teraz dokładnie, dlaczego wyjechałeś do Sztokholmu, muszę pamiętać, żeby zapytać o to Twoją matkę, kiedy tylko się z nią zobaczę, jej pamięć, biedaczki, nie jest już taka, jak kiedyś, i nie zdziwi mnie wcale, jeśli usłyszę, że nie pamięta, jakie też zajmujesz stanowisko. Musi być ono jednak zadowolające finansowo, gdyż w przeciwnym razie nie pozostawałbyś tak długo z dala od ojczyzny. Wyobraź sobie, że mój pośrednik zakupił mi ostatnio trochę rządowych akcji norweskich - co za zbieg okoliczności, prawda? Dziwne -pisząc te słowa, czytam właśnie Twój list - widzę, że prosisz mnie o pożyczanie Ci pięciu funtów. Ten list naprawdę musiał być pisany wiele lat temu, kiedy zaczynałeś swoją pracę, choć właściwie nie wiem, co tam robisz. Bez wątpienia wysłałam Ci te pieniądze, ale zastanawiam się, czy mi je kiedykolwiek zwróciłeś. Jakkolwiek było, bądźmy wielkoduszni i przyjmijmy, że tak uczyniłeś. To już tak dawne dzieje. Ciekawi Cię pewnie, co nowego w domu, ale zapewne słyszałeś od swojej matki o śmierci wuja Lawie i o tej awanturze z bliźniakami Delii Pisała Ci bez wątpienia o wszystkich ważnych wydarzeniach. Przedwczoraj na peronie Fakenhurst widziałam jakiegoś studenta z Harrow - jeszcze jeden zbieg okoliczności*

*Twoja kochająca ciotka Ella*

No. pomyślał Minty, to naprawdę dzień. List od rodziny. Jakże długo stygnie ta kawa. Zaraz pod wpływem tego wydarzenia napiszę do matki: „Ciotka Ella wspomina w ostatnim liście...” - Ależ się staruszka zdziwi na widok mojego pisma



na kopercie. Za mało słodka. Jeszcze kostkę. Nie znam jednak jej adresu, a gdybym wysłał pod adresem adwokatów, zwrócą go GL/RS. Wystygła dosyć. Mogę go wysłać w kopercie do ciotki Elli i poprosić, żeby nalepiła znaczek i przesłała. Moje pismo obok angielskiego stempla. Co za niespodzianka dla matki, ale ostrożnie, Minty, ostrożnie. Ponosi cię, Minty, wyobraźnia. Nie wolno niczym narażać tych piętnastu funtów miesięcznie, wypłacanych tak punktualnie i łaskawie. Znak GL/RS.

- Widzę cię, Nils - powiedział głośno, kiwając łobuzersko palcem na młodego człowieka na ulicy. - Wiesz, że to dzień wypłaty i napiłbyś się kawy. I dostaniesz filiżankę. To wyjątkowy dzień. Przyszedł list od rodziny.

Nils wszedł po schodkach z ulicy, nieśmiało i z gracją jak młody jelonek wtulający nos w ogrodzenie i poprzez pręty przyglądający się życiu płynącemu na zewnątrz. Życie to był Minty, Minty sączący swoją zimną kawę, Minty pożółkły wokół ust, „zapal”, szczodry Minty.

- Dziękuję panu.

- Istne rozruchy na dworcu.

- Tak, proszę pana. To świetna aktorka.

- Czy to ona zapłaciła za bukiet?

- Nie, nie przypuszczam, żeby to ona go kupiła, proszę pana.

Wizytówka odpadła. Mam ją tutaj.

- Daj mi ją - powiedział Minty.

- Tak sobie pomyślałem, że się panu przyda, proszę pana.

- Dobry z ciebie chłopak, Nils - oświadczył Minty. - Zapal jeszcze. Schowaj na później. - Przyjrzał się wizytówce. - Weź całą paczkę.

- Ależ skąd, proszę pana!

- No, jak nie chcesz...- powiedział Minty. - Praca wzywa. Dla chleba z masłem. Niska konieczność zarabiania pieniędzy.

- Naczelnicy chce pana widzieć - powiedział Nils.

- Nieprzyjemności?

- Zdaje się, że tak.

- Mogę stawić mu czoło - odparł Minty. - W kieszeni mam piętnaście funtów i dostałem list od rodziny.

Wyszedł śmiało na ulicę i okrążył róg; niski wzrost i długi czarny płaszcz sprawiały, że wyglądał komicznie, ludzie uśmiechali się na jego widok, a on wiedział, dlaczego się uśmiechają. Kiedyś zatruwało mu to życie, ale to było dawno. Tak często w małych dawkach przyjmował tę truciznę, klucząc po bocznych uliczkach, że teraz znieczulił się na nią jak Mitry-dates. Ledwie zważając na te uśmiechy, potrafił ukazywać się na głównych ulicach, stawać pogrążony w rozmowie z samym sobą i pysznić się własnym wytartym odbiciem w wystawach fryzjerskich. W żyłach burzyła mu się zaledwie odrobina nienawiści i rozrzedzała zaraz w strumieniu przepływającej krwi.

Odrobina ta wzburzyła się, kiedy po przejściu wysokich schodów, hali maszyn i kilku par szklanych drzwi stanął przed obliczem naczelnego. Raził go ten rudy wojskowy wąsik, ta zwięzłość i praktyczność; ostatecznie mógłby z tym skończyć przyjmując pracę w fabryce.

- I cóż pan powie, Minty?

- Podobno chciał pan ze mną mówić.

- Gdzie wczoraj wieczorem był Herr Krogh?

- Odszedłem tylko na łycecz herbaty. Nie było powodu, dla którego miałby tak prędko opuszczać poselstwo.

- Niewiele otrzymujemy od pana, Herr Minty - oświadczył wydawca. - Nie brak nam ludzi, których możemy zatrudnić przy pracy reporterskiej. Myślę, że spróbujemy z kimś innym. Jako reporter nie odznacza się pan doświadczonego okiem. - Wypiął pierś i dodał nagle: - Nie ma pan zdrowia, Herr Minty. Ta filiżanka herbaty. Szwed nie potrzebowałby herbaty. Trucizna. Pan pewnie pija mocną.

- Bardzo słabą, panie redaktorze, zimną, z cytryną.

- Powinien pan się gimnastykować, Herr Minty. Czy ma pan radio?

## **7. Made in England**

Minty potrząsnął głową. Cierpliwości, pomyślał jadownicę. Cierpliwości.

- Gdyby miał pan radio, mógłby pan ćwiczyć pod kierunkiem pierwszorzędного instruktora, tak jak co rano robię to ja. Czy bierze pan zimne kąpiele?

- Letnie, panie redaktorze.

- Wszyscy moi reporterzy biorą zimne kąpiele. Pan, Herr Minty, nie może być człowiekiem sprawnym, mając pochyłe plecy, zapadniętą klatkę piersiową i słabe mięśnie.

Ale to była trucizna znana. Pomalu zaprawiali go do niej rodzice, nauczyciele, obcy ludzie z ulicy. Minty o pierś kurczęcia, zgarbiony i żółty chronił się głęboko w niezależność swojego umysłu. Zmrużył piekące powieki i odpowiedział dzielnie i wyzywająco:

- Więc zwalnia mnie pan?

- Jeszcze raz pozwoli pan wymknąć się okazji...

- Lepiej odejdę teraz - odparł Minty - kiedy mam coś do sprzedania.

- Co też pan może mieć do sprzedania?

- Pewien mój znajomy, brat panny Farrant, wchodzi do firmy. Poufne stanowisko.

- Pan dobrze wie, że dostaje u nas najlepszą cenę.

- Za tanto - powiedział Minty. - Ale za to? - i smyrgnął wizytówką na biurko. Była poplamiona błotem. - Nie dostała wcale tych kwiatów - dodał. - Upadły na ulicę. Oto na co się zdaje zatrudnianie reporterów-atletów. Nie potrafią celnie rzucić. Trzeba zwrócić się do Minty'ego.

Pogroził palcem i wyszedł z pokoju; był zupełnie pijany tymi dwiema filiżankami kawy, miesięcznym czekiem i listem ciotki Elli. W pokoju reporterów zobaczył Nilsa.

- Pokazałem mu, gdzie jego miejsce - oświadczył. - Przez jakiś czas da mi spokój. Czy Krogh już wyszedł?

- Nie. Właśnie dzwoniłem do portiera.

- Spóźnia się - rzekł Minty. - Rodzina znów razem, co,

Nils? Noc miłości. Wszyscy jesteśmy ludźmi - dodał, wsysając w głąb policzki i wzdrygając się od powiewu z szerokiego okna. Machinalnie poszukał na biurku jakiejś zapomnianej paczki papierosów, ale nic nie znalazł. - Robi się zimno. Znow będzie padało.

I w tej samej chwili spadł deszcz; nad dachy zniosło wielką, wzdętą chmurę znad jeziora jak opuszczony statek powietrzny, ściemniło się, pierwsze powolne, rozważne krople przeszły okienną niszę, rozprysły się i spłynęły po ścianie.

[I

Ulewa zaskoczyła ludzi siedzących przed restauracją w słońcu, zanim chmura nadciągnęła znad Malaren, Anthony'ego porwał ze sobą tłum szukający teraz schronienia. Zapadł nieoczekiwany półmrok i przez dłuższy czas nigdzie nie zapalano świateł, ponieważ spodziewano się, że słońce zaraz ukaże się na nowo. Potem kelnerzy zapalili opieszale parę lamp, które jednak wcale nie dawały światła i jedna po drugiej zostały zaraz zgaszone. Deszcz bębnił po stolikach na zewnątrz, przeciekał przez pożółkłe liście na placu i spływał chodnikiem. Anthony zamówił piwo.

Nie miał ani płaszcza, ani parasola, toteż najlepiej było pozostać tam, gdzie był. Nie chciał się stąd ruszać: w drodze do biura Krogha zmókłby i zniszczył swój jedyny garnitur. Pomyślał o oszczędności, o zdrowiu, przypomniał sobie przedszkole, było to na rok przed jego pójściem do szkoły. Parasole przesuwają się jak czarne, ociekające foki; drażnił go obcy język, którego nie rozumiał. Gdyby chciał poprosić o ogień, zapytać o drogę, nie potrafiłby wyrazić tego zrozumiale. Kelner przyniósł piwo: stworzyło to między nimi jakby cień wspólnoty, ponieważ tamten rozumiał chociaż tyle. Mdłe światła zapalone w tym zmierzchu pośród dnia, kelner, który go obsłużył, to krzesło, stół, „zakątek obcej ziemi, co zawsze pozostaje Anglią” - upajał się słowami ze smutkiem. Natychmiast

**100**

przybrał postawę pełną szlachetności, pełną godności wygnańca i przez zachlapanie deszczem okno wyjrzał na dwór, nie myśląc o rzeczach tak nieuniknionych jak zakłady Kro-gha, jak Kate, która czeka, żeby mu powiedzieć, czy zdobyła dla niego prace, ale o deszczu, co spływa na opuszczone, zrównane z ziemią groby i wsiąka w glinę.

- Co za wilgoć - zagadał do kelnera. - Drzewa... - Mówiąc

**O** pogodzie, pragnął ustalić bezpieczeństwo swego zakątka Anglii; chciał powiedzieć kelnerowi, jak szybko opadłyby wszystkie liście, gdyby deszcz padał dłużej. W tym zakątku chciał zawiesić słowne odpowiedniki zdjęć Annette, fotografii wyciętych z *Tygodnika Filmowego*; chciał tu pozostać jeszcze całe godziny. Jadłby tu wszystkie swoje posiłki, a oni by go dobrze poznali.

Kelner nie rozumiał.

- Bitte - powtarzał zaniepokojony. - Bitte. - Przyszedł kierownik sali. - Bitte - powiedział. - Bitte. - Odszedł i przyprowadził kobietę sprząającą schody. - Czego pan sobie życzy? - zapytała po angielsku. Nic nie przychodziło mu na myśl, musiał więc zamówić drugie piwo, choć poprzedni kufel jeszcze był pełen. Widział, jak w drugim końcu restauracji kelnerzy rozmawiają o nim.

Szkopuł, w pewnym sensie, był w tym, że to kelnerzy; gdyby miał do czynienia z kelnerkami, dużo łatwiej przyszłoby mu założyć tu swój angielski kącik. Choć przez ostatnich dziesięć lat przemierzył połowę świata, nigdy naprawdę nie oddalił się od Anglii. Pracował zazwyczaj w miejscowościach, w których inni założyli angielski kącik jeszcze przed jego przybyciem: język angielski znano nawet w burdelach Wschodu. Zawsze był klub (dopóki zachował swoją kartę członkowską), brydżki, anglikański kościół w stylu neogotyckim. Patrzył przez obcą szybę na obcy deszcz i myślał: Krogh nie da mi pracy. Jutro wyjeżdżam z powrotem. Po czym uśmiechnął się

1 zapomniawszy o swoim postanowieniu - przez szybę spojrzawszy

na niego Anglia z podniesionym kołnierzem i w ociekającym kapeluszu.

- Minty! - zawołał ku zdumieniu kelnerów. - Minty! Minty wkroczył ostrożnie, rozglądając się po rzędach stolików.

- Z zasady nie przychodzę tutaj - oświadczył. - Tamci z poselstwa... nie żyjemy ze sobą dobrze. - Usiadł i położył kapelusz pod krzesłem. Pochylając się dodał poufnym tonem: - To minister nasyła ich na mnie. Jestem tego pewny. On mnie nie znosi.

- Co oni robią?

- Śmieją się - wyjaśnił Minty. Popatrzył na kufle z piwem. - Czekają pan na kogoś?

- Nie - odparł Anthony. - Napije się pan?

- Hm, prawdę mówiąc - odpowiedział Minty - wolałbym filiżankę kawy. Nie lubię napojów alkoholowych pod żadną postacią. Nie mam zasadniczych zastrzeżeń, ale mój żołądek nie zniósłby alkoholu. To przez operację, jaką przeszedłem dziesięć lat temu, niemal dokładnie dziesięć. Dwudziestego pierwszego sierpnia. W uroczystość świętej Joanny Franciszki Fremyot de Chantal, wdowy. Wisiałem pomiędzy życiem a śmiercią przez nie mniej, nie więcej tylko pięć dni. Zawsze przypisuję swój powrót do zdrowia świętemu Zeflrynowi. Ale nudzę pana.

- Nie - odparł Anthony - skądże. To bardzo zajmujące. I ja przeszedłem dziesięć lat temu w sierpniu operację.

- Na to oko?

- Nie. To była... pewna rana. Od wybuchu. Wyrostek robaczkowy.

- U mnie było to w pobliżu wyrostka - wyjaśnił Minty. - Ale wyrostka mi nie usunęli. To było daleko bardziej niebezpieczne. Zrobili cięcie i założyli dreny.

- Dreny?

- Owszem, dreny. Nigdy by pan nie uwierzył, ile usunięto

ropy. Zebrałoby się tego pełen dzbanek od mleka, duży dzbanek.  
- Podmuchał na kawę, którą przyniósł mu kelner. - Jak to dobrze móc pogawędzić z rodakiem. I co za zbieg okoliczności, że i pan jest ze starej budy.

- Ze starej budy?

- No, szkoły - wyjaśnił Minty mieszając kawę i wykrzywiając twarz w grymasie pełnym złośliwego rozbawienia. - Środek natarcia, co? Ale życie! Należał pan do fezów?

Anthony zawahał się.

- Nie - odpowiedział.

- I jak to pan mówił? Pod kim pan był? Anthony spojrzął na zegarek,

- Przepraszam, ale muszę już iść. Dziś rano mam się pokazać u Krogha.

- Pójdę z panem - oświadczył Minty. - Ja też idę w tamtą stronę. Ale może się pan nie śpieszyć, Krogh dopiero zjawi! się w biurze.

- Skąd pan wie?

- Parę minut temu rozmawiałem telefonicznie z portierem. Muszę pilnować takich rzeczy. Wczoraj straciłem go z oczu.

- Czy wszystko, co on robi, warte jest wzmianki w gazecie?

- Prawie wszystko - przytaknął Minty. - A wszystko, co robi w tajemnicy, zasługuje na stronę tytułową, dodatki nadzwyczajne i telefony do Anglii. - Po czym dodał: - Jestem człowiekiem religijnym i miło mi pomyśleć, że Krogh, największy bogacz świata, który rządzi rynkiem, pożyczka rządowi, bierze od nas pieniądze i przemienia je w wyroby Krogha, całe miliony przetworzone w wyroby Krogha można nabyć w każdym sklepiku za parę pensów... miło pomyśleć, że Krogh jest taki sam jak inni, że Minty nie spuszcza z niego oczu, pilnuje, zapisuje, może od czasu do czasu wsadzi mu pinezkę w krzesło. {Zastanawiam się, czy też pan pamięta Collinsa, który wykładał historię?) No cóż, Farrant, daje to Minty'emu poczucie, że jest ni mniej, ni więcej tylko głosem



maluczkich, *vox humana* „...a Pan wyniesie cichych i pokornych”  
- mawiał Patridge... wie pan zapewne, kogo mam na myśli...

- Patridge?

- Starszy kapelan. Dopiero jakiś rok, dwa temu poszedł na emeryturę. Zadziwiające, że nie pamięta pan Patridge'a.

- Myślałem o czymś innym - powiedział Anthony. - Deszcz ustał. Zanim zaczniesz padać na nowo, muszę się dostać do biura. Nie mam płaszcza.

Przez całą drogę szedł szybkim krokiem, ale Minty nie zostawał w tyle i właściwie to on prowadził, kierując go to w tę, to w tamtą stronę dotknięciem ręki, wskazówką, przeprowadzając przez jezdnię. Przez cały czas gawędził o zastosowaniu ornatów. Zdawało się, że zupełnie zapomniał o Harrow. Dopiero pod drzwiami do biur Krogha powrócił nagle do tematu szkoły.

- Staram się zorganizować tutaj obiad byłych wychowanków Harrow - powiedział. - Pan oczywiście weźmie bilet, a później poproszę pana o zwrócenie się do ministra. Minister nie lubi Minty'ego i gdyby Minty przeklinał, już by go nazwał. - Ruchem dostojnika kościelnego wzniosł poźółkłe palce: - O, rany słonia!

Anthony obejrzał się i oto Anglia znów została za drzwiami, pilnując go spoza ozdobnej żelaznej bramy przekrwionymi oczami, przed którymi wspinała się, pokryta gałązkami żelazna łodyga. Jego nie oszukam z tym Harrow, pomyślał Anthony, chce, żebym się przyznał. Tam, do licha, zaklął wykonując nagły zwrot, żeby wymknąć się Minty"emu, ta figura, ta fontanna czy jak ją tam zwać... zwariowane gusty mają u tego Krogha, czegoś takiego można by szukać jedynie na Mincing Lane. Co to ma być? Nieludzkie. I wprowadzony przez portiera przez szklane drzwi do szklanej windy zapomniał o Mintym wobec znanych już sobie cierpień suplikanta. Nic nie było mu bardziej nienawistne jak prośby o pracę, a wyglądało na to, że już przez

całe życie nie będzie robił nic innego. Już teraz czuł do Krogha urazę w razie odmowy i w razie przyjęcia. Jeżeli mnie przyjmie, zrobi to z litości albo dla Kate. Co go upoważnia do litości? Mnie nikt nie może zarzucić, że jestem niehumaniczny. Za nim obsuwała się w dół fontanna, wilgoć sączyła się do szarego basenu, a on pomyślał z dumą: Ja przynajmniej jestem człowiekiem. Mam swoje wady. ale są to przynajmniej wady ludzkie. Wypije się o ten kieliszek za dużo, zabawi się człowiek od czasu do czasu z dziewczynką, nie ma w tym nic zdrożnego. Taka jest natura ludzka, a ja jestem człowiekiem. I z wypiętą piersią wyskoczył z windy prosto w objęcia czekającej na niego na podeście Kate, uśmiechniętej, niecierplivej, gotowej uściskać go w obecności windziarza, w obecności jakiegoś urzędnika przebiegającego z teczką dokumentów, podczas kiedy w duchu słabiotko, cichutko, zamierając z wdzięczności, niby zespół ulicznych grajków przesuwających się w dal długiej ulicy szeptało mu coś: „A ja jestem człowiekiem”, i drugi zespół zbliżał się, grając głośniejsze, natrętniej: „Kochana Kate, zawsze robiła, co mogła, nigdy nie zostawiła mnie na lodzie”.

- Jesteś nareszcie - ucieszyła się Kate.
- Deszcz mnie złapał. Musiałem się schować.
- Chodź na chwilę do mojego pokoju.

Poszedł za nią przez hall, mijając stalowe krzesła, szklany stół, wazę pełną żółtych róż; na ścianach wisały mapy z inkrustowanego drewna, wskazujące porę dnia we wszystkich stolicach świata, terminy wysyłek pocztowych do wszystkich krajów i stałe połączenia okrętowe. W jej pokoju stały takie same stalowe krzesła, szklane stoły, żółte róże. Kate odwróciła się do niego:

- Masz pracę. - Klasnęła w ręce, wyglądała o dziesięć lat młodziej. - Przez cały czas dążyłam do tego. - Przyglądała mu się z jawnym uwielbieniem, które go zaskoczyło, uwielbieniem krwi, nie mózgu. - Och, Anthony, jak dobrze będzie mieć cię tutaj.

Usiłował wykrzesać z siebie reakcję równie silną.

- Ba, pewnie, że dobrze.

Pragnął, żeby ona cieszyła się z jego tryumfu, czuł teraz wdzięczność, ale jego miłość była mętna, rozrzedzona jak cienka warstewka farby rozprowadzona po dużej powierzchni. Ta wdzięczność to nie miłość, ta umysłowa zależność nie jest miłością, ani to czytanie w jego myślach, dokuczliwy współudział w cierpieniu; te niefortunne sztuczki płała im fakt, że są bliźniakami. Miłość to zabawa, rozrywka, miłość to Annette, Mabel.

- Kate, kochanie, powiedz mi, co mam u niego robić?

- Nie wiem. Ale posłuchaj. O nic się nie martw. To naprawdę praca, a nie łaskawy chleb. Jesteś mu potrzebny.

- Ale może to być coś nie dla mnie.

- Nic podobnego, będzie to coś dla ciebie, Anthony. Jestem tego pewna. Tak czy owak popróbuj. Jesteś mi tu potrzebny. Posłuchaj. Będziemy mogli wszystko robić razem, jeździć, zwiedzać.

- Ależ to będzie świetnie! - uśmiechnął się do niej Anthony. - Pamiętaj tylko, że od czasu do czasu będę musiał trochę popracować. Jak myślisz, gdzie będę pracował? Może w fabryce. Maszyny zawsze mnie interesowały. Pamiętasz, jak wyreperowałem tamto stare auto i wyciągałem nim na szosie do Brighton dwadzieścia mil na godzinę? Myślę jednak, że będę księgowym. W księgowości właśnie mam największą praktykę.

- I już nie będzie tak, że ty w Chinach, a ja w Londynie, ty w Indiach, a ja w Sztokholmie.

- Będziemy się bardzo często widywali. Może nawet będziesz mnie miała za często.

- Och, nie.

- Odkąd byliśmy mali, nigdy się tak nie układało, ciągle ta szkoła. Wakacje zawsze wydawały się za krótkie.

- Boję się tylko, że teraz będzie tak samo - powiedziała Kate.

- Co chcesz powiedzieć?
- Że i teraz będzie się to wydawało za krótkie.

Ze zdumieniem i bólem zdał sobie nagle sprawę, że oto przed chwilą popełnił omyłkę, że w końcu to właśnie jest miłość, że od urodzenia ciąży na nim pech - Kate to jego siostra. Uświadomił sobie tę olbrzymią stratę, olbrzymie rozczarowanie. Nie można jej nic zarzucić - pomyślał. - To klasa dziewczyna, z szykiem. Nie znajdował w głębi serca odpowiednich słów. Mówi, co chce powiedzieć, wie, czego chce, robi to, co chce, człowiek może na niej polegać. Pragnął wyznać jej, że ją kocha, ale jakieś światełko zapaliło się nad drzwiami i Kate wyjaśniła:

- To Erik. Już może cię przyjąć.

Okazja przepadła, pozostawiając poczucie winy, melancholii, straconych szans. Poczul się jak ktoś., kto słysząc oddalającą się za rogiem kulawą melodyjkę graną przez nieudolny zespół ulicznych grajków, musi przyznać się do litości i niezdecydowania. Grosiki leżały na ulicy, tylko on ich nie dostrzegł i kto wie, jaki to szczęśliwy los mógł być mu przypaść w udziale w nagrodę za jeden spontaniczny gest,

- Wchodzę. Dobrze wyglądam? Nie mam sadzy na nosie, jestem czysto wygolony...

- Wszystko dobrze, Erik i tak nic by nie zauważył.

Erik to, Erik tamto - pomyślał i spróbował podsycić swoją zazdrość wyobrażając sobie tryumfalną twarz Krogha, do którego należy Kate, zobaczy! jednak tylko kamienne schody prowadzące do znajomego mieszkania, pobieloną ścianę, ołówkiem nabazgrane uwagi: „Wracam o 12.30”, „Dziś nie biorę mleka”. To należy do niego, a tamto do mnie, dzielimy ten świat między siebie.

Kate otworzyła jakieś drzwi. Dotknął jej, przechodząc. Brat i siostra, czułość, ona zna mnie, a ja ją, głęboka swoboda naturalności. Dlaczego miałbym mu zazdrościć? - zastanowił się, wspominając miłość, wspominając dzwonek dźwięczący w pu-

styni mieszkaniu, poszukiwanie poleceń na ścianie, wyrysowane przeplecione serca. „Jestem za rogiem w pubie”, „Wracam o 12.30”, „Dziś nie biorę mleka”, kamienne stopnie śliskie od spływającego mydła, najpierw zabawa, a potem rozpacz.

- Bardzo to uprzejmie, że mnie pan zechciał przyjąć.

Był przerażony, nie wiedział dobrze, co mówi, a szczęście miało smak gorzki, bo w końcu to już było dno. W każdym klubie świata, nawet najpodlejszym, prośbę o pracę u kochanka własnej siostry uznano by za dno upadku. Zwrócił na Krogha łudzaco szczere spojrzenie. Na próżno jednak, ponieważ Krogh na niego nie patrzył. Skinął w kierunku krzesła i obracając w palcach zapalniczkę powiedział:

- Proszę usiąść.

Anthony pojał z niedowierzaniem: Jest nieśmiały.

- Z początku myślałem, że nie mam żadnego zajęcia, które mógłbym panu zaproponować - wyjaśnił. - Wydział rachunkowości mamy w pełni obsadzony. Zdaje się, że ma pan najwięcej doświadczenia w tej właśnie dziedzinie?

- Tak - odparł Anthony.

- Rozumie pan, że nie znam tych wszystkich spraw szczegółowo. Opieram się na sprawozdaniach dyrektora. Dyrektor nie skarżył się na nikogo. Nie spodziewał się pan przecież, że będę zwalniał człowieka z doświadczeniem, z którego jesteśmy zadowoleni...

- Oczywiście, że nie.

- Byłem pewny, że pan zrozumie - powiedział Krogh. - Ale niezależnie od tego chciałbym coś dla pana zrobić. Jest pan bratem panny Farrant, a panna Farrant jest... - szukał odpowiedniego słowa. Suchą, beznamiętną, z jakiegoś powodu niespokojną twarz zwrócił w stronę drzwi pokoju sekretarki. Popatrzył na przycisk umieszczony na biurku; wydawało się, że zaraz zapyta samą Kate o właściwe słowo. - Jest dla mnie bezcenna - rzucił pośpiesznie i ciągnął dalej: - Czy zna pan Amerykę?

- Byłem raz w Buenos Aires.
- Mam na myśli Stany Zjednoczone.
- Nie - odrzekł Anthony. - W Stanach nie byłem nigdy.
- Prowadzę tam interesy - wyjaśnił Krogh. Znowu zabrakło mu słów. - Zapali pan?
- Dziękuję.

Krogh wyciągnął zapalniczkę i donośnym, niespokojnym głosem, zduszonym natychmiast w dość ciasnej przestrzeni między dźwiękoszczelnymi oknami a dźwiękoszczelnymi drzwiami, zaczął:

- Propozycja, jaką panu uczynię, może wydać się nieco dziwna. Być może, nie zechce jej pan przyjąć. - Był mocno zażenowany. Dodał, jakby nie pamiętał, że nic jeszcze nie wyjaśnił: - To nie jest sprawa, z jaką mógłbym się zwrócić do policji.

- Co mam dla pana zrobić? Ukraść coś? - zapytał łagodnie Anthony.

- Ukraść - powtórzył Krogh. - Skądże. - Poruszył się niespokojnie, przełknął ślinę i wypalił prosto z mostu: - Potrzebna mi tylko ochrona osobista. Pomyślałem wczoraj... wiem, to wprawdzie błażostka, to tylko strzelił gaźnik, ale aż podskoczyłem... pomyślałem, że jestem zupełnie bezbronny w razie jakiegoś naprawdę pozbawionego skrupułów... Na pewno wydaje się to panu wymysłem, ale w Ameryce robi się takie rzeczy. Nie dalej jak wczoraj miałem kłopoty w fabryce. Nie uwierzy pan...

- Ależ oczywiście, że uwierzę - wtrącił Anthony. Nie zawahał się ani chwili, jedynie cień roztargnienia w jego poważnym spojrzeniu pozwalał przypuszczać, że myślami przebywa daleko: w Buenos Aires, w Afryce, w Indiach, na Malajach, w Szanghaju i swoją starą historyjkę przystosowuje do nowych potrzeb. - Otóż przypominam sobie, że poznałem kiedyś faceta, który był ochroną osobistą samego Morgana. To było w Szanghaju. Opowiadał mi, że wszyscy oni mają kogoś ta-

kiego. Opowiadał mi...- urwał. - No cóż, to po prostu kwestia rozsądku. Nawet gwiazdy filmowe mają ochronę osobistą.

- Ale tu, w Sztokholmie...

- Trzeba iść z postępem czasu - oświadczył Anthony. Teraz był już zupełnie pewny siebie: sprzedawał siebie, tak jak sprzedawał kiedyś jedwabne pończochy i odkurzacze: natarczywe spojrzenie, stopa wetknięta między drzwi, lawina słów zawsze jednak godnych dżentelmena. {„Zachowywał się całkiem jak dżentelmen" - tłumaczyły się później mężom z niepotrzebnych zakupów). - Zwrócił się pan do właściwego człowieka, proszę pana. Mógłbym panu pokazać, jakie puchary zdobyłem, jakie srebrne tace. - Pamiętał nawet, by przypawić to patosem, żeby dostarczyć kupującemu jeszcze jednego argumentu: „...biedaczysko, zaznał w życiu niedostatku..." - Większość z nich sprzedałem w ciężkich czasach. Nierzadko zastawiałem coś w lombardzie i kwit wyrzucałem do najbliższego kosza na śmieci. Nigdy niczego tak nie żałowałem jak pewnego srebrnego półmiska, nagrody klubu w Singapurze. Tam przynajmniej było się z kim zmierzyć, wszyscy strzelali jak szatany. Piękny to był półmisek.

- Więc przyjmie pan tę pracę?

- Oczywiście, że przyjmę - odparł Anthony.

- Będzie pan wolny przez cały czas, kiedy jestem w biurze, ale poza biurem muszę mieć pana cały czas przy sobie.

- Powinien pan zabrać się do tego w wielkim stylu - poradził Anthony. - Szkło kuloodporne, stalowe okiennice...

- Nie sądzę, żeby w Sztokholmie było to konieczne,

- Nie szkodzi - oświadczył Anthony lustrując ściany z nie ukrywanym niezadowoleniem - do tego gmachu każdy mógłby podrzucić bombę. I nawet nie naruszyłaby tej fontanny.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - zapytał prędko Krogh. - Nie podoba się panu ta fontanna?

- A ja pytam pana - odpowiedział Anthony - czy ona może się komukolwiek podobać?

- Wykonał to najlepszy współczesny rzeźbiarz Szwecji.
  - Nikt nie zaprzeczy, że strasznie to wydziwaczone - stwierdził Anthony. Podeszedł do okna i skrzywił się, spoglądając w dół na fontannę, na zielony kamień ociekający wodą pod szarym niebem. Potem dodał protekcjonalnie: - Całkiem nieźle ustawione.
  - Ale pańskim zdaniem... jest zła?
  - Moim zdaniem, jest okropna - zawyrokował Anthony. - Jeżeli to ma być szwedzki typ piękna, to ja wolę już dzień w dzień oglądać coś takiego jak Edgware Road.
  - Najlepsi krytycy - tłumaczy! się Krogh - wszyscy zapewniali mnie...
  - Och, każdy z nich musi przy okazji upiec własną pieczeń - oświadczył Anthony. - Trzeba pytać zwyczajnych ludzi. W końcu to oni kupują wyroby Krogha.
  - A ta popielniczka podoba się panu? - zapytał Krogh.
  - No, popielniczka jest w porządku.
  - To projekt tego samego artysty.
  - Bo widocznie jest dobry do takich małych cacek - wyjaśni! Anthony. - Trzeba zacząć od tego, że nie powinien by! pan dawać mu do zabawy wielkiego kamienia, tylko coś mniejszego.
  - Siostrze pana się podoba.
  - Kochana Kate, zawsze była intelektualistką - stwierdzi! Anthony.
- Krogh stanął obok niego przy oknie. Popatrzył ponuro w głąb podwórza.
- Portierowi też nie podoba się ta fontanna - przypomniał sobie.
  - No, ale jeżeli panu się podoba...
  - Nie jestem tego całkiem pewny - powiedział Krogh. - Nie rozumiem niektórych rzeczy. Poezja...To, co pisze wasz poseł. Nie miałem na to nigdy czasu.
  - Ja także - oświadczył Anthony - ale ja mam wrodzony smak.



- Lubi pan muzykę?
- Uwielbiam.
- Dziś wieczorem - powiedział Krogh - musimy iść do opery. A zatem sprawi to panu przyjemność?
- Zawsze lubię posłuchać ładnych melodii - odpowiedział Anthony. Zanucił parę taktów ze „Zrywania stokrotek za dnia”, urwał i z rozmachem, żartobliwie zasalutował temu pełnemu niepokoju, przyglądającemu mu się człowiekowi. Znowu mam pracę, pomyślał. - No to uszanowanie. Zmykam stąd. Ja tu gadam, a pan pewnie zajęty. - Zatrzymał się w drzwiach. - Na galę będzie mi potrzebna forsa.
- Galę?
- No, biały krawat itede.
- To panna Farrant... pańska siostra... tym się zajmie.
- Dobra - zgodził się Anthony - no, to do zobaczenia.

### III

„Czas wolny dla wszystkich" - pomyślał Minty. Takie szkolne zwroty raziły go, ale zawsze pierwsze pchały się na usta. Kiedy mówił „czas wolny dla wszystkich", zamiast „wolne popołudnie", sprawiało mu to gorzką, męczącą przyjemność. Była to miłość i nienawiść. Jego więź ze szkołą była to więź bolesna i wymuszona, a także beznamiętna, pozostawiająca po sobie tylko żal i nic, co można by kochać, tylko nienawiść, chociaż miłość ta była bezsilna wobec zasady Jesteśmy jednym ciałem".

A ten wyobraża sobie, że może bezkarnie paradować w krawacie Harrow. Żaden kapitan drużyny ni członek klubu filatelistycznego w muszce i lamowanej kamizelce nie oburzyłby się szczerzej. Tylko że Minty był bardziej od nich opanowany. Nauczyło go tego wykręcanie rąk, klucie stalówkami po łydkach, rozsypane kadzidło i potłuczone święte obrazki. W przypadku Minty'ego była to naprawdę miłość długotrwała i uporczywa, a kiedy nadeszła wreszcie starannie wybrana i złowieszczą chwila odwetu, po wymianie listów z aptekarzem przy Charing Cross Road i po odebraniu skromnych paczek, to nie Minty się cofnął, lecz jego partner. Został, bo nie zdołał dojść do szóstej, a potem stał się kimś ważnym w City; i odejść musiał właśnie Minty, spędziwszy długie godziny z tutorem, odszedł nie jako relegowany, ale zabrany przez

#### **8. Made in England**

matkę. Wszystko bardzo spokojnie, bardzo dyskretnie - to matka wpłaciła za niego wpisowe do stowarzyszenia byłych wychowanków.

„Czas wolny dla wszystkich”. Teraz, kiedy Farrant znajdował się pewnie i bezpiecznie w środku, Minty nie potrzebował śledzić Krogha. Farrant potrzebuje pieniędzy. Farrant obnosi ten krawat. Farrant to pewniak. Ale z dnia, który zaczął się tak pomyślnie listem od rodziny, trzeba wydusić jak największe korzyści. Jutro musi uważać, żeby nie dopuścić do siebie zła i bezwzględności, przez pamięć na świętego Zefiryra. Dziś może popuścić cugli instynktom. Święty Ludwik nigdy mu w niczym nie pomógł. Bez sit, w łóżku po założeniu drenów modlił się do niego, ale święty Ludwik go nie wysłuchał. Odpowiedział na prośby wzgardzony i zapomniany Zefiryra.

Pogadam z ministrem. I upomniał sam siebie z szelmowskim błyskiem w oku: Ale z ciebie nudziarz, Minty. Jesteś już na tyle dorosły, żeby nie robić głupstw. Stary okropny nudziarz. Cmoknął przymilnie sam do siebie, wychodząc na plac Gustawa Adolfa w czarnym płaszczu ociekającym od deszczu. Szary monarcha stał zwrócony twarzą w stronę Rosji, z rękojeści szabli skapywał mu deszcz, a pod kolumnadą opery skupiły się jalt muchomory parasole. Minty i jakaś zabłąkana taksówka mieli cały plac na swój wyłączny użytek. Właściwie cóż w tym złego, myślał, że Minty planuje sobie, jak by tu się przedostać do ministra, omijając tego nadgorliwca Całlowaya i całą armię młodych urzędników dyplomacji o radiowych głosach. Calloway już zatrzaskiwał mu drzwi przed nosem, ale Minty był szybszy.

- Muszę się widzieć z kapitanem Gullie - oznajmił. Znał dobrze topografię poselstwa i zręcznie wymijając Całlowaya wśliznął się przez wyłożony białą boazerią korytarz do gabinetu Gulliego.

Attache wojskowy skrzywił się podnosząc oczy.

- Och, to pan, Minty? Czego, u diabła, chce pan dzisiaj?

Zmieszany, podkreślił marchewkowego wąsa, przesunął monokl. Na biurku przed nim leżał oprawny rocznik jakiegoś pisma.

- Przyszedłem do pana ministra - oznajmił Minty - ale jest zajęty w tej chwili. Wpadłem więc tutaj dla zabicia czasu. Pan zajęty?

- Bardzo - odpowiedział Gullie.

- Myślałem, że zainteresuje pana wiadomość, że zjawił się w mieście jeszcze jeden Szkot. Nazwiskiem Farrant. Powiada, że należy do MacDonaldów.

Gullie'mu poczerwieniał kark.

- Jest pan pewny? Farrant... Nie znam tego nazwiska. Mógłby mi pan podać księgę klanów? Tu stoi. Tuż przy pana łokciu.

Minty podał Gulliernu małą, czerwoną książeczkę z wykazem klanów i tartanów'.

- My, Cameronowie, nie jesteśmy, oczywiście, w stanie znieść żadnego MacDonalda. Dla Camerona równie niemożliwe są stosunki przyjacielskie z MacDonaldem, jak dla Francuza...

- Miałem przyjemność widzieć się wczoraj z pańską matką - przerwał mu Minty, buszując po gabinecie ze skrytym rozbawieniem. Gullie znów się zaczerwienił. - Cóż za wspaniały akcent. Doprawdy, nikt nigdy nie poznałby, że jest Niemką. Ale niech mi pan powie, Gullie, jeśli idzie o was, Cameronów... o co wam poszło z tymi MacDonaldami?

- Masakra w Glencoe - odparł Gullie,

- Aha - mruknął Minty. - Co pan czyta, Gullie? - Zajrzał tamtemu przez ramię w rozłożony tom niemieckiego magazynu dla nudystów. - Ma pan tutaj niezłą pornograficzną biblioteczkę.

**1. Tartan - szkocka tkanina wełniana w różnobarwną kratę; odzież z tej tkaniny; także wzór wkratę z pasów różnych kolorów, wjaki tkane są wełniane materiały, będące dawniej oznaką określonego klanu szkockiego.**

-Wie pan bardzo dobrze, że moje zainteresowania są natury artystycznej - odpowiedział Gullie skręcając sznureczek monokla. - Maluję okręty i... ciało ludzkie. Do licha, Minty, nie ma tu żadnego Farranta. To musi być oszust.

- Możliwe, że pomyliłem nazwę klanu. To mógł być jakiś Mac-coś-tam-innego. To pańskie wszystkie te okręty? - Machnął ręką, wskazując obrazki wiszące w dwóch rzędach na białych ścianach. Były tam małe statki różnych typów: barki, brygantyny, fregaty i szkunery roztańczone na błękitnych, sztywno ustawionych liniach fal. - A te ciała ludzkie, gdzie pan trzyma?

- W domu - odparł Gullie. - Posłuchaj pan, Minty. Ten facet to ani MacPherson, ani Macfarlane, ani... czy to jakiś przyzwoity gość?

- Nie, nie sędzę.

-Wobec tego nie powinien chodzić i rozpowiadać, że jest MacDonalodem.

- Może być, że to jakiś Mac-coś-tam-innego.

- Już my go rozgryziemy na obiedzie w klubie Kaledonii. Będę miał na oku jego tartan.

- Przyszedłem pogadać z panem posłem - oświadczył! Minty - o obiedzie wychowanków Harrow. Na mnie już czas. Minister może się niecierpliwić. Nie przeszkadza panu, że wejdę od pana, co? - W miejscu, gdzie stał, zostawił kałużkę wody. - No to cześć, Gullie. Trzymaj się pan okrętów. Daruj sobie te ciała. - Żartobliwy ton głosu Minty'ego uległ zmianie, nabierając jadowitego posmaku i cienia szczerości. - Strasznie one brzydkie, Gullie, z tymi wszystkimi wypukłościami. - I nim Gullie zdążył powstrzymać go, był już za drzwiami znajdującymi się za biurkiem.

O tak, ciało ludzkie jest brzydkie. Czy to mężczyzna, czy kobieta, nie sprawiało to Minty'emu różnicy. Kształt ciała, zasmarkany nos, ekskrementy, nonsensowne gesty namiętności, wszystko to pulsowało w umyśle Minty'ego pochylonego

nad zdjęciami nagich piersi i ud. Przez głowę przemknęła mu banda uczniów. rozbijająca wizerunki Madonny i Dzieciątko wśród wrzasków, czkania i puszczenia wiatrów.

Minister pisał przy biurku stojącym na drugim końcu puszystego dywanu, w otoczeniu swoich antycznych bibeletów; Minty po cichutku zamknął drzwi. Tęczówki rozszerzyły mu się trochę. Ogarnął wzrokiem białe, posłuszne włosy pośła, różowe, leciutko przypudrowane po goleniu policzki, kosztowny szary garnitur. Minty zląkł się trochę siły nienawiści, jaką wyzwolił w nim Gullie. Ten puder, ta troska o ubiór, ta pieczołowita dbałość - Minty'ego aż zemdlilo od całej tej hipokryzji. Ciało nie przestawało być ciałem, funkcji jego nie ukryje Savile Row. I pomyśleć, że sam Bóg stał się człowiekiem. Minty nie potrafił wejść do kościoła, żeby o tym nie pomyśleć i myśl ta przyprawiła go o mdłości i była czymś więcej niż męka w Ogrójcu, niż rozpacz na krzyżu. W porównaniu z tym upokorzeniem, łatwo znieść ból, z którym człowiek wstaje co rano i kładzie się spać co wieczór. Stai - woda kapala z niego na skraj dywanu - i pocieszał się, że przynajmniej nie każdy musi być tak gruboskórny, żeby kochać ciało tak jak Gullie albo ukrywać je pod pudrem i subtelnie prążkowanym, eleganckim garniturem jak poseł. Pełen nienawiści do tych hipokrytów, czekał, aż poseł podniesie wzrok, i wystawiał na widok publiczny swoją wytartą biedę z grobową i złośliwą dumą. Wreszcie odezwał się:

- Sir Ronaldzie.

- Wielkie nieba - drgnął poseł - mój drogi, aleś innie przestraszył. Jak się tu dostałeś?

- Byłem u Gullie'ego - oświadczył Minty - i kiedy mi powiedział, że nie jest pan w tej chwili zajęty, pomyślałem sobie, że zajrzę i pogadam z panem o obiedzie wychowanków Harrow.

- Cóż za dziwne rzeczy opowiada Gullie.

- Oczywiście będzie pan przewodniczył, sir Ronaldzie?

- Hm, mój drogi, wydaje się, że tak niedawno urządzaliśmy ten ostatni obiad i, szczerze mówiąc, jestem okropnie zajęty.

- Tamten był dwa lata temu.

- Nie powie pan chyba - wtrąci! posei - że był to sukces. Doprawdy, maio brakowało, a przerodziłby się w burdę. I jakieś podejrzanе idywiduum sypało mi popiół z cygara do szklanki z winem.

- Mielibyśmy świetną okazję puścić w kurs ten nowy apel budy do dawnych uczniów.

- Mój drogi Minty, nikt nie ma większego uznania niż ja dla pańskie] naprawdę podziwu godnej pracy na rzecz szkoły, ale są pewne granice. Cały kłopot, że tu jest za dużo żołnierzy. Czyżby nie mogli uczyć się rosyjskiego w kraju... albo w Tallinie?

- Aha, jeszcze jeden wychowanek Harrow przyjechał do Sztokholmu na stałe. A przynajmniej nosi nasz krawat. Brat tej kobiety Krogha.

- To interesujące - zauważył poseł.

- Pracuje u niego.

- Proszę mi przypomnieć, żebym wpisał jego nazwisko.

- Nie przypuszczam, żeby w ogóle był w Harrow.

- Zdaje się, że pan mówił, że był.

- Powiedziałem, że nosi nasz krawat.

- Cóż z pana za podejrzliwy człowiek, Minty. Gdyby nie był uczciwy, nie znalazłby się u Krogha. Kroghowi powierzyłbym ostatni grosz.

- Dlaczegoż by nie? - odparował Minty. - Płaci dziesięć procent.

- Nie przeczę, trafiło mi się parę interesików - przyznał poseł. Oparł się wygodniej i uśmiechnął z zadowoleniem. - Zarobiłem w ten sposób na tegoroczny urlop zimowy.

- A nasz obiad? - zapytał Minty. Teraz zaczął błagać zupełnie serio; przeszedł przez dywan, zostawiając za sobą mo-

krą ścieżkę. - To słuszna sprawa. Pozwala nam zachować kontakt. Jeden wieczór w roku, kiedy cztowiek nie czuje się na obczyźnie.

- Do licha z tym, Minty, to nie Sahara. Dzieli nas zaledwie trzydzieści sześć godzin drogi od Piccadilly. Nie ma pan podstaw do nostalgii. Zawsze może pan wyskoczyć na któryś weekend. Niech pan bierze przykład z Gullie'go. On tak robi. Co do mnie, wolę zaczekać i popłynąć na cały miesiąc na Boże Narodzenie. To najlepsza pora roku w Anglii. Przynajmniej mam parę dni na polowania. No nie, nie może pan utrzymywać, że my tutaj jesteśmy całkiem odcięci od kraju.

Była to prawda. Nie był odcięty od kraju tutaj, w tym pokoju z białą boazerią, za tą wazą pełną jesiennych róż; cały ten jego dobrobyt wyglądał jak perfidna obelga. Nie poprosił mnie, żebym usiadł, boi się o swoje wyściełane krzesła, bo mam mokry płaszcz.

- Ten obiad to słuszna sprawa - powtarzał Minty, chcąc zyskać na czasie, żeby wymyślić jakąś historyjkę, jakiś kawał, plotkę, która na pożegnanie pozbawiłaby posła dobrego humoru. Powiedział: - Widziałem recenzję pańskiej książki w *Manchester Guardian*,

- Niemożliwe. No, no, doprawdy. I cóż oni na to? Nie czytuję recenzji.

- A ja nie czytuję poezji - oświadczył Minty. - Wpadł mi w oko tylko tytuł: „Dziesiąta woda po Dowsonie”. Powiedział pan, zdaje się - dorzucił szybko - że kupował pan jakieś nowe akcje Krogha? Powinien pan mieć się na baczności. Krążą rozmaite plotki.

- Co pan mówi? Plotki?...

- Ach, Minty\*emu to i owo wpada czasem do ucha. Podobno o mały włos nie doszło do strajku w fabryce.

-- Nonsens - powiedział sir Ronald. - Krogh był tutaj na herbatce. Sam doradzał mi kupno.



- Tak? A dokąd udał się potem? Każdy jest tego ciekaw. Czy odbierał tu jakiś telefon?

- Odbierał dwa.

- Tak też przypuszczałem - stwierdził Minty.

- Kupiłem pakiet akcji z ostatniej emisji - przyznał poseł.

- Hm, hm, ludzie mówią rozmaicie. Właściwie nic określonego. Cenę mogą trochę obniżyć, oczywiście, ale nie może się pan spodziewać, że każda spekulacja będzie korzystna. A do tego jeszcze jest pan poetą. Nie zna się pan na tych sprawach - Minty zachichotał.

- Z czego się pan śmieje?

- „Dziesiąta woda po Dowsonie” - powtórzył.- Nie zaprzeczy pan, że zρέcznie powiedziane. Niech pan tylko na mnie polega, kiedy zechce pan się czegoś dowiedzieć. Trudno wymagać od dyplomaty, żeby wiedział, o czym mówi ulica. Ale niech pan polega na Mintym. - Wykapał za sobą ścieżkę do drzwi. - Zawsze chętnie pomogę koledze z budy.

W długim białym korytarzu zatrzymał się przed galerią portretów poprzedników sir Ronalda, wszystkie pędzla miejscowych artystów; w krezach i bujnych perukach, ciężkich futrach, które przysłaniały napierśniki zbroi, odznaczeni się jakimś nieangielskim barbarzyństwem, jakimś czysto skandynawskim rysem wokół oczu. Za dworakiem z czasów Stuartów widać było w głębi parę renów i górzysty, lodowy krajobraz. Dopiero portrety późniejsze pozbawiono wszelkich narodowych znamion. Portretowani, w etykietalnych strojach, spodniach spiętych pod kolanami, obwieszani medalami i wstęgami, reprezentowali jakąś skosmopolityzowaną sztukę rangi Sargenta i De Laszlo. Sir Ronald, o czym Minty wiedział, miał dla nich wiele podziwu i nadzieję, że wkrótce sam znajdzie się w tym towarzystwie, toteż w sercu Min-ty'ego uczucie niezwyklej czułości wtopiło się w znajomą mu bliżej gorycz, uczucie czułości dla tych oprawnych w ramy i przystrojonych w peruki, którzy w swoim czasie rzeczywi-

ście byli odcięci, choć może odcięci nie tak całkowicie jak on; czułość dla tych malowideł, które sir Ronald nazywa „interesującymi”. Zostawiając za sobą szlak mokrych śladów wzdłuż srebrzystoszarego dywanu, skierował się do drzwi i wyszedł.

Deszcz ustał i wschodni wiatr gnał szare tabuny chmur nad jezioro Malaren, a promienie słońca lśniły na mokrych kamiennych ścianach pałacu, na gmachu opery i parlamentu. Od przepływających pod Mostem Północnym motorówek wznosiła się wodna kurzawa, wiatr porywał ją i miotał jak drobny deszcz na szklane ściany wyludnionej restauracji. Z mokrego, połyskującego piedestału, ponad kipiela drobnych fal spoglądała w stronę Grand Hotelu postać nagiego mężczyzny wypinającego pośladki na most i przechodniów.

Minty wszedł do budki telefonicznej i zadzwonił do biura Krogha. Zapytał portiera:

- Czy dyrektor Krogh jest jeszcze w biurze? Mówi Minty.

- Tak, proszę pana. Nie wychodził.

- Czy idzie dziś wieczorem do opery?

- Nie zamawiał jeszcze auta.

- Jeżeli można, proszę połączyć mnie z panem Farrantem.

Czekał dość długo, ale nie niecierpliwił się. Na zakurzonej szkle budki wyrysował palcem kilka krzyżyków i głowę w birecie.

- Halo, czy to Farrant? Mówi Minty.

- Właśnie wróciłem z miasta, kupowałem pełną galę -oznajmił Anthony. - Buty, skarpetki, krawat}'. Wybieramy się dziś do opery.

- Pan z Kroghiern?

- Ja z Kroghiern.

- Wygląda na to, że umie się pan zakręcić. Posłuchaj pan. Nie zdobyłby pan dla mnie paru informacji o tym strajku, o którym chodzą słuchy?

- Trudno powiedzieć, żeby on był zbyt gadatliwy.

- Mogę panu załatwić dobrą cenę.

- Dzielimy po połowie?

Minty wymazał kciukiem głowę w birecie i narysował następnym krzyżyk, cierniową koronę i aureolę.

- Posłuchaj, Farrant. Ja się z tego utrzymuję, to mój chleb i masło i cóż począć, nawet papierosy. Pan złapał dobrą posadkę i nie zależy panu tak bardzo na tej połowie. Dam panu trzecią część. Uczciwie mówię. - Niemal automatycznie odpukał, rozgrzeszając się z odpowiedzialności za złamane przyrzeczenie. - Weźmie pan trzecią część, co? - Przygotowywał się na dalsze nalegania, przybierając ton małego chłopca, który kręci się koło sklepu ze słodyczami i błaga starszych kolegów, by zafundowali mu ciastko za pensa albo kawałek czekolady. - No, chyba rozumie pan, Farrant...

Anthony jednak zaskoczył go, godząc się bez dyskusji na wszystko.

- No, jeżeli sprawy tak się mają, Minty, wezmę tylko jedną czwartą. Cześć. Do zobaczenia.

Minty stał ze słuchawką w ręku i zastanawiał się: - Co też on knuje? Czyżby miał zamiar mnie wykiwać? A może ukrywa się za tym ktoś z konkurencji? Poczul nękającą zazdrość w stosunku do tej sfery wyszarzałych reporterów czekających tak jak on pod drzwiami biur Krogha. przekupujących portiera, stojących na straży przed wytwornymi restauracjami, gdy Krogh jadł obiad na mieście, a oni sami potem późno i głodni wracali do domu, do swoich obskurnych pokoików na czwartym piętrze w odległej dzielnicy miasta. Może to Pihlström go złapał? Może Beyer? Może kupił go Hammarsten? Ujrzał Pihlströma w zabłoconym ubraniu, usiłującego oszukać automat zagranicznymi monetami. Beyera, jak posuwał podstawki od piwa sąsiadowi. Hammarstena... Nie można im wierzyć, pomyślał, nie można im wierzyć. Powiesił słuchawkę, przeciągnął dłoń po swoich aureolach i krzyżykach i wyszedł w szare jesienne popołudnie.

A może by tak skromny lunch, Minty? Pierwszy dzień finansowego miesiąca: list od rodziny, nowe inicjały w liście adwokata; i wykiwałem naczelnego, i wykiwałem Gullie'go, i wykiwałem posła - bez dwóch zdań, to okazja, żeby się trochę szarpnąć, a więc skromny lunch. Najpierw jednak, Minty, obowiązek, obowiązek przede wszystkim.

Zadzwoił do redakcji i kazał im przysłać fotoreportera pod operę.

Następnie lunch.

Znów jednak zmieni! zamiar. Wzywał go kościół. Mrok, blask wiecznej lampki przyciągały go bardziej niż głód. Ko-ściół! byt oczywiście luterański, panowała tu jednak atmosfera gipsowych figurynek, wiecznej lampki i odpuszczonych grzechów. Rozejrzał się na boki, pochylił głowę i, jak tajemny cudzołózca, przemknął ostrożnie w stronę otwartych wrót kościelnych, czując podniecenie wysuszające ślinę w gardle.

Dopóki światła nie zgasły, Anthony czuł na sobie spojrzenie całej sali, nie dbał jednak o to zupełnie. Wiedział, że wygląda dobrze we fraku, nawet jeśli ten frak został kupiony w sklepie z gotowymi ubraniami. Po lewej ręce miał dwa nie zajęte fotele i dwa nie zajęte fotele znajdowały się za Kroghiem. Siedzieli w czwartym rzędzie, celowo izolowani; dwa miejsca tuż za nimi również były puste, Anthony zaczął obliczać, ile kosztuje Krogha pójście do opery.

- Czy często pan tu bywa? - zapytał zerkając w górę na migocące diademami loże; atmosfera na widowni była osobliwa i staroświecka - te dekolty, diamenty i siwe włosy, jakaś dania przyglądała się im przez lornetkę. Miał wrażenie, że biorą udział w jakiejś tradycyjnej ceremonii zastrzeżonej dla starców,

- Na każdej premierze - odpowiedział Krogh. ~ Musi pan być muzykalny.

Loża królewska była zajęta; król nie przyszedł, był za granicą, grał w tenisa, ale siedział w niej książę następca tronu wraz z małżonką, cierpliwie pozwalając się oglądać sztokholmskiemu towarzystwu, dopóki nie zgaszono świateł; należało to do jego obowiązków. Zainteresowanie widowni podzielone było między tę lożę a fotele na parterze, w których siedział Krogh, między majestat i pieniądze; Anthony odniósł wrażenie, że pieniądze są górą.

- Czy wy się znacie? - zapytał. - To znaczy, czy zna pan następcę tronu?

- Nie - odparł Krogh. - Byłem raz w pałacu na przyjęciu. Znam jego brata.

Stare matrony chciwie śledziły ich rozmowę, pochylały się diademy, błyskały lornetki; mały, siwy, zasuszony jegomość w jaskrawej wstędze przecinającej gors koszuli skłonił się z uśmiechem, starając się podchwycić spojrzenie Krogha. Anthony zerknął na królewską lożę i zauważył, że nawet księżę ich obserwuje. Dziwna rzecz, ale Krogh był prawdopodobnie jedynym obcym, którego księżę znał z widzenia. Kanciasta twarz intelektualisty pochylała się w ich kierunku z cierpliwym zainteresowaniem.

Obydwaj byli zmęczeni, ale zmęczenie Krogha stwarzało wrażenie wyczerpania fizycznego. Jego ubranie źle leżało w ramionach, diamentowe spinki, które wyglądały jak cudze, miały w sobie coś pospolitego; robiło to wrażenie, jakby miał na sobie cudzy garnitur, cudzą pospolitość.

-Posłuchaj, Farrant - szepnął - gdybym usnął, musi mnie pan obudzić przed końcem aktu. Nikt nie może zobaczyć, że śpię. - I dodał: - Wtorek jest zawsze dla mnie bardzo męczącym dniem.

Zgasły światła wielkiego środkowego żyrandola, przez obwód koła szybko przebiegła ciemność, opadając na parter.

Wtorek. Skrzypce na próbę podjęły poszukiwanie czegoś, czego jednak nie udało im się znaleźć, roztrzepotały się i zrezygnowały. Wtorek. Jakaś kobieta pociągnęła nosem. Punkcik światła na końcu pałeczki dyrygenta sfrunął w dół jak świętojański robaczek. *Wtorkowy wieczór*. Obiecałem, pomyślał Anthony, to ją porządnie dotknie, a skrzypce podchwyciły i utrwaliły uczucie żalu nad stratą, nad bólem, jaki się zadaje, nad bólem, o którym się zapomina. Dziewczyna jest głupia, może siedzi tam cały dzień. Melodia kołysze, płacze, jakiś ptak krzyczy ponad szarym wygonem, łyk trucizny, bez-

nadziejna miłość, kończąca wszystko śmierć, jakaś kobieta znów pociąga nosem; ciężko jej to przeżyć, kamienne schody, „nie biorę dziś mleka”. Ta głupia dziewczyna. Nazywa się Da-vidge, a czarny żagiel to śmierć.

Kurtyna podnosi się, długie szaty w kolorze jadowitej zieleni i purpury wznoszą na scenie kurz: starszawa kobieta śpiewa, potrząsając blond warkoczykami; światła rampy odbijają się w cynowej blasze pancerzy; wypito wino i podniesiono żagle. To nie ma znaczenia. Wtorek. Zadzwońnię na pierwszej przerwie. Człowiek czuje się zawsze winny (i niosąc zdradę w sercu, wraca, by stanąć przed królem Markiem), kiedy dziewczyna taka głupia, kiedy zależy jej na jednym mężczyźnie. Swego rodzaju niewinność; powinna się nauczyć malować jak należy - przy makijażu koloru opalenizny jej szminka miała zły odcień; piła wtedy w Góteborgu, jakby nigdy nie próbowała nic mocniejszego od sherry.

Zabarwiona woda w kielichu, aktorka wznosi go do góry, napój z narkotykiem, czarodziejstwo sopranu i cała ta heca o beznadziejną miłość.

Tu nie idzie o miłość; tylko jeśli człowiek zakochuje się tak łatwo w kimś, kogo tak łatwo się lubi... ech, niech to diabli, też mi coś, trzeba je porzucać delikatnie, tak jakby się tego chciało dla siebie (niezapomniany nagły ból spowodowany zniknięciem Annette przygłuszał muzykę, męka wyrażana dźwiękiem zabrzmiała sztucznie w porównaniu z męką prawdziwą, te zabazgrane ołówkiem ściany, mydliny na schodach). Gdyby nie była taka głupia, gdyby się tak z miejsca nia dała nabrać na te wszystkie cholerne głupie historyjki, nic by mnie nie obchodziło. Spojrzał na Krogha.

- Proszę pana. - Potrząsnął go za łokieć i Krogh się obudził. - Robią już tyle hałasu - szepną! Anthony ~ że pewno się zaraz skończy.

Miał rację, potężne wybuchy muzyki wydymały purpurowe fałdy aksamitu. Postawni wikingowie śpiewając podeszli do

rampy; zdrada; wstrząsany szlochami biust sopranu; mój przyjaciel; opadająca kurtyna,

- Czy mógłbym - zapytał Anthony - wymknąć się na chwilę i zadzwonić?

- Nie, nie - sprzeciwił się Krogh - niech pan tego nie robi. Teraz będą podchodzić do mnie i rozmawiać. Będą się dopytywać, czy mi się to podobało.

- Niech pan powie, że był pan zanadto zmęczony, żeby słuchać.

- Ach, gdyby to było takie proste - westchnął Krogh. - Ale rozumie pan. To jest Sztuka. Wielka Sztuka. - Zniżył głos. - Gdzieś o tym czytałem. To jedna z największych opowieści miłosnych świata.

- Ależ skąd - zaprzeczył Anthony. - Myli się pan. Pokręciło się to panu z *Carmen*.

- Jest pan pewny?

- Jasne, że tak. W końcu ja nie spałem. A poza tym znam tę historię. To jest o jednym facecie, który wysyła swego przyjaciela, żeby mu przywiózł żonę. Jest tam taka intryga z napojem, po którego wypiciu ludzie mają mieć na siebie chętkę. Przyjaciel tego faceta i ta dziewczyna wypijają napój i mają się ku sobie. Ale ona i tak musi tam jechać i zostać żoną tamtego. Nie nazwie pan tego chyba wielką miłosną historią. Za bardzo to wymądrzone. Po co pakować do tego całą tę hecę z napojem? Człowiek nie musi niczego wypijać, żeby się zakochać.

- Być może ma pan rację.

- To mogę iść zadzwonić? Krogh stał się nagle podejrzliwy.

- Do prasy? Nie będę pana trzymał ani dnia, jeżeli pracuje pan dla prasy.

- Ależ skąd - zaprzeczył Anthony - to tylko dziewczyna. - Zaczął wyjaśniać: - Umówiliśmy się na randkę i zapomniałem.



- Mówi pan - zdziwił się Krogh - że mieliście gdzieś iść?
- Tak. Poszlibyśmy do kina albo do parku. Czy jest tu gdzieś jakiś park, w którym można by posiedzieć?
- I to by pana bawiło? - zapytał Krogh. Obrócił się w swoim fotelu i zniżył głos. - Zabrałby pan ją do parku i... jak to się mówi?
- Ściszał - odpowiedział Anthony.
- No właśnie. Przypominam sobie znajomych z... och, lata temu... z Chicago. - Dodał tonem radosnego zdumienia: -Murphy, O'Connor, Williamson. Jakie to dziwne. Myślałem, że zupełnie zapomniałem ich nazwiska. Pracowaliśmy tam przy budowie mostu. To było, zanim wynalazłem to ostrze. Myślę, że Halla tam nie było. Aronstein. Jeszcze jedno nazwisko.
- Niech pan popatrzy - powiedział Anthony - podoba się tu panu?
- Wszyscy czekali, aż księżę skończy bić brawo; teraz wypływali już z sali, kobiety w klejnotach, mężczyźni w orderach migających jak sygnały ulicznego ruchu i płynęli na wielkie schody i do foyer.
- Oczywiście - odpowiedział Krogh.
- Ależ tu nudno. Po dniu ciężkiej pracy człowiekowi potrzeba trochę tańca i piosenki. Czegoś lekkiego. Czy tu nie ma żadnych kabaretów?
- Nie wiem - odpowiedział Krogh. I dodał powoli: - Zawsze mogłem ufać siostrze pana. Nigdy nic przed nią nie ukrywałem. Ostatecznie jest pan jej bratem. - Robił wrażenie człowieka, który chce sam siebie doprowadzić do zwierzeń o jakimś głębszym znaczeniu. - Tak. i mnie się to wydaje nudne. A ta rzeźba... ale Kate się ona podoba.
- No - oświadczył Anthony - to wychodzi pan teraz razem ze mną. Pójdziemy napić się gdzieś w spokoju, gdzieś, gdzie będzie czego posłuchać, a potem odstawię pana do domu, do łóżka. - I dodał: - Mogę zadzwonić z restauracji.
- To niemożliwe - powiedział Krogh - ludzie zauważą.

- Nic nie zauważą. Wszyscy wychodzą się przejść.  
- Kiedy zacznie się następny akt, zauważą nasze puste miejsca. Pomyślą, że zachorowałem. Nie wyobraża pan sobie, jaką to może wywołać panikę. I to tuż przed wypuszczeniem nowych akcji. A przed operą będą reporterzy.

- Wobec tego to ja „zachoruję”. A pan odwiezie mnie do domu. Nikt tu nie wie, kim jestem. Pomyślą, że jestem pańskim przyjacielem.

- Ach, Farrant, gdybym tylko mógł - powiedział Krogh. - Ale ich nigdy nie uda się panu zwieść. Jeszcze dwie godziny tej hecy. Potrafi pan udawać?

- Czy ja potrafię udawać? - zastanowił się Anthony. - Myślę, że tak. Szkoda, że mnie pan nie widział w *Prywatnej sekretarce*. Cała szkoła się zaśmiewała, nawet profesorowie. Żona kierownika (nazywaliśmy ją Ciocia-Szopa) podarowała mi pudełko czekoladek. Oczywiście trochę wyszedłem z wprawy, ale i tak jeszcze mogę grać jak się patrzy.

Ale nie, Krogh orzekł, że nic z tego. Jest wdzięczny, ale Farrant nie zdaje sobie sprawy, jak ciasno osacza go rozgłos prasowy. W szczególności taki jeden wytarty człeczyna...

Tłumaczył: - To się ciągnie od lat. - Wyjaśniał: - Oczywiście jest to w pewnym sensie rodzaj daniny... przypuszczam, że bez tego czułbym się głupio. Niech pan idzie zadzwonić i wraca.

Otworzył program (dopiero teraz) i zaczął go czytać, strona po stronie, poczynawszy od wielkich ogłoszeń własnej firmy aż do obsady.

Wzdłuż foyer pozostawiono wolną przestrzeń, po której tam i z powrotem, tam i z powrotem spacerował książę w towarzystwie małżonki, starszawego jegomościa ze spiczastym wąsikiem i staro-młodej damy o długich włosach, nie upu-drowanej twarzy i plamiastej cerze. Za plecami tej czwórki podnosił się szmer szeptów, kiedy zawracali, zrywał się trzepot obojętnych rozmów.

## **9. Made in England**

Na książce telefonicznej w budce ktoś wyrysował serce, dziwaczne, koślawe serce. Telefonista z centrali przez dłuższą chwilę nie mógł zrozumieć, czego Anthony sobie życzy, Anthony powtarzał w kółko: „Hotel York”. W środku znajdował się numer telefonu i zaczęta przez autora rysunku strzała. Tam i z powrotem spacerował po foyer książę, kobiety przyglądały się sukni jego małżonki, a mężczyźni szeptali. Wyrysowane serce wydawało się w pierwszej chwili dość zwyczajne i dość wzruszające, dopóki człowiek nie zauważył w rogu kartki krótkiego francuskiego wierszyka z gatunku tych, jakie umieszcza się w gwiazdkowym wybuchającym cukierku, i wówczas Anthony, czekając ze słuchawą przy uchu, odczytał cały ten rysunek jako zręczny pastisz i wyrafinowany żart.

- Czy zastałem pannę Davidge? Portier w „Yorku” mówił po angielsku.

- Nie jestem pewny. Pójdę sprawdzić. Przepraszam, kto mówi?

I Anthony dosłyszał cichutki stukot jego kroków, kiedy odchodził. Spojrzał na zegarek. Za kwadrans dziesiąta. Pomyślał: - Jak jej na imię? Powiedziała mi - nie mógł sobie jednak przypomnieć. Przyszło mu do głowy, że nie może sobie nawet dobrze przypomnieć jej wyglądu, jedynie jego mankamenty, źle dobrany odcień pomadki, nieopowiedni puder. Przez moment myśl o jej absolutnej anonimowości poruszyła jego wyobraźnię. Poczul się odpowiedzialny, jakby oddano mu pod opiekę jakieś zwierzątko, a on je gdzieś zgubił. „Zawsze przyjdzie na zawołanie”... „Owszem, ale jeżeli zapomniało się imienia?”

- Mówi Anthony - przedstawi! się. Głos był znajomy, znajomo zabrzmiała nawet ta rozbrajająca otwartość, szybkie, lekkie westchnienie podniecenia, nadziei czy może ulgi, dające się słyszeć spoza jeziora, mostu, zatoki, przewodzone beztrąsko po drutach.

- Kto mówi? - zapytał.

-Tu Lucja. - Jakże mógł zapomnieć to absurdalne, pretensjonalne imię? Zwierzyła mu się w kącie jakiegoś domu towarowego, że ma brata imieniem Roderick. Winę ponosił ojciec. On to bowiem był zamiłowanym czytelnikiem mniej znanych klasyków, którzy, jeśli nawet istnieli kiedykolwiek na świecie, to do tej pory legliby już martwi pod pyłem, jaki zgromadził się na półkach z ich książkami w czytelnich publicznych. Po całym Góteborgu taszczył ze sobą ulubioną książkę, nigdy nie rozstawał się z nią na długo. To właśnie ta książka ponosiła odpowiedzialność za Rodericka, były to *Hiszpańskie ballady* Lockharta. Dziewczyna nie pamiętała, jaka książka podsunęła mu pomysł z Lucją. Pan Davidge nad *smorgdsbordem* ofiarował się pożyczyć Anthony'emu Lockharta. „Lockharta Scotta” - wyjaśnił. Posunął się dalej, wyznając, że jest zamiłowanym czytelnikiem poezji. Zniżywszy głos, mówił z czcią o Hornie i Alexandrze Smith. „Lubię taką poezję, w którą mogę wgryźć się zębami - oznajmił. - Nie liryczną, ale epicką”. Lektura jego, jak wtrąciła Lucja z nagłą złościwością, wywołaną tym, że ojciec nie dopuszczał nikogo do głosu, zależy od tego, co uda mu się nabyć u handlarzy używanych książek, ze skrzynek z sześciopensowym towarem. „Proszę spojrzeć, proszę tylko spojrzeć na to” - powiedziała z pogardą, wskazując tego Lockharta, leżącego obok solonych śledzi, w czarnej obdrapanej okładce ze starym numerem wypożyczalni na grzbiecie.

- Lucja - powtórzy! Anthony. - Oczywiście. Wszędzie poznałbym twój głos. Myślałem tylko, że taki sam głos może mieć jeszcze ktoś inny w rodzinie. Nie chciałem wydawać tajemnic sercowych przed twoją matką.

- Zdaje mi się - stwierdzi! naiwnie głosik - że zapomniałeś.

- Skądże - zapewnił ją Anthony. - Tylko otrzymałem właśnie dosyć poważne stanowisko u Krogha. Dopiero teraz mogłem się dorwać do telefonu. Nie miałem chwili wytchnienia.

Nie uwierzyłybyś, gdybym ci powiedział, co robiłem. Posłuchaj no, lubisz tygrysy?

- Tygrysy?

- Takie zabawki. Kupiłem dzisiaj jednego. Już samo to dowodzi, że nie zapominałem o tobie. Czy mogę go przynieść do hotelu?

- Ale kiedy?

- Mogę wpaść koło północy.

- Och, Anthony, tak bym chciała, żebyś przyszedł, ale teraz nic z tego. Kładę się spać.

- Ależ nie ma jeszcze dziesiątej.

- W domu zawsze kładziemy się spać o dziesiątej.

- Więc jutro wieczorem, jeśli uda mi się wyrwać.

Mój Boże, biedne dziecko, pomyślał, spać o dziesiątej. Co za rygor. Chciałbym jej zafundować jakąś porządną zabawę. Dobrze mi się zaczyna ten miesiąc.

I pomyślał z bolesną wdzięcznością: bierze mnie za eleganckiego chłopaka. Wierzy w te moje bajeczki. To naiwne z jej strony, ale miłe.

- Też nic z tego. Matka ma na coś tam bilety.

- To pojutrze wieczorem...

-Jeden z przyjaciół ojca.. Nic z tego, Anthony. W przyszłym tygodniu wyjeżdżamy.

- Zjedz ze mną lunch.

Męczył go ten słaby, lamentujący głosik.

- Z tego też nic nie wyjdzie. Szkoda, że nie możesz zobaczyć programu spisanego przez ojca. Ratusz, muzea, lunch tu, lunch tam. Zwiedzamy miasto, i to jak!

- No, to może zjesz ze mną śniadanie - zaproponował Anthony. I dodał tajemniczo: - Pojedziemy w jedno miejsce. Kiedy będziesz mogła?

- A jutro? - Głosik w słuchawce urwał się podniecony. - Jest tu matka. Nie chcę, żeby się dowiedziała, zaraz by wetknęła swoje trzy grosze. Będziesz o ósmej na Moście Północnym?

- Okay - odpowiedział Anthony. Powiesił słuchawkę. Ósma to cholernie wcześnie. To by znaczyło, że musi wstać

0 wpół do ósmej; o tej godzinie na ogół strasznie zimno - ujrzał nagle przed sobą swój niewesoły pokój: szczoteczka do zębów w szklance, hałaśliwa płatanina rur, okno wychodzące na wąską uliczkę i kubły ze śmieciami, zupełnie zimny kran na ciepłą wodę, fotografie wciąż jeszcze przyklepione do ściany mydłem; zapomniał kupić gwoździki. Dobrze mi się zaczyna miesiąc. Ktoś zapukał w drzwi budki.

Pewnego dnia coś się wreszcie stanie. Doprowadzą mnie do szaleństwa. Nie miał jednak pojęcia, kim są ci „oni”.

Obejrzał się, zobaczył czekającego przed budką Krogha

1 natychmiast bez najmniejszego wysiłku się uśmiechnął, pełen radości życia, pełen przyjaznych uczuć.

- Długo mnie nie było?

- A jednak wyszedłem - powiedział Krogh. I dodał ze zdumieniem, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że to się okazało takie łatwe: - Oni wszyscy wrócili i załatwione. - Zmierzył wzrokiem szerokie puste schody. - I co teraz?

- Fantastycznie - oznajmił Anthony. - Teraz po prostu wychodzimy. Nie będziemy się martwić ani o nasze rzeczy, ani o pański samochód.

Krogh uśmiechnął się.

- To takie proste - powiedział. - Nigdy mi to nie przyszło na myśl. - Ramię w ramię zeszli po pustych schodach w dół. Słysząc było śpiew, dźwięki dochodziły słabsze niż przez telefon. - Wiesz co, Farrant, dla mnie to cała przygoda. Taka przygoda już dawno mi się nie zdarzyła.

- Ale ja jako pana ochrona - oświadczył Anthony - czuję się odpowiedzialny. Nie mam nawet spluwy.

- Nerwy mnie wtedy poniosły. Wcale mi ochrona niepotrzebna.

- Kieliszek czegoś mocniejszego, oto czego panu potrzeba.

- To prawda.

Wsunął rękę pod ramię AnUiony'ego i wyszli na plac, mijając osłupiałych bileterów. Nadbiegł jakiś człowiek z czymś, co przypominało ramę do obrazu zawieszoną na rączce: oślepiło ich białe światło, przez chwilę ujrzeni wszystko wokół wykrzywione w okrutnym blasku, spaczony, uciekający czarno-biały świat.

- Taksówka. Prędko. Złap pan taksówkę -- rozkazał Krogh. Jacyś dwaj mężczyźni podeszli do Krogha i powiedzieli coś

po szwedzku, do krawężnika podjechała taksówka i Krogh przepchnął się do drzwiczek. Na placu z niezwykłą szybkością zebrał się tłum. Przez firankę w taksówce Anthony widział, jak sześć czy siedem osób przebiega most. Jakaś kobieta pod pomnikiem Gustawa krzyknęła: - Niech żyje Krogh! Hura! - i wszyscy zaczęli wiwatować jakoś słabo i niepewnie za odjeżdżającą taksówką.

- Głupcy - skrzywił się Krogh. Oparł się plecami o poduszki w głębi, gdzie nie można go było dojrzeć; na szybach zaślniły światła Grand Hotelu. Szkło zabrzęczało od uderzenia muzyki, która zaraz została w tyle.

- Mamy się tu zatrzymać? - zapytał Anthony.

-Nie, nie - powiedział Krogh - jedźmy, gdzie spokojniej. Jedźmy do Hasselbacken naprzeciwko Tivoli. Dwadzieścia lat tam nie byłem.

- Jest tam na co popatrzeć w tym Tivoli?

- Nigdy nie byłem - odpowiedział Krogh.

- Pójdziemy kiedyś - obiecał Anthony.

Skąpane w księżycowym świetle kaminne ozdoby Północnego Muzeum umykały pod nimi wstecz, kiedy wspinali się nad jezioro. Muzyka z Tivoli wśliznęła się w zimne powietrze, które zatrzymało ją i otoczyło, tak jak bryła lodu potrafi otoczyć i uchronić dwa ludzkie ciała przed rozkładem: zamrożony bunt, zlodowaciały żywioł.

- Co mógłbym robić w Tivoli? - mówił Krogh. - Pan jest niepoczytalny, Farrant. Nie jestem z panem bezpieczny. Żeby

tak wyjść z opery. Jutro znajdzie się to we wszystkich gazetach. Słyszał pan, co do mnie mówili. Chcieli dowiedzieć się, czy nie podobało mi się wystawienie, czy się źle poczułem, czy otrzymałem jakąś złą wiadomość.

- I teraz ktoś za nami jedzie - powiedział Anthony, odwracając się i patrząc, jak szeroki żółty pędzel światła omiata skrzyżowanie przy Skansen. - W restauracji to na pewno nas nakryją. Niech mu pan powie, żeby jechał do Tivoli. To jedyne wyjście, zgubimy im się w tłumie. - Sam zastukał w szybę. - Tivoli - polecił - Tivoli.

- Nie, nie - zaprotestował Krogh - tego nie możemy zrobić. Co na to gazety? Wyjść z opery po to, żeby jechać do Tivoli. Pomyśla, że oszalałem. Co stanie się z rynkiem?

- Do diabła z rynkiem - stwierdził Anthony.

- Do diabła z rynkiem - powtórzy! Krogh ze zdziwieniem, roześmiał się niepewnie, z poczuciem winy. - Co z pana za desperat, nieodpowiedzialny człowiek - powtórzył. - A ta szrama... czy wtedy też wysyłał pan rynek do diabła?

- Ach, ta szrama - zaczął Anthony. - To długa historia. Czy przypomina pan sobie „Neptuna”, który parę lat temu zatonął na Oceanie Indyjskim? Na pewno czytał pan o tym w tych swoich gazetach. Powstała panika, pasażerowie próbowali szturmem zdobyć łódzie ratunkowe, a ja pomagałem pierwszemu oficerowi powstrzymać ich i ktoś dziabnął mnie nożem.

Krogh roześmiał się. Anthony zapytał ze zdumieniem i niedowierzaniem:

- Pan mi nie wierzy?

- W ani jedno słowo - przyznał Krogh. Taksówka zatrzymała się, ale Anthony siedział na miejscu i wytrzeszczał oczy.

- Dlaczego mi pan nie uwierzył? Jaki błąd popełniłem? - Po cichu zaczął powtarzać całą historię: - „Neptun”...panika... szturm na łódzie.

- Niech pan wysiada - powiedział Krogh. - Oto i ta druga taksówka. - Kiedy znaleźli się za barierką biletera, położył



Anthony'emu rękę na ramieniu i zatrzyma! go. - Chcę zobaczyć, kto to.

Druga taksówka podjechała tuż za pierwszą. Wsiadł z niej jakiś mężczyzna w cienkim, letnim, szarym garniturze; płacąc kierowcy, rozglądał się na wszystkie strony - każdy jego ruch był powolny i bojaźliwy; chociaż skórę na twarzy miał cienką, zwiślała mu ona workowato na podbródku i pod oczami.

- To Pihlstróm.

Taksówka jednak nie odjeżdżała. Czyjeś nogi w obcisłych czarnych spodniach po omacku szukały stopnia, spuszczać się na ziemię jak coś długiego, cienkiego i nie powiązanego, jak jakiś skórzany kombinezon.

- Jest ich dwóch - wykrzyknął Krogh. - Nie przypuszczałem, że Pihlstróm wychodzi na łowy dwójkami. Och, to przecież... jakie im się to musiało wydać ważne... - ukazał się tu-żurek, czarny, cienki jak sznurowadło krawat zawiązany w muszkę pod starczym podbródkiem, siwa najeżona szczecina, wyniosła, ponura twarz - ...to przecież profesor Hammarsten...- czarny miękki kapelusz, binokle w stalowej oprawie, ziemista cera.

- Prędko - rzekł Krogh. - Zanim nas zobaczą. - Poprowadził. Ujrzał, jak pośród zdumionych twarzy otwiera się i zaraz na powrót zamyka przejście; przypomniał sobie, że jest we fraku i bez kapelusza, ale ogarnęła go dziwna lekkomyślność; pomyślał o Hallu z przyprawionym sztucznym nosem i o przewalającym się wokół nich rozbawionym tłumie, i o pytaniu: „A co będzie z prawem tarcia?”

Nagle zdyszany, zatrzymując się za jakąś strzelnicą, powiedział:

- Co by poczciwy Hall o tym pomyślał? - Poczciwy, wierny Hall. Halla mógłby posądzić o wszystko, ale ten nagły brak opanowania, ten śmiech - to nie dla niego. Takie rzeczy zachowuje się dla kogoś, kto nie potrafi nawet przekonująco

skłamać. Powiedział łagodnie, łapiąc oddech między każdym słowem: - To nie było na Oceanie Indyjskim.

- Cholera - zaklął Anthony. Uśmiechał się niepewnie, mrugał w świetle reflektorów. - Nigdy jeszcze nie próbowałem tej historii. Na ogół mówię, że to od bomby- Dodał: - Opowiem panu. Tylko Kate wie, jak było naprawdę. Oprawiałem królika i nóż mi odskoczył.

- Pihlstróm - powiedział Krogh. Ostrożnie zza rogu głównej alei wynurzył się mężczyzna w szarym garniturze, stąpając miękko jak kot okrążającym manewrem podchodzący do pojemnika na śmieci. Krogh oznajmił ze znużeniem: - Polowanie skończone. - I z takimi samymi wyrzutami sumienia, jakie mógłby czuć, gdyby zdradzał zaufanie kogoś bliskiego sprzedając mu akcje ze świadomością, że są bez wartości nie tylko na dłuższą metę, ale bezużyteczne już dzisiaj, w tej samej chwili, dodał: - Postąpiliśmy niemądrze.

- Niech pan zostawi go mnie - powiedział Anthony. Podeszedł do Pihlstróma, wyciągnął rękę, obrócił go dokoła

i popchnął za róg strzelnicy. Pihlstróm wydał z siebie szereg szybkich, szczekliwych okrzyków:

- Hammarsten! Hammarsten!

Profesor Hammarsten stał w grupce dwóch czy trzech innych mężczyzn przed kramem z loteryjką otoczoną małymi miedzianymi uchwytami.

- Hammarsten.

Wyglądało na to, że wynikł jakiś spór w związku z monetą, jakiej użył Hammarsten.

- Hammarsten.

Profesor obejrzał się prędko i spadły mu binokle.

- Pihlstróm.

Nogą macał ślepo po żwirze, zakreślając wokół okularów krzywe koło.

- Pihlstróm! - wołał błagalnie. Anthony popędził Pihlstróma.

- Hammarsten!

Profesor Hammartsen już nachylał się po binokle, ale wyprostował się nagle jak sprężyna z okrzykiem bólu, łapiąc się ręką za plecy.

- Pihlstróm!

Tamci trzej zaczęli mu coś wyjaśniać o monecie, którą trzymał człowiek obsługujący loteryjkę. Anthony puścił Pihl-stróma i pchnął go w ramiona profesora.

- Hammarsten!

Obejmowali się przez chwilę, po czym Pihlstróm nachylił się i podniósł binokle profesora; Anthony i Krogh przyglądali się temu z oddalenia. Potem tamci rozdzielili się, jeden poszedł w jedną stronę, drugi w drugą, i zniknęli im z oczu. Nie śpieszyli się; w ich ruchach nie było entuzjazmu.

- Był pan kiedyś wykidajłą? - zapytał Krogh. Anthony westchnął.

- Nie - odpowiedział. - Po tej wyspie z „Neptunem” nie mam nastroju do żadnych bujd. Przysięgłbym, że to był Ocean Indyjski.

- Bo był - odparł Krogh.

- Cholera! - zaklął Anthony. - Powiada pan, że się w niczym nie sypnąłem? Niech pan mnie nigdy nie namawia na pokera. Musiałaby to być jakaś inna gra, coś, przy czym trzeba po prostu uczciwego szczęścia i nie ma miejsca na blef. Ależ z pana pokerzysta!

- Czy pan naprawdę potrafi strzelać?

- Czy potrafię strzelać? - powtórzył Anthony. Wsunął rękę pod ramię Krogh a i pociągnął go w jedną, a potem w drugą uliczkę. To tu, to tam zatrzymywali się przy strzelnicach, ale Anthony za każdym razem twierdził: „to za łatwe”. W końcu znalazł to, czego szukał. Premie były numerowane. - Chciałby pan papierośnicę? - zapytał.

- Mam tę. - Krogh wyjął z kieszeni płaskie, drewniane, inkrustowane pudełeczko. Było wykonane według projektu te-

go samego artysty, co rzeźba fontanny i popielniczki; nosiło monogram E.K. Był z niego dumny. Oświadczył: - Drugiego takiego nie ma na świecie.

Pudełeczko leżało na jego dłoni, lekkie niemal jak puszek do pudru.

- Owszem, niebrzydkie - zgodził się Anthony - ale potrzeba panu czegoś na większe okazje, czegoś ze świńskiej skóry. O, czegoś takiego. Wygram ją dla pana. - A potem dodał: -Napijemy się.

Nie znał ani jednego szwedzkiego słowa, ale to on komenderował. Wypili po piwie.

- Słabe - orzekł Anthony. - Przyjechałby pan do Anglii, to bym panu pokazał piwo. Mógłbym sobie teraz wysuszyć butelkę Youngera, może nie? Albo ze dwie ekstra Stone'a. Dwie by wystarczyły.

Nie pozwalał Kroghowi wyzwolić się spod uroku swojej swobody, obycia w dziedzinie tych paru spraw, w których Krogh orientował się najslabiej. Krogh patrzył na niego tak, jak kobieta w średnim wieku, wychowana w innych rygorach, patrzyłaby na młodą dziewczynę, która rozporządza odpowiednią wiedzą w zakresie kosmetyków, najlepszych składników koktajlów i wie, do jakiego doktora się udać, jeżeli się zaczęło coś, czego nie ma się zamiaru doprowadzać do końca. Trochę mu zazdrościł, trochę go to wzruszało, trochę bawiło, ale głównie dawało mu odczuć, że czas, który dla niego przeminął tak szybko, na pewno długo jeszcze potrwa dla tamtego, który wie tak wiele, będąc tak bardzo młodym.

- A gdybyśmy tak sobie poskakali?

- Nie rozumiem.

- No. potańczyli.

Z głośnika wydobywało się coś, co zapewne było ostatnim przebojem, krąg lamp łukowych zalewał światłem drewnianą platformę do tańca: drobne, jasne twarze poruszały się do taktu skomplikowanej muzyki z napięciem i uwagą, dziewczę-

ta powoli dreptały na delikatnych, drobnych stopach, uroczyście, przyjmując jak sakrament trzykrotne zetknięcie z partnerem w trzytaktowym pas, z myślami zajętymi pracą, biurem, suknią, na którą je nie stać... „...w ciszy samotnego mego domu...” minionym latem... „noc i dzień...” zimową modą.

- Nie. Ja nie będę tańczył. Ale pan może tańczyć. Popatrzę.

Na próżno dodaje sobie odwagi: jestem Kroghiem, na próżno wspomina swoje inicjały wypisywane elektrycznym światłem, fabryki nie ustające w pracy dzień i noc - jedna zmiana wychodzi o siódmej, następna o trzeciej rano; boi się poprosić do tańca którąś z tych otaczających parkiet dziewcząt. Patrzy, jak Anthony obchodzi wkoło platformę, zerkając na nie tu i tam; nie zna ani słowa po szwedzku, ale nie czuje się tu bardziej obco niż Krogh, Szwed urodzony w chacie nad Vät-ten, który arytmetyki nauczył się w wiejskiej szkółce. Może za wiele zapomniałem, pomyślał patrząc, jak Anthony bierze za rękę jakąś dziewczynę i wprowadza ją na parkiet; kiedy byłem młody...

Ale nie oszuka siebie, w atmosferze Tivoli jest coś prawdziwego, nie sposób być hipokrytą tam, gdzie wszyscy znaleźli się dla prostych celów i gdzie dla każdego jedyną nie skrywaną pobudką jest przyjemność. Nawet kiedy byłem młody, było tak samo, pomyślał. W Sztokholmie opowiadano sobie całe historie o jego latach szkolnych, o tym, jak wcześniej stał się mistrzem w prowadzeniu interesów i geniuszem-wynalazcą; jak to skonstruował peryskop, za pomocą którego można było wysledzić przez okno, czy za rogiem budynku zbliża się profesor, jak to sprzedawał znaczki za owoce, które później przetrzymywał w słomie aż do pełni lata, kiedy jego koledzy skłonni byli oddać całe kolekcje znaczków za jeden kęs czegoś soczystego. Znał te legendy, wiedział, że są nieprawdziwe, pamiętał nieciekawą prawdę; żmudną pracowitość, kolejno zdobywane świadectwa. Aż do tego wiosennego dnia w Chica-

go, kiedy to zaświta! mu pomysł nowego ostrza, nie zaczął jeszcze żyć naprawdę. Do dziś dnia pamiętał łuk, jaki wykreślało na niebie ramię tamtej wielkiej pogłębiarki, widać ją było z okna szopy nadzorca; wychylił się i krzyknął do operatora: „Pięć stóp bardziej w lewo!”. Długa ciężka zima, charakterystyczna dla Ameryki Północnej, już się skończyła, roztopiony asfalt, dym, zmoczony deszczem metal pachniał wiosną, bitą drogę powolnie, ale uroczyście rozkruszała trawa. Ale on nie miał w sobie miłości do natury, ten wiosenny dzień pamiętał nie dlatego, że był piękniejszy od innych, ale dlatego, że (spoglądając na przypięte do rajzbretu plany mostu, podczas gdy pogłębiarka kołysała się, szczękała i przecinała jasnyniebieskie powietrze) przyszło mu do głowy: Gdybym tu umieścił nóż, a tu transporter ślizgowy i zwalniacz trybu, czy tarcie byłoby za duże? Nigdy nie zdawał sobie sprawy, że poważnie myśli o tych niewielkich, absiirdalnie tanich, absurdalnie potrzebnych przedmiotach, które obecnie słynęły jako wyroby Krogha. Kiedyś, kiedy był jeszcze chłopcem, jego ojciec powiedział, że Ten-to-a-ten wart jest na pewno milion; przez tydzień pracował w fabryce w Nykoping, obserwował działanie krajarki starego typu i wymówił pracę, ponieważ w tak staroświeckiej firmie nie widział przyszłości nawet dla kogoś w najwyższym stopniu upartego i pilnego. I wtedy nagle, na pozór bez wysiłku, przyszedł mu do głowy pomysł tego nowego ostrza i wbił mu w pamięć na zawsze ten wiosenny dzień, zapach krzewów, asfaltu i pogłębiarkę zanurzającą się i rozkołysaną.

Coś w tej swobodzie, jaką czuł przebywając z Anthonym, przypominało mu tamten okres życia. To nie przypadek, że przypominał sobie nazwiska Murphy'ego, O'Connora, Wil-liamsona i Aronsteina (O'Connor zginął w Panamie, przywalony czterdziestoma tonami ziemi, kiedy zepsuła się pogłębiarka; Aronstein przerzucił się do nafty; Williamson i Murphy prawdopodobnie poległi we Francji). Krogh nigdy dobrze

ich nie poznał, choć przez osiemnaście miesięcy pracowali razem, nie był jednak wobec nich tak nieśmiały jak wobec Anderssona, tak jak wobec tych opalonych, tańczących dostojnie ekspedientek. Rozmyślnie podjął wysiłek tego powrotu, tego zdzierania z siebie lat i nagromadzonej przez nie nieludzkości, tak jak się zdiera kartki z zapomnianego kalendarza, zerkając na motta, wierszyki i cięte powiedzonka nieżyjących stylistów, od czasu do czasu zatrzymując się nad jakimś nieoczekiwanie żywym zdaniem: 1912 - wszedł do spółki, 1915 - spłacił wspólnika, 1920 - początek walki o światowy monopol, 1927 - pomyślny rok zakupu udziałów niemieckich, pożyczka dla rządu francuskiego i ugruntowanie pozycji we Włoszech; ale to przywiodło go do terażniejszości - krótkoterminowe pożyczki, groźba strajku, głupi glos Laurina w słuchawce, doradzający ostrożność.

Pomyślał; - Co ja tu robię? To absurd. Drewniane deski lekko trzeszczą pod stopami tańczących, zdyscyplinowany tłum przesuwają się w dwóch kierunkach przed strzelnicami, budami wrózek, diabelskim młynem, kolejką; na obu krańcach alei niespodziewane chłodne dziedzińce i kolorowe fontanny szemrzące pomiędzy czarnym niebem i białym asfaltem; ławki nad jeziorem, na ciemnej, wygładzonej wodzie odpływa latarnia promu jak tylne światełko roweru; wszystko to nie mniej szwedzkie niż srebrne brzoźowe lasy wokół Vatten, jaskrawo pomalowana drewniana chatka, kaczka zataczająca się w locie, matka czekająca na maleńkiej przystani; obrazy te jednak straciły już dla niego znaczenie, był jak człowiek bez paszportu, bez narodowości; jak człowiek, który zna tylko esperanto.

Stolik zachwiał się i wyprostował, a kiedy Krogh zauważył, co się dzieje, zobaczył wysoką, wynędzniałą postać Hammar-stena, przystawiającego sobie krzesło.

- Witam pana, panie dyrektorze. - Hammarsten potarł palcem białą szczecinę na policzku i nachylając się poufałej,

zwierzy! się Kroghowi: - Odesłałem Pihlstróma do domu. -I dodał: - Zorientowałem się od razu, że nie życzyłby pan sobie, by ktoś taki jak Pihlstrom zawracał panu głowę. Powiedziałem mu, że widziałem, jak odjeżdża pan taksówką.

- I uwierzył panu?

- Nno... ująłem to subtelniej. Poprosiłem, żeby mi pożyczył na taksówkę, bym mógł za panem jechać.

- Bardzo sprytnie, panie profesorze, ale doprawdy...

- Oczywiście wsiadł do taksówki i odjechał. - Stary siorb-nął, jakby pił gorącą herbatę. I dodał z wielkim zadowoleniem: -W tej chwili jest już na pewno po drugiej stronie jeziora.

- Jak tam pańskie kursy językowe, panie profesorze?

- Nie najlepiej, panie dyrektorze, nie najlepiej. Trzeba zarabiać na życie. A to zmusza człowieka do obcowania z dziwnymi ludźmi. Pihlstrom, ten Anglik Minty, Beyer... zna pan Beyera?

- Nie miałem zaszczytu - odpowiedział Krogh.

- Nie można wierzyć Beyerowi - oświadczył Hammarsten. - To on ponosi odpowiedzialność za ten przedwczorajszy artykuł o pańskiej karierze.

- Artykuł był pochlebny.

- Ale jaki niedokładny! To tylko my, starsi, dążymy do prawdy wśród pokus tego...przynaję, panie dyrektorze...niezbyt *distingué* zawodu. - I z nieoczekiwaną nienawiścią dodał zdławionym szeptem, jakby mówił sam do siebie: Rynsztokowe pismaki.

- Artykuł wydał mi się w granicach rozsądku, prawdziwy i dokładny.

-Ależ, panie dyrektorze, poda! rok 1911 jako datę pańskiego przystąpienia do spółki. Przyzna pan chyba, że 1912 byłby, powiedzmy, bliższy prawdy.

-Tak, to był 1912.

- Wiedziałem. Wiedziałem. Rok za rokiem prześledziłem karierę największego Szweda...nie szczędząc pracy swego



pracowitego, choć skromnego pióra. - Stary byt straszliwie poważny. Okulary w stalowej oprawce zasnuła mgielka. Z sekundy na sekundę coraz trudniej dawało się rozróżniać jego słowa. - Mam przed oczyma ten dzień, kiedy obok Gustawa Adolfa...

- Napije się pan piwa, panie profesorze? - zapytał Krogh ze znużeniem i zniecierpliwieniem, których nie próbował ukryć. Pomyślał o wszystkich tych wywiadach, których zmuszony był udzielić temu podupadłemu nauczycielowi języków, nie z litości, lecz z konieczności, jako że Hammarsten reprezentował najszacowniejszy ze szwedzkich dzienników i miał pewne podstawy, żeby się chełpić: starał się przynajmniej być dokładny. Kiedy Hammarsten nie odpowiadał, powtórzył pytanie głośniejszym głosem: - Napije się pan piwa?

- Dziękuję, panie dyrektorze - odparł posepnie Hammarsten, jakby ocknął się z jakiegoś dramatycznego snu. Zapadł w milczenie, obejmując szklankę dłonią i z całkowitym brakiem zainteresowania przyglądał się tańczącym.

- Chciał pan ze mną porozmawiać? - zapytał Krogh.

- Myślałem tylko - odrzekł stary - że może będzie pan chciał dać jakieś wyjaśnienie. Ludzie zauważą, że wyszedł pan z opery po pierwszym akcie. Zaczną się różne domysły. -Urwał i dodał, patrząc prosto w kufel z piwem, który uniósł na wysokość brody: - Może mi pan wierzyć, panie dyrektorze. Ja wiem, co pan o nas myśli. Prześladujemy pana, nie może się pan nam wymknąć. - Binokle zsunęły mu się trochę na nos. -Ale proszę pamiętać, że w ten sposób zarabiamy na życie.

- Nie mam nic do wyjaśnienia - odpowiedział Krogh. -Czyż nie mogę czasem zrobić tego, na co mam ochotę, nie tłumacząc się później?

- To absolutnie niemożliwe - oświadczył profesor.

- Jakże trzeba zazdrościć wam, innym ludziom.

- Dla nas to równie niemożliwe - dodał Hammarsten -nam jednak nie przynosi to w zamian żadnych korzyści. - Po-

chylił twarz nad kuflem z piwem, a gdy ją podniósł, na nosie zostało mu trochę białej piany. Zapodział gdzieś chusteczkę do nosa. Posłużył się więc skrajem rękawa, rumieniąc się przy tym i rozglądając, czy nikt nie widzi. - Ja na przykład zawsze marzyłem o tym... wyśmiej mnie pan, panie dyrektorze... żeby trochę popróbować, tylko trochę, i to w najniewin-niejszym sensie... popróbować szczęścia w teatrze. Chciałbym... ale cóż to za niewystarczające słowo „chciał”... chciałbym wystawić w Sztokholmie.... - zawahał się.

- Co?

- Wielkiego *Peryklesa*.

- **Cóż** to takiego?

- *Perykles* Szekspira. W moim własnym przekładzie.

- Czy to dobra sztuka?

- Och, panie dyrektorze, to wielka, śmiała sztuka. Sztuka, która poprzedziła *Profesję pani Warren*. Przez całe lata męczyłem swoich uczniów, ale żeby zrozumieć prawdziwego ducha... To najlepsza, najbardziej poetycka ze sztuk Szekspira... Oczywiście kryją się w niej pewne zawilości. Na przykład Gower. Kto to jest Gower?

- Musi pan zapytać mojego przyjaciela, Anglika. Oto on. Kto to jest Gower, Farrant?

- Pozwoli pan, panie dyrektorze, że ta dziewczyna się do nas przysiadzie? Chce jej się pić, to widać, ale nie rozumie ani słowa z tego, co do niej mówię.

Ciemna opalenizna pod popielatoblond włosami wyglądała pięknie, nad górną wargą dziewczyny perliło się kilka kropelek potu; przyglądała im się w sposób mało inteligentny; usiadła i napiła się, nie mówiąc ani słowa; pragnęła, by ją ignorowano. Krogh zupełnie już zapomniał, że istnieją takie kobiety. Powiedział:

- Wiesz, Farrant, profesor Hammarsten zna angielski.

- To w *Peryklesie* Szekspira, starzec Gower. Kto to jest starzec Gower, panie Fecund?

**10. Made in England 145**

- Obawiam się, że nigdy tej sztuki nie czytałem, panie profesorze.  
- No nie. Ale przecież musiał pan ją widywać na scenach Londynu. Starzec Gower. „Z prochów powstał stary Gower...”

- Widziałem *Hamleta* i *Makbeta*.

- Nie, nie, to mnie nie interesuje. Największa sztuka to *Pe-rykles*. Stworzyłem na ten temat całą teorię. „Z prochów” to znaczy nie ze spalonego węgla, lecz z drzewa. Z jesionu. Jesion, dąb i krzew ciernisty to drzewa święte. „Stary Gower” to druid brytyjski, ktoś na podobieństwo Matuzalema, kapłan i król. Tak to właśnie przetłumaczyłem. „From ashes ancient Gower is come...” Dosłownie znaczy to: „Kapłan druidów, Gower, wyszedł spośród świętych jesionów...” Kapłan, a nie stary Gower. Zgadza się pan?

- Brzmi to dobrze.

Dziewczyna prawdopodobnie zauważyła, że Krogha nie interesuje ta rozmowa. Bez słowa ujęła jego prawą rękę i położyła ją na stole przed sobą dłonią do góry; nie było w tym kokieterii, po prostu „robiła, co do niej należało”. Mężczyźni lubią, kiedy się ich trzyma za rękę i kiedy się ją ogląda, daje im to poczucie ważności; lubią słuchać, jak dziewczyna mówi: „wybiera się pan w daleką podróż”, lubią to zetknięcie się dłoni, równie legalne jak w tańcu, lubią być ostrzegani: „Niech się pan strzeże dwóch kobiet, brunetki i blondynki”, czują się wtedy niezwykle ważni.

- Oczywiście postawi mi pan jeden zarzut. To się dzieje w Tyrze, Antiochii, w Efezie. Zapyta pan, skąd tam brytyjski druid?

- Rzeczywiście. Wygląda to dziwnie.

- Ale na taki zarzut odpowiem następująco: Szekspir to pański narodowy poeta. Żył on w dawnych dobrych czasach poczciwej królowej Elżbietki, w okresie ekspansji angielskiej.

- Panu się bardzo dobrze powodzi - powiedziała dziewczyna. - Powinien pan trzymać się pracy, którą pan ma.

- Skąd pani jest? - zapyta! Krogh, zdziwiony, że ona nie zna jego twarzy.

- Z Lund - odparta dziewczyna i przesunęła palcem po linii życia.

- Jest pan bardzo zdrowy, długie życie przed panem.

Wbrew woli słucha! z zadowoleniem.

- Nic go nie przecina?

- Nic. Dodała:

- Nie zaprzyjaźnia się pan łatwo. Niech się pan strzeże kobiety i mężczyzny. Jest pan bardzo wspaniałomyślny.

Profesor ciągnął! dalej:

- Powiniennem ubrać Gowera w symboliczny kostium wyrażający ekspansję imperialistyczną albo narodową.

- Nie zależy panu zbyt na dziewczynach. Najbardziej lubi pan pracę.

- Co to za praca?

- Jakaś praca umysłowa. - Wypuściła jego rękę i natychmiast przestała się nim interesować; piła piwo i gapiła się wielkimi, bladymi i nieruchomymi oczami na parkiet. Za chwilę podszedł jakiś młody człowiek, uklonił się i dziewczyna odeszła od stolika, by z nim zatańczyć. Była zupełnie obojętna, bardzo ładna i absolutnie głupia; w sercu Krogha zostawiła po sobie uczucie prostoty i szczęścia, które zniknęło niemal natychmiast, kiedy je sobie uświadomił. Przypominało ono niespodziewanie piękny zapach na jakiejś nędznej ulicy, woń mięty pośród czynszowych kamienic - człowiek zbacza z drogi, ostrożnie brnie chodnikiem wymijając śmieci, obierki kartoflane i ścieki kanalizacyjne (ona mnie nie zna...długie życie...wspaniałomyślny), ale zapach już się ulotnił. Muzyka urwała się, dziewczyna już przy innym stoliku obracała dłońią do góry rękę tamtego chłopca.

- No więc, kiedy ma pan zamiar wystawić tę swoją sztukę, panie profesorze?

- Nigdy. To są tylko czcze pomysły, mrzonki... nie mam pieniędzy, panie Fecund.

- Farrant.

- Panie Ferrett. Nie mam żadnych kontaktów z teatrem, dyrektorzy nie spojrzą nawet na moje dzieło, jestem tylko nauczycielem, który żywi uczucie dla Williama Szekspira.

(Długie życie...wspaniałomyślny..).

- Daję panu dwadzieścia pięć tysięcy koron, profesorze. - Staruszek zaniemówił, odwrócił się od Anthony'ego i z półotwartymi ustami patrzył na Krogha; wyglądało na to, że jest zbyt wstrząśnięty, żeby wydobyć z siebie głos. A jednak, myślał Krogh, ta scena od początku istniała w jego wyobraźni; od lat pragnął, by jakiś bogaty człowiek wysłuchał jego myśli o sztuce... jakże jej tam? nie przypominam sobie... i dał się przekonać, i ofiarował mu te pieniądze. Stary błazen do tego właśnie zmierzał, a teraz nie może uwierzyć i boi się, że żartuję. - Proszę porozumieć się jutro telefonicznie z moją sekretarką - dodał.

Profesor Hammarsten przemówił wreszcie:

- Brak mi słów... Nie wiem... - Trochę piany wciąż tkwiło mu na nosie, usiłował ją strząsnąć. Zapytał: - *Perykles?* W moim własnym przekładzie?

- Oczywiście.

- Ale ten przekład - wyrzucił z siebie naraz profesor Hammarsten. - Nie wiem, może to zły przekład. Nigdy nikomu go nie pokazywałem - ciągnął: - A jeżeli nikt nie zrozumie. Druid Gower. - I dodał: - Przez lata całe... - Najwidoczniej chciał wyjaśnić, że nie może nagle dopłynąć do celu dalekiej podróży i nie czuć lęku, jak się zostanie przyjętym. Przyjaciele się postarzeni, mogą człowieka nawet nie poznać. Biała szczecina na brodzie, okulary w stalowej oprawie mówiły wystarczająco jasno, jak długa była ta podróż. - Napisałem to dwadzieścia lat temu.

- Niech pan sobie wybierze teatr i obsadę - powiedział

Krogh. Czul się już znudzony własną wielkodusznością. Tak często robił podobne rzeczy przedtem. Ludzie oczekiwali od niego takich gestów. Sto koron za sztuczny kwiat na nowy pawilon szpitala, renta przewyższająca dotychczasowe zarobki dla pierwszego robotnika, który straci! rękę przy obsłudze nowej udoskonalonej przecinarki. Prasa donosiła o tych uczynkach, robiło to dobre wrażenie. Im bardziej ekscentryczny dar, tym większa popularność, a Istnieją okoliczności, w których taka popularność przydaje się: przed wypuszczeniem nowych akcji, w takim okresie jak obecnie, okresie krótkoterminowych pożyczek, wyprzedaży w Amsterdamie, pakowania ciężkich pieniędzy w bezwartościową spóikę. Dziwne, że skorzystał na tym ten stary i nędzny Hammarsten, że to on miał się wmieszać w niepokoje La urina i Halla. Poczł głęboką pogardę dla tego starego nauczyciela języków i póietatowego dziennikarza. Stary siedział wstrząśnięty uśmiechem losu, nie wierząc sam sobie, upuścił okulary, robił wrażenie, że doznał jakiejś ostatecznej klęski.

- Proszę wybaczyć, panie dyrektorze - dał się słyszeć nagle chrapliwy głos i pomiędzy sadzawką a parkietem, z czapką w ręku, szary, kościsty, z obwisłym podbródkiem pojawił się Pihlstróm. Jasne światło wielkich reflektorów wybielało mu rzadkie, nieokreślonego koloru włosy. Zanim Anthony i Krogh zdążyli się poruszyć, profesor już zerwał się na nogi. Dygota! z oburzenia, binokle mu się trzęsły, zaplótł ręce z tyłu pod swoim czarnym tużurkiem.

- Pihlstróm.

- Hammarsten! - wykrzyknął Pihlstróm. Ostrożnie przysunął się bliżej. - Ty stary łgarzu - dorzucił. - Powinieneś się wstydzić.

- Nie chcemy mieć z panem do czynienia, Pihlstróm - oburza! się profesor - nie pozwolę niepokoić dyrektora Krogha. Jeśli chce pan wiedzieć, dyrektor Krogh przyszedł tu po to, żeby przedyskutować ze mną pewien projekcik, mały interes,

w którym obaj nawzajem potrzebujemy swojej pomocy. Pana to nie dotyczy, Pihlström, ani pańskiej gazety.

- Ależ Hammarsten...

- Już cię tu nie ma - zakończy! profesor, odwracając się z dawno nie używaną godnością. Ręka mu drżała w kieszeni wśród pobrzękujących drobniaków. - Panowie - powiedzia! -wypijecie ze mną butelkę wina?

## V

Wysokimi schodami w górę na trzecie piętro, krok za krokiem wydobywając się z czyścca (na drugim brzegu pozostały publiczne ubikacje, a w nich sprośne dowcipy, zazdrość i niechęć redaktora, nieufność, pisma dla nudystów), do Raju (bloki mieszkalne, znajoma flanelka do twarzy, twarde, ascetyczne łóżko) wspinam się na powrót, bez szwanku, ja, Minty.

Znał liczbę stopni, było ich pięćdziesiąt sześć: czternaście na pierwsze piętro, na którym w dwupokojowym mieszkaniu z telefonem i elektryczną kuchenką mieszkali Ekmanowie; Ekman był śmieciarzem, ale zawsze na wszystko miał pieniądze. Często wracał do domu równie późno jak Minty; bywał wtedy trochę pijany i przez całą drogę w górę, przez tych czternaście stopni, żegnał się głośno z przyjacielem, a Frau Ekman na dźwięk jego głosu wychodziła z mieszkania i też wołała „do widzenia”. Na pozór nigdy nie miała mu za złe, że sobie podpił: czasami sama bywała zarumieniona, w drzwiach kłębił się tłum przyjaciół żegnających gospodarzy, a Minty'ego gonił aż na drugie piętro palący zapach tanich cygar.

Dwadzieścia osiem stopni prowadziło do mieszkania nie zajętego. Było ono największe w całym budynku i choć wynajęte i umeblowane, zawsze stało pustkami. Lokatorzy wyjechali za granicę, nie wracali przez całe dwa minione lata, ale czynsz płacili. Minty nigdy ich nie widział; jego ciekawość że-



rowała na podeście, zamęczał się własną niewiedzą, ale bał się jej pozbyć, rozwiązać ją bezpośrednimi pytaniami; była to swego rodzaju pasja. Raz, kiedy właścicielka domu otworzyła mieszkanie, żeby w nim posprzątać, zajrzał do hallu i zobaczył staloryt przedstawiający Gustawa Adolfa i stojak na parasole z jedną zniszczoną parasolką. W drodze na górę zostawił teraz za sobą to mieszkanie i Ekmanowie odплыnęli jeszcze niżej, czternaście stopni w dół ściany klatki schodowej. Na trzecim piętrze mieszkała Włoszka udzielająca lekcji; przypominała mu jego kolegę, Hammarstena, ponieważ oboje uczyli w tej samej szkole; pośpieszył w górę, dalsze czternaście stopni do czwartego piętra, do bezpieczeństwa, do domu - do brązowego wełnianego szlafroka wiszącego na drzwiach, do kakao i dietetycznych biskwitów w szafce, do małej figurki Madonny nad kominkiem i pająka pod szklanką do mycia zębów.

Był zmęczony; jeszcze wcześniej; nie miał jednak nic do roboty, tylko iść spać.

Zapalił światło i zaraz podszedł do okna, żeby je zamknąć; bał się ciem. Z dolnych mieszkań padały wąskie paski światła pomiędzy nim a ulicą - wszyscy byli w domu; Ekmanowie włączyli radio. Rachunek miesięczny leżał na umywalce obok pająka. Minty ukląkł i przeszukał szafkę; wlał do garnuszka trochę skondensowanego mleka i dodał dwie łyżeczki kakao; zapalił palnik maszynki gazowej stojącej obok politurowanej mahoniowej komody i kiedy płyn się grzał, zaczął szukać filiżanki. Znalazł spodeczek, ale ani śladu po filiżance. Teraz dopiero zauważył karteczkę, którą gospodyni położyła na poduszce: „proszę pana, przykro mi, ale pańska filiżanka się stłukła”, podpisane z zakreślasem, bez dalszych wyjaśnień. Będę musiał się napić ze szklanki do zębów.

Pająk robił wrażenie martwego; skurczył się; gospodyni właściwie mogłaby go już sprzątnąć. Zabrał szklankę i wypił letnie kakao, ale kiedy rozglądał się za mydelniczką, w której

przechowywał niedopaiki, zauważył, że pająk się poruszył. To z przebiegłości, a nie śmierci tak się skurczył, teraz, dwa razy większy, zsunął się na podłogę po niewidocznej pajęczynie.

W Mintym obudził się przekorny instynkt myśliwego; sport ten zabrał mu całą resztę wieczoru. Z pomocą szklanki złapał pająka, przerwał pajęczynę, kiedy pająk zaczął się po niej wspinać, i zręcznie, giętkim ruchem dłoni uwięził go z powrotem na marmurowym blacie przy miednicy. Pająk stracił drugą nogę; przycupnął w kałużce kakao. Cierpliwości, pomyślał Minty, cierpliwości, jeszcze możesz mnie przeżyć. Zabębnił paznokciem o szklankę. Dwadzieścia lat w Sztokholmie, nie jestem już taki młody jak kiedyś. Napiszę jutro kartkę: „Proszę nie ruszać”. Muszę kupić drugą szklankę do mycia zębów, jak też filiżankę; będzie to dla Minty'ego prawdziwy dzień zakupów; z podniecenia zapomniał zmówić pacierz przed pójściem do łóżka. Kiedy już leżał, nie wydało mu się konieczne wyłazić spod koca na zimne linoleum; Pan Bóg nie przywiązuje większej wagi do pozycji niż do osoby. Ważne jest tylko, żeby modlitwa płynęła z serca; toteż złożony ręce pod szorstkim kocem, pomodlił się gorąco: żeby Bóg strącił potężnych i wyniósł pokornych i łagodnych, żeby dał Minty'emu jego chleb powszedni, nie wodził go na pokuszenie i, co bardziej szczegółowe, żeby ustrzegł Anthony'ego przed Pihlströmem i resztą, żeby poseł zgodził się na obiad byłych wychowanków Harrow, żeby udało mu się znaleźć taką samą filiżankę jak stłuczona; a na samym końcu podziękował Bogu za Jego wielkie łaski oraz za szczęśliwy, pomyślny dzień. W domu naprzeciwno po kolei gasły światła; wkrótce nie będzie widział tej ómy, która tak uparcie tłucze się o szybę: wyłączył i on lampę i leżał w ciemności, cierpliwy jak pająk pod szklanką.

I tak jak pająk skurczył się, nie udając już wielkiego w obronie przed pogardą; wyciągnięty cichutko w pozycji śmierci, leżał pokornie, kusząc Pana Boga, żeby uniósł szklankę.

## **Część czwarta**

## I

Anthony przyszedł punktualnie. Kiedy wchodził na Most Północny, dzwony na jednym i na drugim brzegu wydzwaniały godzinę ósmą. Zazwyczaj tak nie postępował. Nie znosił, kiedy kobieta kazała mu na siebie czekać, stawiało to każdą znajomość na fałszywym gruncie. Zwykle pierwsza przychodziła kobieta, a on trochę się spóźniał, nawet jeśli w tym celu musiał poczekać za rogiem, żeby go nie widziała. Niepoprawny, przeproszał beztrzesko, podając jakieś mętne wyjaśnienia. Ale teraz sytuacja się zmieniła. Miał posadę i rześko krocząc przez unoszącą się znad Malaren poranną mgłę, która jak rosa pokryła jego nowy płaszcz, starannie obmyślał swoją nową technikę: wydajność, punktualność, nie za wiele czasu na kobiety, ma swoje męskie sprawy, musi być w biurze tuż po dziewiątej, dla niej może wykroić z godzinkę, poczucie odpowiedzialności.

Ale dziewczyna czekała już na drugim końcu mostu i Anthony osłabł w swoich postanowieniach. Miała absurdalne imię Lucja - biedactwo, co za pech. Ubrała się, nie ukrywając tego - uwodzicielsko: włożyła maleńki figlarny kapelusik, który tak bardzo nie pasował do jej poważnej buzi. Jakby umówiła się z kochankiem, pomyślał, a nie z przygodnym znajomym z Góteborga, i znów, tak jak zawsze, zdumienie, że jakaś kobieta może starać się mu podobać (nawet jeżeli, jak

w przypadku Lucji Davidge, oznaczało to zbyt dużą ilość nałożonego pudru), podstępnie wywołało w nim uczucie czułości. Mówcie sobie, co chcecie, nawet najtwardszym z nich nie brak tej głupiotkiej naiwności; miała ją nawet Mabel.

Anthony zbliżył się, a dziewczyna prawie podbiegła. Byli zupełnie sami na moście. Poślizgnęła się na o wiele za wysokich obcasach, ponieważ chodnik pokrywała mgła, i uderzyła głową w jego tors, przekrzywiając jeszcze bardziej kapelusik. Pocałowali się jak starzy znajomi, bez namysłu. Anthony wyciągnął spod płaszcza tygryśka, ale wychodząc z domu w nic go nie owinął i teraz futerko ociekało wilgocią.

- Och, biedaku - powiedziała dziewczyna. - Jaki on mokry. Obydwaj jesteście mokrzy. A ty wyglądasz, jakbyś się topił.

Istotnie, gęsta mgła zmoczyła mu płaszcz i kapelusz jak ulewny deszcz. Człowiek nie byłby chyba bardziej mokry, pomyślał, gdyby go wyłowiono z jeziora; i chcąc się pozbyć tej myśli niby zimnego kompresu, przepłoszył ją śmiechem.

- Jestem dobrym pływakiem - powiedział.

Nie była to jednak prawda. Zawsze bał się wody - kiedy miał sześć lat, ojciec zwykł wrzucać go do wody, żeby sobie radził, jak umie, ale on zawsze szedł na dno. Potem lata całe śnił, że się topi. Jeśli jednak istnieje przeznaczenie obmyślające dla każdego człowieka taką śmierć, jakiej lęka się on najbardziej, Anthony'emu udało się je przechytrzyć. Tylko dobrzy pływacy nie boją się ryzyka, a więc Anthony, pływak zły, jest bezpieczny. Nie ryzykował. Nawet teraz, kiedy mu przypominano, że płaszcz ma mokry, nie ryzykował. Dbał o własne zdrowie tak samo, jak matka dba o zdrowie swego dziecka.

- Czego nam obojgu potrzeba - stwierdzi! - to filiżanki dobrej gorącej herbaty.

- I grzanek z marmoladą.

- I jajek na bekonie.

158

- Ba, gdyby to był Londyn!

Roześmieli się, westchnęli i z rozrzewnieniem, i z nostalgią poczuli się Anglikami. Ale, pomyślał Anthony. nie ma czasu do stracenia - wiedział, jak łatwo się przeziębą; jego klatka piersiowa była imponującą fasadą, za którą kryła się wrodzona słabowitość. Pobiegnął po taksówkę i oboje wcisnęli się do niej bezładnie, zdyszani, roześmiani, nie wiedzący, dokąd jechać, i skrępowani, jak zwykle dwoje ludzi, którzy po raz pierwszy wybierają się dokądś sami.

- Dokąd jedziemy? - zapytał Anthony, podczas gdy kierowca taksówki czekał przy drzwiczkach; gęsta mgła opadała na most, skapując miękko na chodniki, a gdzieś w pobliżu ratusza dał się słyszeć przenikliwy gwizd syreny okrętowej, który na moment zająknął się u wylotu komina i odezwał się znowu, niczym siewka, kiedy udaje, że złamała sobie skrzydło. - Nie znam zupełnie tego miasta. Ty wybierasz. Dokąd jedziemy?

Zaczął już zdejmować przemoczony płaszcz i ukradkiem pomacał koszulę: była sucha. Nigdy nie był pewien, czy zakończeniem jakiejś miłej wyprawy nie będzie łóżko, ostre przeziębienie, a może nawet zapalenie płuc.

- Drottningholm - powiedziała dziewczyna. - Nie byłam tam. Tam jest jakiś pałac.

- A śniadanie?

- Musi tam być i śniadanie,

Mgła pokrywała szyby i dziewczyna wytarła jedną z nich dłonią. Anthony pocałował ją w kark.

- Gdyby mój biedny ojciec wiedział, jak ja się prowadzę - westchnęła.

- Mnie masz na myśli? - zapytał Anthony.

Obróciła się, żeby mu spojrzeć w oczy, co miało wypaść śmiało, swobodnie, a zrobiło wrażenie spojrzenia przerażonego zwierzątka.

- Nie wyobrażaj sobie, że jesteś jedyny.

Wielkie nieba, pomyślał, do czego ona zmierza? Zapragnął złożyć jej formalne zapewnienie o niewinności swoich zamiarów, o tym, że nie myślał w tej chwili o niczym poza zjedzeniem śniadania.

- Mój drogi - mówiła dziewczyna wyniośle - nawet w Coventry istnieje paru mężczyzn podobnych do ludzi.

Brwi miała wyskubane nierówno, na całej twarzy znać było dotyk amatorskiej ręki - w zbyt jaskrawej szmince, łuszczącym się na szyi pudrze. Zachowywała się z niepewną bu-fonadą nowego ucznia w internacie, który ma coś do ukrycia, jakiś fizyczny defekt lub może tylko idiotyczne imię. Lucja, pomyślał, Lucja.

Ale ona, ustalwszy raz na zawsze, że jest dziewczyną do tańca i do różańca, szczęśliwa, że całą resztę może pozostawić jemu, zapytała.

- Jak tam praca?

- Świetnie - odparł Anthony. — Od pierwszej chwili przypadliśmy sobie z Krogiem do gustu.

Objął ją i bezmyślnie pogłaskał po lewej piersi. -A czym... czym właściwie jesteś?

-Jego ochroną osobistą. Wiesz, grube ryby z przemysłu wciąż się boją, że ktoś do nich wygarnie. No więc moje zajęcie - teraz on z kolei się chełpił - polega na tym, żebym to ja pieiwszy wyciągnął spluwę.

W przekrzywionym kapelusiku, z suchymi wargami oparła się o niego i powiedziała zaniepokojona:

■- Nie wygląda to przyzwoicie.

Jej podniecenie uzmysłowiło mu własną pozycję; ścisnął jej pierś chłodno i po przyjacielsku i zapewnił:

- Jak najprzyzwoiciej. Krogh jest wypchany forszą.

- Chciałam powiedzieć, że nie jest to praca dla dżentelmena.

- Ja nie jestem dżentelmenem - odrzekł Anthony, całując ją.

-Ależ jesteś - zaprotestowała. Mgła zaczynała opadać z ukwieconych podmiejskich ulic, pozostawiając w nieoczekiwanych miejscach białe strzępki: wokół kominów, nadkru-szonych kolumn, wysoko wiszących donic z kwiatami i fontann. - To mi się właśnie w tobie od początku spodobało. A ten krawat... przypuszczam, że to Eton?

-- Harrow - poprawił Anthony.

- Jestem snobką - powiedziała. Czyniła wyznania kompletnie do niej nie pasujące: to piekielnie wyzywające, to pokorne. - Jestem straszliwą snobką. - Gotowa jest powiedzieć o sobie wszystko, co jej ślina na język przyniesie, pomyślał Anthony, tylko nie to, że się boi, że nie wie, co zrobić dalej. -To miło być z tobą po tych wszystkich cudzoziemcach.

- Ależ nie majeszczce tygodnia, jak jesteś w Szwecji.

- Czyż trzeba aż tygodnia, żeby poznać paru mężczyzn? -chełpiła się, zaraz jednak wyznała skromnie: - Nigdy dotychczas nie wyjeżdżałam z Anglii.

Anthony nie wiedział, czego się trzymać; nie nadązał za tym doświadczeniem, którego kazała się domyślać, i za naiwnością, z którą się bezwiednie zdradzała. Kiedy nie jesteś pewny, powiedział sobie, bierz się do roboty bez gadania. Pocałował ją znowu, popieścił jej pierś, głaskał ją po udzie, ale zaskoczyła go jej reakcja. Przypominał wytrawnego pokerzystę, który trafił na zbyt niedoświadczonego partnera; kiedy się gra o pulę, ukrywając dodatkowego asa i układając wprawnie talię, oczekuje się jednak od przeciwnika pewnego opanowania, intencji dalszej gry; istnieją formy, które nawet szuler chce zachować. Na widok szczerzej twarzy i na dźwięk słów zbyt niewinnej licytacji człowieka irytuje myśl, że równie łatwo mógłby wygrać bez wszystkich rych wstępów, bez „spreparowania” talii; że właściwie mógł był grać uczciwie.

Objęła dłońmi jego głowę i przytrzymała jego usta przy swoich; czuł, jak prężą się jej nogi. Była spragniona, łaknęła zaspokojenia, w tym gościu znalazło się całe jej Coventry; po

**11. Made in England 161**



cóż silić się na intrygi, kłamstwa i uwodzenie? Zastanowił się z niesmakiem, czy czasem nie stał się narzędziem, czy cała ta przygoda nie jest raczej jego porażką niż zwycięstwem. Obejmując ją, myślał o samochodach oraz o połączeniach kolejowych w Rugby.

Nie sposób jednak było udawać poczucia winy. Uwodzenie, pomyślał dość zgorszony w swoim purytanizmie, jest dziś naprawdę aż za łatwe; brakuje czaru zamkniętych drzwi, butelki szampana, nastroju garsoniery o północy, zastanawiał się, czy sprosta jej podnieceniu. Poczul nieopisaną ulgę, kiedy dziewczyna odsunęła się i zaczęła poprawiać makijaż, miał ochotę poradzić jej; „Wyrzuć tę szminkę, ma nieodpowiedni odcień”. Pomyślał o garniturach Krogha, o marnotrawstwie takiego dobrego materiału, o rażącym oczy doborze krawatów. Muszę się obojgiem zająć. Zanim z nimi skończę, nauczą się czegoś. Na myśl, że odwiedzi krawca, u którego ubiera się Krogh, i wybierze się po zakupy z Lucją, przybrał wyraz pełen odpowiedzialności i powagi.

- Nie mogę mówić do ciebie Lucja - powiedział. - Będę mówił Lu. - I dodał: - Przypuszczam, że sklepy w Coventry są okropne.

Spoza puderniczki, rozdmuchując nieco pachnących pyłków pudru po taksówce, Lu odpowiedziała:

- Och, mamy parę niezłych sklepów. Zdziwiłbyś się. A poza tym z Coventry nie ma nawet dwóch godzin drogi do Londynu. I przez cały tydzień są tanie bilety.

- Ale chyba masz tam jakąś metę, żeby się zabawić.

- Nie jestem specjalnie wymagająca. A poza tym w Coventry to ryzykowne. Ojciec wścieka się, gdy nie wracam przed dwunastą. Nie wyobraższ sobie, co za awantury. On nie kładzie się spać, póki nie wrócę.

- Ma świętą rację - oświadczył Anthony z oburzeniem. - W twoim wieku nie powinnaś...

- Czyżbyś nie wierzył w swobodę? - zdziwiła się Lu. - Może

człowiek ma już zupełnie zapleśnieć? Cóż ci daje, że jeździsz po całym świecie, bierzesz udział w rewolucjach i innych takich hecach, jeżeli nie wierzysz w swobodę?

- Z mężczyzną to co innego - odpowiedział Anthony.

- Nie dzisiaj - odparowała Lu. - Nie w dobie kontroli urodzin.

- Nie jestem zwolennikiem kontroli urodzin.

- No to, do cholery, czego spodziewasz się, kiedy dziewczyna idzie z tobą...

- Niech to diabli - rozzłościł się Anthony - jedziemy tylko zjeść śniadanie.

Lucja zapytała rozczarowana:

- Nie kochasz mnie ani troszkę, Tony? Och, ja oczywiście nie mam na myśli wielkich uczuć. Nie cierpię, kiedy ludzie robią się sentymentalni, gdy idzie o zupełnie proste sprawy. Zanim się spostrzeżesz, każdy facet robi się zaborczy, chce tylko ciebie i oczekuje, że i ty chcesz tylko jego, tak jakby mężczyzna był molygamicznym, to jest monogamicznym zwierzęciem. Ale czy fizycznie nic a nic cię nie pociągam?

- Sama nie wiesz, co mówisz - powiedział Anthony.

- Och, nie udaję przecież, że mam tyle doświadczenia co ty. W każdym porcie dziewczyna i co port to przygoda.

- Nie przypuszczam, żebyś kiedykolwiek miała mężczyznę - oświadczył Anthony. - Myślę, że jesteś dziewicą.

Mocno trzasnęła go w twarz.

- Przepraszam - wymamrotał Anthony. Zabolęło go i był zły.

- Przepraszam... przeprosiłem cię.

Taksówka zatrzymała się. Byli w Drottningholm. Pijąc kawę i chrupiąc bułki, sprzeczali się przez cały czas. Oboje byli głodni, ale nie wiedzieli, jak po szwedzku powiedzieć „jajka”.

- Jak możesz pracować w Szwecji, nie znając szwedzkiego? - zapytała Lu.

- Moja praca nie wymaga znajomości żadnego języka.
- To nie jest praca dla przyzwoitego człowieka.
- Tobie przecież powinno być wszystko jedno, czy coś jest przyzwoite, czy nie.

Lu natychmiast zaczęła mu wyjaśniać spokojnie, bo nie czuła już głodu, że przyzwoitość nie ma nic wspólnego ze swobodą obyczajów. Anthony'emu przeszła złość i słuchał z dość dużym zainteresowaniem. Trudno byłoby zaprzeczyć, że dziewczyna jest rezolutna. Kilka razy użyła słowa „swoboda”, nie gorszyła go ona teraz, kiedy Lu nie stosowała jej w stosunku do niego; ostatecznie była tak samo staroświecka jak on. Wyglądało na to, że oni, tam w Coventry, wciąż jeszcze wynajdują jakieś teorie dla usprawiedliwienia „zabawy”. Lu należała do pokolenia, dla którego problemem numer jeden jest klucz od zatrasku. Mimo woli porównał ją z Kate i porównanie wypadło na korzyść Lu. Kate jest trochę zimnokrwista, nie szuka wymówek; znów poczuł wstyd i gniew na myśl o tamtej chwili w mieszkaniu Krogha: „Tam jest moja sypialnia...” Oczywiście na długo przed przyjazdem do Sztokholmu wiedział, że Kate jest kochanką Krogha, ale dotychczas nie wyjaśniono mu tego tak obszernie, a Kate nigdy się nie usprawiedliwiała. Żywił niemiłe podejrzenia, że Kate, gdyby jej to wypalić prosto w oczy, prędzej mówiłaby o pieniądzach niż o swobodzie.

Kochana Lu, pomyślał, jest staroświecka, ma zasady. Ruszyli piechotą przez ulicę prowadzącą do pałacu. Mgła zniknęła; na szarym moście pod kolorowym parasolem jakiś człowiek ustawił butelki z wodą mineralną, sokiem wiśniowym i lemoniadą.

- Napiłabym się wody z sokiem wiśniowym - powiedziała Lu.
- Dopiero co piłaś kawę.
- Ale lubię wodę z sokiem wiśniowym.

Kanałem, jedna za drugą, nadpłynęły kaczki. Poruszały się z poważnym, jeśli nie dziecinnym, przejęciem, jak druży-

na skautów. Pomyślałbyś, że *zaczną* wypisywać strzałki kredą na murze albo skupią się i dwiema zapalkami rozpalą ognisko.

- Tyle się robi zamieszania w sprawach płci - powiedziała Lu. Różowy napój syczał w jej szklance. Kaczki jedna po drugiej stanęły na głowach. - Tylko dlatego, że ktoś się prześpi z mężczyzną...

Anthony odwrócił od niej oczy i ponad niewielkim skrawkiem wyschniętej sierpniowej trawy spojrzął w stronę niskiego białego pałacu, przypominającego wypchaną mewę z rozpostartymi skrzydłami.

- Powiedz mi, ilu tych mężczyzn...

- Tylko dwóch - powiedziała. - Nie zadowolam się byle kim.

- W Coventry?

- Raz w Coventry - odpowiedziała - a raz w Wooton-un-der-Edge.

- I masz chęć na trzeciego?

- Pewnie, że mam chęć - wypaliła.

- Ale za parę dni wyjeżdżasz.

Wyszli na tylny taras tego zimnego północnego Wersalu. Anthony nigdy nie czuł się bardziej na wygnaniu. Na tarasie dokuczał wiatr, widać było parę drzew z pożółkłymi liśćmi, a pod drzwiami jednego z bocznych skrzydeł - butelkę z mlekiem. Przytuleni, trzymając się za ręce patrzyli na posrebrzony mrozem trawnik. Jakiś człowiek z miotłą podszedł, żeby im powiedzieć po angielsku, że pałac jest jeszcze zamknięty dla zwiedzających.

Lyons na Coventry Street byłby otwarty, pomyślał Anthony, a zresztą po śniadaniu zawsze coś się trafi; jest taki hotel w bok od Wardour Street, nad cudzoziemskimi kawiarenkami, niezliczone pokoiki do wynajęcia na godziny, bynajmniej nie romantyczne, niezbyt czyste, ale wszędzie można być szczęśliwym mając dziewczynę i łóżko; niektórzy uważaliby się za szczęściarzy, nawet nie mając mieszkania na North

Strand. Wbił paznokcie w dłoń w skurczu tęsknoty za czajnikiem na herbatę, zaniedbaną dziewczuchą od czystych ręczników, stosami angielskich papierosów. Głupi byłem, że wyjeżdżałem, pomyślał. Gdybym zaczekał, mógłbym znaleźć jakąś pracę; tam nikt by mną nie mógł pomiatać - wiem, jak sobie dawać radę.

- Nie wpuszczą nas?

- Tak, nie wpuszczą.

- Nie pozostaje chyba nic innego jak wracać.

- Poczekaj tu - poprosił. - Spróbuję go przekupić. Poszedł za człowiekiem z miotłą i znalazł go przed małym,

cofniętym budynekciem na końcu tarasu. Nie, oświadczył tamten, nie może go oprowadzić po pałacu, nie ma kluczy. Gdyby Anthony wrócił za godzinę... ale ma klucze od pawilonu teatralnego, jeżeli ich to interesuje.

Teatryk pozostawiono w takim samym stanie, w jakim znajdował się w osiemnastym wieku. Nad królewskimi fotelami nadal umieszczone były korony, tabliczki na długich czer-wonofioletowych ławach rezerwowały miejsca dla nieżyjących

- dla kawalerów i dam dworu, dla cyrulika i perukarza. Anthony i Lu usiedli, a za kulisami ich przewodnik zaczął pociągać za sznurki poruszające wymyślną maszynę maleńkiej, ale głębokiej scenki. Na zniszczony fotel Wenus i Jupitera z masek i oper opuściły się niebiesko-białe chmurki zaokrąglone jak pośladki amorków. Dozorca zgasił światła i wprowadził w ruch grzmoty. Kurz wzniósł się i opadł.

- Musimy poszukać jakiegoś lokum - powiedział Anthony.

- Gdybyśmy byli w Londynie...

- Albo w Coventry,

- Co zrobiliście w Wooton-under-Edge?

- Mieliśmy auto.

Dekoracja zjechała teraz w bok i spoza kulis wysuwał się w drgawkach wyblakły elegancki ogród kwiatowy. Siedząc obok siebie na ławie zajmowanej niegdyś przez królewskiego cyrulika

i dworskiego kapelana, czuli dotknięcie swoich nóg i ciągnęło ich do siebie poprzez ubrania, odczuwali fizyczny ból, że nie mogą natychmiast iść do łóżka. Na scenie odkryła się zapadnia i nagle spod podłogi ukazał się ich przewodnik. Wszystko, oznajmił, działa znakomicie, jak w dniu, kiedy zostało wykonane, po czym zniknął. Słyszeli, jak się tłucze pod sceną.

- Mam - ucieszył się Anthony. - Pojedziemy do Minty'ego.

- Kto to jest Minty?

- Dziennikarz. Taki samotny dziwak. Będziemy udawać, że przyjechaliśmy na śniadanie. On musi znać jakieś takie miejsce, gdzie moglibyśmy pójść.

- A czy naprawdę chcesz ze mną pójść? - zapytała absurdalnie oficjalnym tonem. - Wolałabym cię do tego nie zmuszać.

- Niczego bardziej nie pragnę. To będzie tak, jakbyśmy byli w Anglii.

- Dobrze nam to zrobi.

- Och - powiedział, odczuwając nagle zimno i obcość tej kamiennej budowli otoczonej jeziorami; woda, wszędzie woda i sztywni faceci kiwający się nad butelką; i zatęsknił do łatwych znajomości, języka, który rozumiał, strażników w Hyde Parku, aut czekających na przygodnych kochanków, ekspedientek i ulicznych barów. - Wolałbym, żebyś nie wyjeżdżała albo, żeby ja też wyjechał. Kate wszystko robi dla kariery. Ona nie rozumie. Tak niewiele potrzeba mi do szczęścia... -Podana z rozmachem whisky, numer *Razzle*, hotele na Paddington i klub pod Lisie Street, ale nie to: ten milioner, jego szkło i stal, i ta niezrozumiała rzeźba. - Gdybym tylko mógł wrócić razem z tobą.

-To nie jest praca dla przyzwoitego człowieka. Tak bym chciała, żeby to było coś przyzwoitego.

- Kiedy wyjedziesz, zostanę tu sam jak palec.

-Tak chyba będzie lepiej. Nie chcemy przecież wstępować w trwałą związek.

- A dlaczegoż by nie? - zapytał Anthony. - *Cóż złego widzisz w trwałym związku? Nie bądź snobką. Ja lubię ciebie, ty mnie. Dlaczego nie mielibyśmy się widywać, dopóki nam się to nie znudzi?*

-Trwały związek jest taki krępujący - oświadczyła Lu. Pocałowali się i do tego pocałunku wkradła się cała gwałtowność, cały bezsens rozstania, smutek dworców; jedno odjeżdża, a drugie zostaje; wakacje minęły, fajerwerki leżą na trawniku wypalone; inni ludzie w swoich szklanych łóżach na molo przyglądają się pierrotom i zapadającemu zmierzchowi, i nie można zrobić nic bardziej ostatecznego, pozostaje tylko ten pocałunek. Masz mój adres, trzaśnięcie drzwiczek, napisz do mnie, machnięcie chorągiewką, zobaczymy się jeszcze kiedyś, i już dym ich rozdziela. Odsunęła usta. - Taki krępujący - powtórzyła bez przekonania. Poszukał jej ust i nie trafił, jej policzek miał słony smak. - Och, niech to wszystko cholera - zaklęła. I dodała: - Przepraszam, że używam takich wyrazów.

Cóż za dziwna, pomyślał, cóż za cholernie dziwna historia mi się przytrafiła. W głosie jego słycać było rozpacz, gdy zapytał:

- Przyjedziesz tu znów w przyszłym roku?

- Nie zanoszę się na to - odparła. - Takie wakacje moim starszkom zdarzają się raz w życiu. Chyba że zrobią na Kro-ghu majątek. Kiedy tu przyjechali, włożyli trochę forsy w akcje Krogha.

- Płaci dziesięć procent.

- Musiałby płacić pięćdziesiąt, żeby mogli tu wrócić. Pizewodnik po raz drugi wprawił w ruch grzmoty. Potem

zaczął podnosić fotel Wenus, fotel zwisał chwilę na wystrzępionych sznurach nad sceną, uniósł się w górę ponad chmurki i zniknął.

- Mamy mało czasu - ponaglił Anthony - a jeszcze go tracimy.

- Znam ten ból - powiedziała Lu.

- No, nie gniewasz się, co?

- Jasne, że nie. To dobre dla zdrowia, prawda? - Bez powodu ogarnęło ją rozgoryczenie. - Od Wooton-under-Edge minęło całe sześć miesięcy.

- Na litość boską, zapomnij o Wooton-under-Edge - ofuknął ją Anthony.

Szosa odwijiała się teraz w odwrotnym kierunku; miało się wrażenie, że to daleko, zważywszy jak niewiele mieli powodów, żeby tu przyjeżdżać. Oboje wypili po kawie i Lu napiła się wody z sokiem wiśniowym; nic się nie zdarzyło,

- Straciliśmy dwie godziny - stwierdził Anthony.

- No cóż, jesteśmy oboje młodzi. - Siedziała w kąciaku odsunięta od niego daleko, z podciągniętymi kolanami; kiedy auto szarpało, uderzał o nie brodą. - O tej porze za rok...

- Gdzie będziesz?

- Chyba pojedziemy do Bournemouth.

Wstąpili do jakiegoś sklepiku i kupili kilka sandwichów, Lu niosła paczuszkę. Anthony wstydził się pokazywać z pakunkiem na ulicy.

Zanim wspięli się na trzecie piętro kamienicy, w której mieszkał Minty, zmęczeni i zdyszani zatrzymali się przy oknie. Widać było z niego całą ulicę aż do nabrzeża; dobiegały ich dzwonki tramwajów z drugiego brzegu jeziora, w pobliżu dworca centralnego, i plusk wody obijającej się o nabrzeże. Po chwili wdrapali się piętro wyżej. Wizytówka Minty'ego przypięta była do drzwi pinezką: „F. Minty”. Rozejrzeli się za dzwonkiem, ale go nie znaleźli i Anthony zastukał pięścią.

- Zastanawiam się, co też znaczy to F. - powiedziała Lu. Minty otworzył drzwi i Anthony zaczął wyjaśniać:

- Przychodzimy na śniadanie.

- Doprawdy - powiedział Minty - bardzo mi przyjemnie. - Pozwolicie państwo, że Minty skoczy i przykryje łóżko. - Słysząc było, jak rozpościera koce, wylewa wodę z miednicy



i drepcze tam i z powrotem w rannych pantoflach, to zamykając jeszcze szafę, to przesuwając krzesło. Za chwilę wrócił. - Wejdźcie, wejdźcie - zapraszał.

- Pozwoli pan, że mu przedstawię pannę Davidge.

- Witam panią - rzekł Minty. - Tak się cieszę, taki jestem zakłopotany. Czy zechce pani usiąść na łóżku? Napijcie się kakao?

- Przynieśliśmy kilka sandwiczów.

- Prawdziwy piknik - powiedział Minty. Ukłękł, zaczął szperać w szafce i nagle przypomniał sobie. - Co za pech, gospodyni stłukła moją jedyną filiżankę. Będę musiał zejść i pożyczyć od Ekmanów. - Ale trzymając skondensowane mleko w ręku nie podnosił się z kolan. - Chyba że napijemy się po prostu tego. Nie chodzę często do Ekmanów. Może nie zechcą pożyczyć? Wiesz, Farrant, to będzie zupełnie jak za dawnych czasów.

- Za dawnych czasów?

- Nie pamiętasz? W budzie, w pudle z zapasami każdy zawsze miał skondensowane mleko. Wysysało się je przez dziurkę w denku. - I zapytał podejrzliwie: - Przypuszczam, panno Davidge, że pani nigdy nie wysysała skondensowanego mleka?

- Może pan ją nazywać Lu - oznajmił Anthony - jesteśmy wszyscy przyjaciółmi. Może sandwicza?

Minty wyjął z kieszeni nożyk... Miał on dwa ostrza, zakrzywiony przyrząd do wydobywania kamieni spomiędzy końskich kopyt i korkociąg. Wielkość scyzoryka tłumaczyła, dlaczego Minty ma taką obciążoną kieszeń. Zaczął dłubać nim przy puszcze z mlekiem.

- Czy nie byłoby prościej zdjąć otwieraczem do konserw całe denko? - zapytała Lu.

- Nie należy tak robić - zaproponował ostro Minty - a poza tym nie mam takiego otwieracza. - Podał jej puszkę i obrzucił złowrogim spojrzeniem, kiedy ona, nie chcąc wysysać mleka,

podawała ją Anthony'emu. - A w jakim właściwie celu - zapytał - składacie Minty'emu wizytę?

- Z czystej przyjaźni - odparł Anthony. Wysysał mleko z fasonem. - Chciałem pana złapać, zanim pan pójdzie do pracy.

- Jakież wieści?

- Nic a nic - powiedział Anthony - to tylko dla towarzystwa.

- A Hammarsten złapał coś nowego. I Pihlström.

- Spotkaliśmy ich wczoraj w Tivoli.

- Właśnie - powiedział Minty. Ukłękł na podłodze przy umywalni i dodał z goryczą - Wiedziałem, że oni pana złapią... pewno przyszedł pan tutaj, żeby mi to taktownie powiedzieć. Będzie pan dla nich pracował, nie dla mnie. Oni panu dają połowę. - Wyjął z szafki następną puszkę, potrząsnął nią przy uchu i odstawił z powrotem. - Tę skończyłem wczoraj.

- Cóż oni piszą?

- Pihlström pisze, że Krogh wyszedł z opery przed końcem i pojechał autem do Tivoli. Hammarsten utrzymuje, że udał się tam po to, żeby omówić pewne przedsięwzięcie teatralne, które zostanie ogłoszone wyłącznie w jego gazecie w dniu jutrzejszym.

- I to ma być sensacja?

- Wszystko, co robi Krogh, jest sensacją.

- Jeżeli tylko tego pan się chce dowiedzieć - oznajmił Anthony - to idzie o *Peryklesa*. Krogh wyklada pieniądze na Hammar stena.

- Co? - zadziwił się Minty. - Na Hammarstena? - Odstawił swoje mleko. - Oszalał. Wszyscy ci z forszą to szaleńcy. Strzeli im coś do głowy i to już wystarcza. Mógłby je dać panu, mógłby je dać mnie. Ale przypadkiem napatoczył się Hammarsten.

- W końcu może robić ze swoimi pieniędzmi, co mu się żywnie podoba - powiedziała Lu.

- Ach, gdybym to był ja - westchnął Minty - przez ostatnie dziesięć lat dosyć często się z nim stykałem. - Podeszedł do drzwi i przeszukał kieszenie szlafroka w nadziei, że znajdzie jakieś papierosy, nie było jednak ani jednego, tylko kłaczki kurzu, jakie znajduje się pod łóżkiem, i świstek papieru. Przeczytał głośno to, co było na nim nabazgrane ołówkiem: „Pamiętać: kanarek, ciastka, dżem agrestowy (?)”.

- Ma pan kanarka? - zapytała Lu.

- To musiało być pięć lat temu - wyjaśnił Minty. - Za dużo śpiewał i zdechł. Zastanawiam się jednak, po" co ten dżem agrestowy. Nigdy go nie lubiłem. - Zmiał świstek papieru, jakby go chciał wyrzucić, potem jednak zmienił zamiar i włożył z powrotem do kieszeni. - Gdybym dziesięć lat temu miał to, co dostało się Hammarstenowi...

- Albo ja - wtrącił Anthony. - Opatentowałem zimową parasolkę z ogrzewaczem ręki. Brak mi było tylko kapitału. Interes murowany.

- Och, na litość boską - zniecierpliwiła się Lu - mówmy o dniu dzisiejszym. Przestańcie wciąż mówić o przeszłości. Obaj popełniacie ten sam błąd. Czy żaden z was nie ma przyszłości?

- Uczciwie mówiąc, żaden - rzekł Minty. - Gdyby któryś z nas miał jakąś przyszłość, nie bylibyśmy tutaj.

- Dlaczego? Co macie do zarzucenia Sztokholmowi?

- To, że nie jest Londynem - powiedział Anthony.

- To, że nie jest Londynem.

- O całe niebo wolę Sztokholm od Coventry - oświadczyła Lu.

- Drogie dziecko - rzekł Minty dłubiąc palcem w mydel-niczce. Tamci szeptali za jego plecami. Anthony próbował ręką łóżko.

Lu powiedziała:

- Podziwiam takich ludzi. Wszystko, co posiada, to jego własne pieniądze.

Minty spojrział na nią, oczy miał wilgotne i błyszczące.

- To nie są jego własne pieniądze. To pieniądze pożyczone, nie, tylko pożyczone. Nam nikt nie pożyczy, bo nie mamy kredytu. Gdybyśmy mieli kredyt, sami byśmy byli takimi Kroghami. Jest jednym z nas. Nie trzyma się mocniej ziemi niż my. Ale my, my musimy żyć w granicach naszych środków; banki nie dadzą nam kredytu, wyliczamy sobie papierosy, mieszkamy tam, gdzie jest taniej, oszczędzamy na praniu, musimy się dobrze nagłowić, żeby zarobić na drobne wydatki. Pani jest za młoda, moje dziecko, żeby to zrozumieć - dodał z nie ukrywaną złością. Nie lubił dziewcząt i trudno byłoby mu to lepiej wyrazić słowami; krzykliwie ubrane stworzenia, czyjeś siostry, których kapelusze zasłaniają widok u Lorda.

- Wcale nie jestem za młoda - powiedziała Lu. Wierciła się niespokojnie; wstała z łóżka, kręciła się po pokoju, czubkiem palca badając grubość kurzu na krzesłach, parapetach i sznurach od zasłon.

- Dlaczego ja jestem bez pracy? - zapytał Minty, nie czekając na odpowiedź. - Dlaczego jego musi utrzymywać siostra? Odpowiedzią na to jest Krogh. Kupujcie wyroby Krogha. Tańsze, energooszczędne, to niemal monopol, zredukowane koszty, płacą dziesięć procent dywidendy. Wszystkie pieniądze płyną do Krogha, a on nie zatrudnia połowy tych ludzi, którzy byli zatrudnieni w dawnych czasach bezlitosnej konkurencji. To Krogh powiększa giełdę pracy. Proszę to zostawić - dodał, kiedy Lu poruszyła szklankę. - Proszę zostawić mojego pająka.

- Pan jest po prostu zazdrosny, ponieważ nie potrafi pan robić pieniędzy - stwierdziła Lu.

- Wiercie Minty'emu. Krogh nie jest wieczny. Jak zaczniesz brać krótkoterminowe pożyczki...

- Och - wtrącił Anthony - to nie jest zły chłopak. Lu ma rację. Ma więcej oleju w głowie od nas.

Minty dostał czkawki.

- Przez was wszystko się we mnie trzęsie - wykrztusił. - Mój żołądek. Od czasu kiedy mnie drenowali. - Czknął znowu.

- Niech pan spróbuje wypić szklankę wody bez oddychania - doradziła Lu.

- Proszę nie ruszać mojego pająka - wysapał Minty bez tchu. Policzył na głos do dwudziestu. - Nie bardzo wyszło to przyjęcie - stwierdził. - Nie jestem przyzwyczajony... gdyby nie to, że stłuczono mi filiżankę... zaskoczyliście mnie, a potem ta historia z Hammarstenem, - Śledził oczyma Lu, złośliwie wyszukując wszystkie słabe punkty jej powierzchowności. - Miło z waszej strony, żeście przyszli. - Ale jego małe oczki całkiem wyraźnie wyrażały dezaprobatę dla nieumiejętnego makijażu, tandetnej i pretensjonalnej sukni i figlarnego kapelusika. Niektórych ludzi dzisiaj nie sposób uniknąć, człowiek jednak dba o zachowanie poziomu.

- Powinam już iść - powiedziała Lu.

- Idę z tobą - oświadczył Anthony. - Musimy pogadać. Poszukamy jakiegoś miejsca, gdzie by można posiedzieć. Skansen. Daleko do Skansen?

- Ależ proszę, proszę, czujcie się jak u siebie. - Skręcał się konwulsyjnie od czkawki. - Traktujcie mój pokój jak własny hotel. Możecie tu pogadać. Nikt wam nie przeszkodzi. Min-ty'ego nikt nie odwiedza.

- O to właśnie chciałem pana poprosić - rozchmurzył się Anthony.

Minty roześmiał się do nich dobrodusznie i poklepał An-thony'ego po ramieniu jak idealny Pandar.

- A ja myślałem, że cieszycie się z towarzystwa Minty'ego. Fałszywy, fałszywy ten Farrant. A sandwiche było to tylko przekupstwo, udawaliście, że smakuje wam moje skondensowane mleko. - Nie wiedzieli jednak, co naprawdę o tym sądzić, widząc jego twarz; wyrażała smutek, ale nie rezygnację.

Niby koja wyruszającego w zagraniczny rejs statku wyglądał tak, jakby znał jedynie obcych, wnosił ze sobą zapach oleju i biedy. Dodał: - Muszę się zbierać i pędzić z tą nowiną do redakcji. Czujcie się jak w domu. - Włożył swój czarny płaszcz, mocując się z rękawami: jedna ręka utkwiała mu w rozerwanej podszewce i przez chwilę wyglądał jak mała, czarna, odłupana kolumienka osadzona w otwartej przestrzeni na środku pokoju. Był tak samotny, tali wyizolowany, że wpędził ich z powrotem w poczucie wspólnoty, które już utracili; nawet wspólne uczucie zakłopotania, wzajemne docinki miały w sobie coś przyjacielskiego w porównaniu z jego kompletnym odcięciem się od ludzi. Powiedział: - Do widzenia - ale zaadresował je wyraźnie do Anthony'ego; nie mógł się zmusić, żeby spojrzeć na Lu. - Może mógłby mi pan przypadkiem pożyczyć parę koron? - spytał. - Otrzymałem już w tym miesiącu swój czek, ale nie mam drobnych.

Czekając, aż mu Anthony zapłaci, nie patrzył ani na nich, ani na łóżko. Nie podnosił wzroku wyżej niż dzbanek, miska i pajak pod szklanką.

- Oczywiście - powiedział Anthony.

- Zwrócę panu po powrocie z redakcji, zapłacę też za wiadomości. Powiedział pan, że to będzie czwarta część, prawda?

- Tym razem może to być darmo.

- Jest pan zbyt uprzejmy. Doprawdy, Minty nie może... No, ale ten jeden raz. Muszę zrobić tyle zakupów. - Wreszcie wyszedł. Miał na nogach ciężkie buty i aż do trzeciego piętra słyszeli, jak powoli schodzi.

- Och - westchnęła Lu - wiedziałam, że to nic przyzwoitego.

- Co?

- No, ta twoja praca. Mieć do czynienia z takimi ludźmi,

- To nie jest moja właściwa praca.

- Twoja właściwa praca jest taka sama. Jeżeli ktoś taki może tak mówić o Kroghu...

- Jemu nie należy wierzyć.

- Jest sporo racji w tym, co on mówi. - Ostrożnie przeszła przez pokój; zdawało się, że od wszystkiego, czego dotyka i co mija, przechodzi na nią po trochu ponurość Minty'ego. Zaraźliwa ponurość. Kryła się jak zarazki w brązowym szlafroku, warstewką kurzu pokrywała wodę w dzbanku; kiedy Lu otworzyła szafkę (z natury była wścibska), ponurość ukrywała się i tam wśród wszelakiego śmiecia. Lu wyliczyła: -Spodek, pusta puszka po skondensowanym mleku, nóż, widelec, talerz... od innego kompletu niż spodek...

- Daj mu spokój - powiedział Anthony. - To miło ze strony Minty'ego, że pożyczył nam swoje mieszkanie, chociaż (co rzucało się w oczy) nie lubił dziewczyn. - Nie trzeba było żadnych dowodów zbrodni, dziewczyna jednak nie ustawała w poszukiwaniach.

- Pudełko zapalek - powiedziała - na pewno wszystkie są wypalone. Po co je trzyma? Stary notatnik. On chyba nie potrafi nic wyrzucić. Jakiś tygodnik. Wydawany przez szkołę. Spis adresów. Książka do nabożeństwa... nie, to mszał. A do czego są te śmieszne małe patyczki? Do jakiejś gry?

Anthony ukląkł koło niej.

- To trociczki - wyjaśnił. Potrząsnął patyczkiem i wąły zapach przyłgął mu do palców jak smutek. - Biedak - powiedział. Ciała ich zetknęły się i nagle znów złączyli się w swoim pragnieniu, tracąc poczucie czasu. - To świat jest ponury.

- Nie - zaprzeczyła Lu. - Nie. Świat jest dobry. Zawsze przecież mamy to. - „To” było pocałunkiem, mocniejszym uściskiem, na pół niechętnym wysiłkiem, który ich pociągnął na łóżko. Namiętność jednak zetlała mu w rękach, sam akt był już tylko zaspokojeniem próżności, zresztą nigdy nie był niczym innym. Przyjemnie jest doprowadzić kobietę do tego, że staje się bezbronna, że krzyczy, człowiek uzyskuje zaspokojenie, zaspokajając; ale ich rozkosz nie miała sobie równej, osiągając głębię tak wielką, że wszelkie wyrozumowane prze-

świadczenia na tę chwilę zniknęły i Lu używała wszystkich tych słów, którymi gardziła: - Kocham cię - mówiła. - Kochanie - mówiła. - Nigdy nie było tak wspaniale. - Tylko umysł Anthony'ego obserwował wszystko z dala, ironicznie, świadomy grupowego szkolnego zdjęcia nad głową figurki Madonny na kominku, pyszniąc się, kiedy dziewczyna błagała: - Nie chcę, żebyś sobie poszedł. Nie chcę, żebyś sobie poszedł -oszukując się, że to on jest zwycięzcą, że jego to nie wzruszyło, że on zdobył tylko świeże trofeum, kiedy już leżał obok niej i opanowała go próżność, wyolbrzymiając jej wdzięk i świeżość, odciskając w pamięci na pół fikcyjne wspomnienia. Przyglądał się jej, objął ją, próżność przyczyniała się bardziej do jego klęski, niż mogłaby to uczynić namiętność; dziewczyna przychodziła już do siebie. Człowiek nie może już być taki sam w stosunku do dziewczyny, z którą spał - nie może uniknąć pewnej czułości.

- Tak - wróciła do przerwanej rozmowy Lu - jest dużo racji w tym, co on mówił. Uczyłam się w szkole ekonomii. To jest niegłupie, co powiedział o tych krótkoterminowych pożyczkach. Och, jakże bym chciała, żebyś miał jakąś przyzwoitą pracę.

## **12. Made In England**



## II

Amsterdam nareszcie się odezwał, przemawiając zatrącającym lekko cockneyem głosem Freda Halla. Krogh stał przy oknie i słuchał, jak ten głos wsącza się przez głośnik do gabinetu. Poranna mgła prawie zupełnie się przetała, tylko w niecce dziedzińca osiadła jak jakiś mleczny płyn. Rzeźba była niewidoczna.

Trzeba mieć wycucie proporcji. Rzeźba nie jest taka ważna.

- Próbowałem się z panem połączyć wczoraj wieczorem -mówił głos z naganą. - Połączyli mnie z operą, ale pan wyszedł. Próbowałem z mieszkaniem, ale tam też pana nie było. Nie zmrużyłem oka przez całą noc, panie dyrektorze.

Ten Farrant coś wywęszył i to mu się nie podoba. Nie ma eo udawać, że to nieważne. Wszystko jest ważne, kiedy z pieniędzmi krucho i trzeba zachować spokój, zanim się puści w ruch ten interes w Ameryce. Żart w nieodpowiednim momencie może wszystko zepsuć.

- Mów dalej, Hall - poprosił - powiedz mi, czym się martwisz. - Połączenie jednak było tego ranka złe. Musiał podejść do biurka, żeby rozmawiać. Kiedy już wreszcie będę to miał za sobą, pomyślał, pójdę na godzinkę na górę, żeby na nikogo nie patrzeć.

- Wciąż sprzedają.

- A więc my musimy kupować.
- Są pewne granice, panie dyrektorze,
- Żadnych granic.
- Ale skąd brać na to pieniądze?
- Załatwione. Pieniądze pożyczą A.C.U.
- Będzie nam potrzebne wszystko, co mają, co do grosza.
- Możesz tym rozporządzać.
- A co z A.C.U.? Będą zmuszeni wstrzymać wypłatę dywidendy.

To wywoła panikę. I na jednej dziurze się nie skończy. Zrobi się ich tyle, co w przetaku. W Berlinie, Warszawie, Paryżu, wszędzie.

- No nie - powiedział Krogh - przesadzasz. Jesteś zanadto w centrum całej sprawy, Hall. Ja tutaj patrzę z zewnątrz. W przyszłym tygodniu, kiedy już puścimy w ruch tę spółkę w Ameryce, będziemy mogli dyktować rynkowi, co zechcemy.

- Acoz A.C.U.?

- Sprzedamy A.C.U. Battersonowi. Milion funtów gotówką. Wystarczy przez tydzień na zatkanie wszystkich dziur. Hall, ty tylko musisz dalej kupować.

- Ależ A.C.U. zostanie bez grosza.

Słysząc było świszczący oddech Halla daleko w jego pokoju w Amsterdamie.

- Będą akurat tyle samo wari, co teraz. Tyle że pod postacią udziałów firmy amsterdamskiej.

- Ale pan przecież wie, że nie mamy pokrycia na to, co wydajemy.

Krogh nie potrzebował telewizji rozmawiając z Hallem; znali się tak długo, że każdą zmianę tonu tamtego umiał skojarzyć z towarzyszącym jej wyrazem twarzy i gestem; pełne nagany potrząsanie nogą, rozkołysana powątpiewaniem dewizka.

- Ależ mamy, ty jesteś naszym kapitałem, Fred - powiedział Krogh. Tu miał do czynienia z cyframi i znów wszystko było w porządku; w dziedzinie cyfr wiedział wszystko, wszyst-

ko potrafił zrobić, w cyfrach nie było nic ludzkiego. - Nasz kredyt zależy od ciebie. A.C.U. się nie liczy. Nie ma nic wspólnego ze sprawą zasadniczą. To inwestycja, której chętnie się pozbędziemy. Ale jeżeli ty zawiedziesz, koniec z I.G.S.

- Dobrze, ale rzeczywista wartość...

- Trzy minuty już minęły - odezwał się jakiś głos po niemiecku .

- Nie istnieje nic takiego jak wartość rzeczywista - powiedział Krogh. Wziął do ręki popielniczkę i postawił ją z powrotem. E.K. - Jest tylko cena, jaką chcą zapłacić. Należy wykupić wszystkie twoje akcje na amsterdamskim rynku. Cena musi zostać utrzymana.

- Pozbywają się ich całymi pakietami. Krążą pogłoski...

- Masz potrzebne pieniądze. Możesz utrzymać cenę na tym samym poziomie. Wyprzedaż skończy się kiedyś.

- Więc do końca dnia mam dziś kupować?

- Agentów może ci nie starczyć, pieniędzy starczy.

- Ależ Batterson nigdy nie kupi.

- Sam osobiście zagwarantowałem im wartość aktywów A.C.U. Mają do czynienia z Kroghiern, Hall.

- Ale kiedy sprawdzą księgi...

- Przekonają się, że wszystkie aktywa są w udziałach naszej Firmy amsterdamskiej, a ta jest filią I.G.S. Nie można zainwestować lepiej niż w zakłady Krogha.

- Czy nie można by zdobyć tych pieniędzy w inny sposób, panie dyrektorze? - W głosie nie słychać już było wielkiego niepokoju; Hallowi wystarczyło słowo Krogha, wystarczyło w sprawach dużo ważniejszych niż mały szwindel. Słuchał ślepo, w jego oddaniu było coś średniowiecznego; niby jeden z rycerzy Henryka II, Hall zgadywał życzenia Krogha, uprzedzałby je nawet, gdyby był dostatecznie bystry. „Kto za mną?” - i już miał przy sobie Halla w sprawach, w których ten orientował się lepiej niż Krogh: w jakiejś niewielkiej intrydze, mistrzowskim szantażyku.

- Wiesz równie dobrze jak ja, Hall, jak krucho z pieniędzmi. Nie możemy już więcej pożyczać na krótki termin. I tak zbyt wiele mamy do spłacenia.

- Chyba się wściekną, gdy się dowiedzą.

- Nie wtedy, kiedy będzie już po. Wtedy będą odpowiadać przed swoimi akcjonariuszami. Nie ośmielą się nas naciskać. Będą musieli dać nam czas. Kiedy Amerykanie zorientują się, odkupię od nich filię, jeżeli zechcą. Wówczas będziemy mogli robić to, co nam się spodoba. Pamiętałem też o zabezpieczeniu. Antydatowałem zakup akcji.

- Sześć minut minęło.

- Czy dyrektorzy zgadzają się na to? - zapytał Hall z pełnym szacunku podziwem.

- Och, tak, tak - odpowiedział Krogh. Nie warto było tłumaczyć Hallowi, że nie uznał za stosowne pytać o radę Stefensona, Asplunda i Bergsfena w związku z taką głupią formalnością, jak podpis na czekach. Miał ich podpisy na gumowych pieczętkach. Nie zwracał się też z tą sprawą do Laurina; mógł z tym na razie poczekać. Zakup amsterdamskich akcji został antydatowany zbyt daleko wstecz, żeby Laurin mógł mieć coś do powiedzenia. Dodał spokojnie do mikrofonu słuchawki: - Wszystko jest w porządku, Hall.

- Starcza mi pana słowo.

- Parę dni temu byłem zdenerwowany, trochę zdenerwowany. Nie czułem się jeszcze gotów. Ci Amerykanie chwytają się rozmaitych sposobów. Wywołali tu strajk i Laurin był chory. Ale poradziłem sobie z tym. Żadne wiadomości nie przedostały się do prasy, a ja nic nie obiecałem na piśmie. Wszystko idzie świetnie. Hall.

- A ja mam kupować dalej?

- Tego ranka powinno się to skończyć. Możesz liczyć na pieniądze od Battersona. Kiedy skończysz w Amsterdamie, przyjeżdżaj do mnie tutaj. Możesz mi być potrzebny. Ktoś nam bruździ w fabryce.

- Przyjeżdżam natychmiast, panie dyrektorze.

- Do widzenia, Hall.

- Do widzenia, panie dyrektorze. - Ale głos Halla jeszcze się odezwał, przerwany obwieszczeniem, że „dziewięć minut minęło”. - Niech pan nie sądzi, że mam coś przeciwko małemu blefowi. Pan wie, że nie cofnąłbym się przed tym. Ale chodzi mi o wypłacalność.

- Istnieje wypłacalność i wypłacalność - powiedział, łagodnie Krogh. - Tego nie da się przeliczyć. Wypłacalność to zaufanie. Jak długo otrzymujemy pieniądze, jesteśmy wypłacalni. To znaczy, dotąd, dokąd nam wierzą.

Rozłączył się z Hallem.

Hall był właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Człowiek bystry prędzej by się zląkł. Krogh czuł się lekko wyczerpany dodawaniem otuchy Hallowi, nie stracił jednak pewności siebie - było to. tylko przyjemne fizyczne zmęczenie. Hall ostrzegał kiedyś: „Tarcie będzie za wielkie” - i Hall się wówczas pomylił. Mylił się zawsze, ale nigdy się przy tych pomyłkach nie upierał. Dyskusja z nim pozwalała uporządkować fakty, rozjaśniała myśli: gdyby na miejscu Halla był ktoś inny, mniej ufny, na przykład tchórzliwy Laurin, kosztowałoby to Krogha o wiele więcej wysiłku. Krogh połączył się z Kate i zapytał:

- Gdzie jest Laurin?

- Choruje jeszcze... jest w Saltsjobaden. Posłuchaj, Erik, chciałam z tobą porozmawiać.

- Nie teraz. Za pięć minut. Idę na górę do pokoju ciszy. Gdzie jest twój brat?

- Jeszcze nie przyszedł.

Krogh ułożył równo na biurku jakieś dokumenty; znajdowało się wśród nich parę listów, które chciał wziąć ze sobą na górę. Spozstrzegł kopertę z biletami na cykl koncertów; uśmiechnął się i podarł je. Dziś wszystko idzie świetnie. Wydało mu się nieprawdopodobne, że parę dni temu zmar-

twienia przyprawiły go o halucynacje. Za wiele rozmyślałem o przeszłości. Zawsze pogardzał ludźmi myślącymi o przeszłości. Życie to znaczy pozostawiać wszystko za sobą; być wolnym jak rozbitek, który utracił wszystko. Chicago, Barcelona, szkoła sztokholmska, praktyka w Nyköping, chata nad Vat-ten, wszystko to przesuwało się wstecz jak postacie na peronie, kiedy odjeżdża się pociągiem; przesuwało się wstecz na tle poczekalni, bufetu, ubikacji; pozostawało w tyle, nie wsiadło do pociągu. Pomyślał: - Wczoraj wieczorem było mi przyjemnie. Nigdy nie czułem się taki wypoczęty. Teraz mogę spojrzeć w przyszłość.

Gdy przechodził koło okna w drodze do drzwi, znów zaskoczył go widok fontanny. Ale nieoczekiwanie dla siebie tym razem popatrzył na nią z przyjemnością - na tę wielką obrobioną bryłę zielonego kamienia. To nie była przeszłość, to coś wymuskanego i wykończonego w każdym calu, ta rzeźba istniała w czasie teraźniejszym, ten kształt wydobywał się z kamienia na zewnątrz. Przyjemność trwała zaledwie chwilę, ale pozwoliła mu zapomnieć o fontannie. Pomyślał: - W przyszłym tygodniu Ameryka, a potem możemy naszyć naprzód, żaden kryzys nam nie zaszkodzi. I nagle ogarnęło go politowanie: - Tę jasność, to długie i zawile równanie, którego niewiadomą nareszcie mogę dojrzeć, nazywają oszustwem.

I przez całą drogę w górę w szklanej kabinie windy, aż pod dach do pokoju ciszy, nie opuszczała go czysta, nadludzka radość.

### III

Kate starannie przeczytała całe memorandum. Początkowo nic jej ono nie mówiło. O A.C.U. nie wiedziała nic poza tym, że jest to najlepiej prosperujący kombinat papierniczy w Szwecji. Była to jedna z najkorzystniejszych inwestycji Krogha, której dokonał na własną odpowiedzialność, nie konsultując się z dyrektorami. Inwestycja czysta i prosta, lokata nadwyżki kapitału i przekazanie jej w ręce Batterso-na nie miało żadnego znaczenia. Sprzedawał z korzyścią swoje wpływy po to, żeby ich użyć gdzie indziej. Jakiż tu powód do zmartwienia?

A mimo to Kate martwiła się. Niepokoiły ją te krótkoterminowe pożyczki. W tym nieustannym przesuwaniu niewielkich części kapitału było coś nieczystego, raziło ją to w taki sam sposób, jak kurz na lustrze. Człowiek chce, żeby jego odbicie było czyste. Ktoś zapukał do drzwi. Na pewno wszystko jest w porządku, pomyślała, solidne - te biura ze stali i szkła, rzadkie gatunki drewna, osiemnastowieczna tapeta w sali jadalnej dyrektorów, fabryka w Nyköping, ta waza pełna kosztownych kwiatów. Pomyślała o A.C.U. W memorandum podano cyfry: 350 000 ton produkcji rocznie, z czego 200 000 ton na eksport; współpracujące papiernie; mechaniczny przerób pulpy 300 000 ton, chemiczny 1 000 300 ton; współpracujące tartaki; przepustowość kanałów dla spławu drewnianych

bali 15 000 mil, spław roczny 50 000 000 bali. Czyż może być coś bardziej realnego.

- Powitaj zbłąkanego brata - powiedział Anthony.

Kate podniosła oczy. To jest bardziej realne, pomyślała, tamto to były cyfry, a widziałam, czego Krogh potrafi dokonać z cyframi, a to dotyczy mnie samej. Anthony uśmiechnął się do niej.

- Spóźniłem się. Czy wielki człowiek jest zły?

- Co nowego? - spytała.

Anthony nadrabiał miną, ale był przygnębiony. Przyglądał piórka przed lustrem Kate w oczekiwaniu, że siostra domyśli się, skąd wraca. To on miał w sobie tę słabość, jaką powinna była mieć ona, ten brak zdecydowania, próżność, pełną uroku porywczosć i brak premedytacji. Nigdy nie byli sobie tak bliscy jak teraz, kiedy miała go w tym samym pokoju, pełnego kontrargumentów, wymówek i uników. Gorzko pozazdrościła kochankom, że ich jedność może być jeszcze pełniejsza.

- Widziałem się z Lu.

- Co za Lu?

- Córka Davidge'ów.

- To widać, tego nie potrzebujesz mi wyjaśniać - powiedziała Kate - zostawiła ci puder na płaszczu.

- Ona chce, żebym stąd odszedł. - Potem dodał niepewnie: - Ona nie uważa, żeby to była przyzwoita praca.

Z wdziękiem oparł się o jej biurko: Kate przyszło na myśl, że jeżeli jako para mieli jakieś zasady moralne, to on wnosił je do tej spółki. W lustrze za jego plecami widziała swoją twarz: blady, nieskazitelny profil, podłużne powieki łagodzące twardość spojrzenia, co pozwalało przypuszczać, że może w decydujących momentach nie starczyłoby jej energii, aby do końca być bezwzględna. Dobra prezencja i zasady, pomyślała, oto ozdoba naszej klasy. Jesteśmy skończeni, zbankrutowaliśmy, należymy do przeszłości, brak nam zarówno cha-



rakteru, jak energii do czegoś więcej, jak tylko wyciskanie, ile się da, z czegoś nowego, czego można się ucześcić. Krogh wart jest więcej niż my oboje - popatrzyła jednak na pełną wdzięku postawę Anthony'ego, na wywatowane ramiona jego nowego płaszcza: nie ma ratunku na miłość własną.

- No cóż - rzeki Anthony - coś jest w tym, co ona mówi. Nie jestem pewien, czy to odpowiednie zajęcie dla... no, wiesz, co mam na myśli.

- Ba, gdybym to wiedziała.

- No, do licha, jeżeli już muszę użyć tego określenia, to dla dżentelmena.

- Nie rozumiesz - powiedziała Kate. - To nasza jedyna szansa.

- Nie myślę o twojej pracy. To co innego.

- To nasza jedyna szansa - powtórzyła Kate. - Poza Kroghiem nie mamy przyszłości. Tu jest nasza przyszłość.

- No, chyba jednak posunęłaś się za daleko - oświadczył Anthony. - W końcu tutaj jesteśmy cudzoziemcami.

- Nie przesadzaj, nie przesadzaj, jesteśmy do szpiku kości Anglikami. Zresztą kwestia przynależności narodowej już nie istnieje. ECrogh nie myśli w kategoriach granic. Jeżeli nie uda mu się podbić całego świata, znaczy to, że poniósł klęskę.

- Minty wspominał o krótkoterminowych pożyczkach - powiedział Anthony.

- To chwilowe.

- Mówisz, że musiał je już zaciągnąć? - dopytywał się Anthony. - Więc aż tak krucho u niego z forszą? To źle pachnie. Uważasz, że nic nam nie grozi? Co do mnie, jestem za tym, żeby wiać. Nie wierzę w żadne Eldorado.

- Nie wyobrażasz sobie chyba, że możemy pokonać Krogha - powiedziała Kate. - I cóż to znaczy przynależność narodowa? Co się pod tym kryje? Tylko my, pasożyty, zakurzone kantorki, w których pracowałam, Hammond, twoje puby, pokoik na Edgware Road, twoje przygodne znajome z Hyde Par-

ku. - Rozmyślnie odrzucała myśl, że w owej biednej angielskiej przeszłości była jednak pewna uczciwość, bez której obywa się obecna kosmopolityczna terażniejszość. Nie było to może nic wielkiego, ale przynajmniej klasa, z której oboje się wywodzili, miała kiedyś wrażliwość i dobroć.

- Ale to ojczyzna, dom - upierał się Anthony. Uniósł swoją drobną, chłopięcą twarz z wyrazem osamotnienia. - Nie rozumiesz, Kate. Zawsze ci się podobała nowoczesność, ta fontanna.

- Mylisz się. Dla mnie tu także jest dom. Ogarnięta uczuciem beznadziejności, wyciągnęła do niego ręce przez całą szerokość biurka. - To jesteś ty. Póki mam ciebie, nawet tu zachowałam dom. To ty. Anthony, jesteś moim barem dla pań, moim cholernym porto.

- Oczywiście - mówił dalej Anthony, podążając za tokiem własnych myśli i nie zwracając na nią najmniejszej uwagi - ty masz słabość do Krogha.

- Nigdy go nie kochałam. Musiałabym nim pogardzać, gdybym go kochała. Co komu przyszło z miłości. Nie można jej zdefiniować. Trzeba mieć coś, o czym można myśleć, nie tylko to, co się czuje. Krogh myśli cyframi, nie ma w stosunku do ludzi żadnych nieokreślonych uczuć.

- A jednak wczoraj wieczorem był zupełnie ludzki - stwierdził Anthony. - Zostaw go mnie. Już ja się zajmę jego edukacją.

- Na litość boską - zirytowała się Kate. - Czyż i jego mam ratować, tak jak ciebie?

- Ja go uczłowieczę. - Anthony był beznadziejny, nie potrafił zrozumieć, o co jej chodzi. - Nie sądzę nawet - mówił - żeby on znał swoich ludzi. Gadałem z tym i owym. Z takim jednym młokosem w dziale reklamy. On nawet nigdy nie widział Krogha. Sama rozumiesz, to zniechęca. Kierownicy mają za wielką władzę,

- Wygląda na to, że ci naopowiadali różności - powiedziała Kate.

- Ci, co mówią po angielsku. Wydaje im się, oczywiście, że ja mogę im pomóc. Wiedzą, że jestem z nim w dobrych stosunkach.

- Oczywiście wiedzą to od ciebie?

- No cóż, człowiek lubi być lubianym.

- Teraz muszę iść do Erika - powiedziała Kate. - Czy możemy razem zjeść lunch? Mogę ci pokazać restaurację...

- Przykro mi, staruszko - odparł Anthony - ale... wiesz, jak to jest. Obiecałem, że jeżeli Krogh nie będzie mnie potrzebował, zjem obiad z tatuśkiem i z mamuszką.

- Z tatuśkiem i z mamuszką? - I dodała szybko: - Och, jasne, przepraszam. Jestem przepracowana. Wiem, o kim mówisz. - Ale nadal nie była wystarczająco domyślna, co wywołało u niego irytację.

Anthony wyjaśniał zniecierpliwiony:

- Wyjeżdżają pod koniec tygodnia. Muszę grać uprzejmego. Muszę im pokazać, gdzie się tu jada.

Kate pomyślała ze smutną rezygnacją: - A ja obiecywałam sobie, że to ja go będę oprowadzać.

- A wiesz przynajmniej, gdzie się tu jada?

- O tak - odpowiedział. - Słyszałem o pana miejscach. Gadałem z facetami stąd. Podobali mi się.

- Musiałeś narobić mnóstwo znajomości.

- Człowiek lubi być lubianym - powtórzył przepraszająco. - Nie dzwonił przypadkiem ten stary Hammarsten?

- W jakiej sprawie?

- Wczoraj w Tivoli Krogh obiecał mu forszę na wystawienie jakiejś sztuki Szekspira. Tej o Gowerze.

Kate spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Pieniądze na sztukę? Teraz? - natarła na niego: - To ty maczałeś w tym palce? - roześmiała się. - Jak mogłeś? - Przyjrzała mu się jednak ukradkiem. Anthony to była słabość, ale słabość może mieć wielką siłę. Wspomniała jego pierwszą posadę w biurze w Wembley i ten list do ojca, który

przejęta nie dlatego, żeby dbała o spokój ojca, ale po to, żeby wersja, jaką stworzy sam Anthony, nie spotkała się z ostrym sprzeciwem. Anthony jest zdolny, pisał dyrektor naczelny, ma wspaniałą pamięć do cyfr i on nie ma mu właściwie nic do zarzucenia, poza tym, że demoralizuje całe biuro. - Jak mogłeś — powtórzyła i dotknęła jego rękawa; miał mokry ptaszcz. Odsunął się od biurka, żeby ją przepuścić, i Kate dostrzegła ślad, jaki zostawił na gładkiej powierzchni blatu, wytarta go do sucha ręką. Wyglądał jak rosa. - Wpadłeś do jeziora? - zapytata.

- Była gęsta mgła. Umówiłem się z Lu przed śniadaniem.

- Powinieneś wziąć cynamon i chininę - oświadczyła. - Od czasu tamtego zapalenia masz słabe płuca.

- Przestań - zirytował się Anthony. - Za dużo o mnie wiesz, Kate. Zupełnie, jakbyś była moją żoną.

- Przepraszam. Dawno już nie przebywaliśmy razem. Mam nadzieję, że teraz jesteś silniejszy. Wielu rzeczy o tobie nie wiem. Nie wiedziałam, na przykład, że dobrze strzelasz. - Ustąpiła; duma na nic się nie zda; siłą nie zwalczy tej żalosnej, uporczywej słabości. - Zjedz ze mną lunch jutro. Jest tyle spraw... o które chcę... - nie, nie pytać, nie wolno mi używać słowa „pytać” - ...o których chcę, żebyś mi opowiedział. Te pocztówki i jeden wieczór w Göteborgu to niewiele. Na ogół wiedzieliśmy o sobie więcej.

Zupełnie jak wtedy, w tamtym kącie w klasie, pomyślała, kiedy stałam nasłuchując tego krzyku. Ale wówczas nie to było ważne, czy się oboje dobrze znają, wtedy miała wrażenie, że nosi w łonie jakieś monstrualnych rozmiarów dziecko, które potrafi głośno krzyczeć, śmiać się i płakać. Chętnie by się wówczas zgodziła na spędzenie płodu, ale czy tak czuje się kobieta po udanym zabiegu? Nic już nie boli, nic się nie insza, nie ina powodu do obaw ani do nadziei, spokój, którego nie sposób odróżnić od rozpacz.

- Przykro mi, Kate, ale obawiam się, że jutro... w końcu -

dodał kwaśno - będziesz mnie teraz miała całe lata. Daj Lu szansę.

- W porządku - powiedziała Kate. - Zerezerwuj dla mnie dzień, dwa w przyszłym tygodniu.

- Wezmę cynamon i chjninę - zgodził się Anthony. Nagle starał się usprawiedliwić. Wyciągnął z wazonu na jej biurku jeden kwiat i powiedział: - Przypnij go sobie. Pasuje do twojej sukni. Masz szpilkę?

- Nie noszę kwiatów w biurze - odparła Kate. Wychodząc obejrzała się i zobaczyła, jak Anthony wkłada

sobie kwiat do butonierki. Było szczytem jej marzeń mieć go tutaj, zadomowionego przy jej własnym biurku, „dom z dala od domu”. Wyszło słońce, mgła otaczająca fontannę podniosła się, w szklanym korytarzu, gdzie czekała na windę, było duszno. Próbowwała odzyskać pewność siebie niewesoło żartując... „dom z dala od domu”. Nie miała jednak równych szans, nie potrafiłaby wbudować jego Londynu w szklane ściany zakładu Krogha, tak jak gospodyni wynajmująca pokoje nad morzem potrafi stworzyć Birmingham za pomocą koralików, ozdób nad kominkiem i wykutej w brązie kraty kominkowej. I nie zrobiłaby tego, nawet gdyby mogła; teraz pragnęła dla niego zabezpieczenia; Anthony zarzucił jej, że „zawsze podobała jej się ta nowoczesność”, a ona zaprzeczała, jedynie na pół zgodnie z prawdą. Prochy sprawiedliwych przodków chwyciły za serce, ale rozum bez reszty opowiadał się za terażniejszością, za tym skradzionym dniem, tym odczłowieczeniem; przypominała ciemny tunel łączący dwa różne krajobrazy, po jednej stronie stłoczone domy, na podwórkach rozwieszane pranie, rozpadające się skrzynki na kwiaty, a po drugiej...

Zapukała do drzwi i weszła. W pokoju wybitym dźwiękochłonną beżową wykładziną na sońé leżał Erik.

- Co się stało, Kate? - zapytał. - Usiądź.

W pomieszczeniu nie było telefonu, nie było obrazów, nie było stołu, jedynie fotel dla sekretarki.

- Jestem trochę zaniepokojona - wyznała Kate,
- Czym?
- Te krótkoterminowe pożyczki.

Była mu wdzięczna za to, że jej nie wyśmiał; potraktował jej słowa równie poważnie, jakby wypowiedział je podczas konferencji ktoś szczególnie uprzywilejowany. Poczwała nagle litość, jaką się odczuwa w stosunku do osoby, którą się bezlitośnie „wykorzystało”. Wykorzystywała go od samego początku, od tego pierwszego dnia w kantorze Hammonda; poznała jego potrzeby i zaspokajała je nie w innym celu, jak tylko po to, by osiągnąć ten właśnie sukces: Anthony na dole „gada z tymi facetami”, ofiarowuje jej własny kwiat. Anthony się zadomawia.

- Wiem - powiedział Krogh - to nie są łatwe dni. Wszyscy czujemy to samo.

- Ale czy jesteśmy bezpieczni?

- Całkowicie, dopóki nie stracimy głowy... i będziemy trzymać język za zębami.

- A ta darowizna dla Hammarstena? To ma być to nietra-cenie głowy? Czy możesz sobie teraz na takie gesty pozwolić?

- Dwadzieście tysięcy koron to nie tak znów wielka suma, możemy sobie na to pozwolić. Reklama warta jest sumy pięć razy większej. To właśnie moment odpowiedni na wydawanie pieniędzy. Zamówiłem jeszcze dwa auta. Poprzednie można będzie sprzedać, jak tylko dostarczą nowe. Rób zakupy, Kate, spraw sobie coś nowego.

- Reklama?

- Nie zdajesz sobie sprawy, jak nas obserwują.

- Dlaczego ludzie są tacy ciekawi? Kiedy kupuję szczoteczkę do zębów...

- Ty wiesz lepiej. Nie bardzo znam się na ludziach.

Tak, ona chyba wiedziała: stopień zagrożenia wpływa na ludzi. Nie zazdrościli mu bynajmniej jego pieniędzy ani też nie był to z ich strony świadomy protest przeciwko międzyna-

rodowym planom Krogha - coraz bardziej tylko potrzebowali sensacji, aby móc nie myśleć o zagrożeniu własnym; trzeba im było morderstwa, wojny, krachu finansowego, a nawet finansowego sukcesu, byle był wystarczająco sensacyjny. Mąciła jej spokój myśl o olbrzymiej, bezosobowej presji wywieranej na każdego potężnego człowieka przez ultimatum, telegramy, slogany i wielkie dywidendy wypłacane bez zabezpieczeń, skłaniającej go do szukania sensacji kosztem bezpieczeństwa. Jedynie ktoś całkowicie odizolowany od opinii otoczenia i pozbawiony życia prywatnego może przeciwstawiać się temu naciskowi. A jej brat chciał z niego zrobić człowieka.

- Martwi mnie też ta sprzedaż Battersonowi. A.C.U. jest pożyteczne. Po co się go teraz wyzbywać? To przecież solidne przedsiębiorstwo. - Uderzył ją błysk lekkomyślności w jego oczach; był podekscytowany, zamyślał coś nad wyraz przewrotnego. Dodała: - Wiem, że to solidne przedsiębiorstwo. Przeglądałam dane.

- Nawet A.C.U. potrzebuje kapitału - stwierdził Erik.

- Ależ A.C.U. ma kapitał. Inwestycje mają pokrycie.

- Dyrektorzy - powiedział Erik - skapitalizowali inwestycje. Kapitał A.C.U. został obecnie zainwestowany w naszą filię amsterdamską.

- Rozumiem - powiedziała Kate.

- Jesteś bystrzejsza od Halla.

Od początku przewidywałam, że ten moment nadejdzie, pomyślała, moment, kiedy ominiemy prawo i ruszymy na nowe podboje. Wydało jej się to dziwnie nieważne. Człowiek zawsze przewiduje naprzód te nie kończące się pożegnania, łzy wylewane na nabrzeżach, ostatni rzut oka na odpływający statek. Pozostawało jeszcze jedno tylko pytanie:

- Czy to bezpieczne?

- Prawie bezpieczne - odparł Erik. Ufała mu bezgranicznie; jeżeli jego zdaniem, było to prawie bezpieczne, nie pozo-

stawało już nic do powiedzenia. Nie można wybredzać i wykazywać braku przedsiębiorczości, kiedy jest się odpowiedzialnym za kogoś, kogo się kocha. Erik dodał: - Bądź przygotowana, że niektóre czeki i pozycje w naszych księgach zostały antydatowane.

- Oczywiście - powiedziała Kate. - Czy jest coś, co mogłabym zrobić?

- Nie, wszystko jest załatwione. - Wstał. - Wiesz co, Kate, miałas rację co do tej fontanny. Podoba mi się. - Położył rękę na jej ramieniu. - Jesteś bystrzejsza od Halla. Hallowi ona nigdy się nie podobała.

Czuła niepokój przenikający w nią przez czubki jego palców. Powiedziała:

- Nie jesteśmy bezpieczni.

- Będziemy bezpieczni po sfinalizowaniu transakcji amerykańskiej - rzekł Erik. - Za niecały tydzień. Teraz jeszcze nie jesteśmy bezpieczni, choć strajk został zażegnany.

- Chcesz powiedzieć, że może się stać coś jeszcze?

- Przez parę dni musimy bardzo mieć się na baczności. Widzisz, jak ci ufam - dodał. - Znamy się już ładnych parę lat, Kate. Czy chcesz zostać moją żoną?

- Rozumiem, żona w razie czego może odmówić składania zeznań jako świadek? Czy w Szwecji przestrzega się tego tak samo jak w Anglii?

- Nic nam nie grozi w Szwecji. Myślę o Anglii.

- To uprzejme z twojej strony, że nie udajesz zakochanego.

- Jesteśmy oboje ludźmi interesu - powiedział Erik.

- Będę chciała zabezpieczenia majątkowego.

- To oczywiste.

- A także czegoś dla Anthony'ego.

- Lubię go. To bystry chłopak. On mi się podoba, Kate.

- A zabezpieczenie?

- Zgoda.

- Szkoda - powiedziała Kate - że nie możemy antydatować

**13. Made in England 193**



małżeństwa tak jak tych czeków. - Uśmiechnęła się. - Anthony się ucieszy. Anthony'emu strasznie zależy na przyzwoitości... -Anthony, Anthony'emu. Z ust nie schodziło jej to imię; jak gdyby nie wychodziła za mąż za Erika, lecz za Antho-ny'ego; Erik stał przy niej jak starszy druhna w zakrystii. Anthony jest zabezpieczony, pomyślała. Naprawiłam krzywdę, jaką wyrzodziłam, odsyłając go z powrotem z tej stodoły na drogę ugody, konwencji i podporządkowania. Próbował się wyłamać, a ja odesłałam go z powrotem. Teraz znalazłam dla niego wyjście. Do samozadowolenia dołączył się jednak żal -mimo woli przypomniawszy sobie Bedford Pałace, jabłka, które zjedli po to, żeby zabić zapach alkoholu. Wierzyła w nowy świat bez granic, z akcjami Krogha na każdej giełdzie, wierzyła w bezzasadność skrupułów tam, gdzie szło o zdobycie rzeczy najbardziej upragnionej - bezpieczeństwa, ale dawne prawa uczciwości i stare, pokryte kurzem niedostatki z Morning-ton Crescent przemawiały jej ustami, gdy powtarzała -.Anthony się ucieszy". - Kiedy to nastąpi?

- Poczekajmy dzień, dwa - powiedział Erik - zobaczymy, jak potoczą się sprawy. Jeżeli sprzedaż A.C.U. pójdzie gładko - zawahał się nieznacznie - nie będziemy musieli się spieszyć.

Kate czuła do niego niemal miłość. Nawet teraz, kiedy jego księgi handlowe zostały w nieuchwytny sposób sfałszowane, był wobec niej taki niezdarnie uczciwy. Często dowiadywała się z pogłosek, jakie to sumy musiał płacić szantażystom, po raz pierwszy ona sama, gdyby zechciała, mogła go szantażować. Ale nie chciała; wykorzystwała go i rachunek zostanie wyrównany, jeżeli teraz ona pozwoli się wykorzystać.

- Mnie w każdym razie możesz ufać - powiedziała.

Skinął głową; zawsze wszystko, co mu powiedziała, przyjmował chętnie za prawdę; nie przepuściłby w ten sposób ani jednej kolumnie cyfr, sprawdziłby je, wszystkie po kolei, bez względu na to, jaki księgowy zrobił to już przed nim. Ujęła je-

go rękę i pocałowała; czuła litość dla tego człowieka, który stał oto przed nią w tym pokoju odizolowanym od świata zewnętrznego, gdzie nikomu nie wolno było zakłócać mu spokoju.

- Drogi Eriku - powiedziała - idę wszystko to zakomunikować Anthony'emu - i wyszła. Zjeżdżając windą, nie wiadomo dlaczego przypomniała sobie tramwaj z zepsutymi hamulcami, który widziała przechodząc Mostem Północnym: szkło i stal, i twarz motorniczego, jego rękę na korbie i snopy iskier widoczne za szybą. Przemknął obok niej w ciemności i po migotaniu światła poznała, że coś jest nie w porządku. Przemknął obok niej, owładnięty pasją, jasny, szybki i pozbawiony kontroli. - Pogratuluj mi - powiedziała na głos w windzie - wychodzę za mąż. Anthony, wychodzę za mąż. - I pomyślała w nagłym przypływie łaskawości: - Może tak właśnie odczuwa to Erik, jakby coś zsumował, wyciągnął pierwiastek kwadratowy i znalazł odpowiedni logarytm. Powtórzyła to w drzwiach własnego pokoju: - Wychodzę za mąż, Anthony.

- Za kogo, Kate? - zainteresował się Anthony. Szybko podniósł wzrok; siedział przy jej biurku i znów poczuła wilgoć, biurko nosiło jej ślady w miejscach, w których oparł o nie łokcie.

- Za Erika, oczywiście. Za kogóż by innego?

- Nie - zaprotestował Anthony - nie możesz tego zrobić. Teraz spostrzegła, że Anthony czytał dokumenty leżące na

biurku - otworzył nawet telegram, który przyniesiono w czasie, kiedy jej nie było.

- Jak śmiałeś, ty nędzny oszuście!

- On się z tego tak łatwo nie wykręci - stwierdził Anthony.

- Nie rozumiem cię.

- Och - powiedział Anthony - możesz mi wierzyć w tych sprawach. Mam nosa do cyfr. Umiem liczyć. - I dodał z powagą sztubaka: - Doprawdy, Kate, są granice, których nie wolno ci przekroczyć. Odkryłem je, możesz mi wierzyć. On

już za to odpowie. Batterson nie od wczoraj żyje na tym świecie.

- Podobnie Erik.

- Lu miała rację. To nie jest przyzwoity interes.

- Oddaj mi ten telegram.

- Masz - powiedział Anthony - możesz sobie to wszystko obejrzeć. Krogh łąta Amsterdam tym A.C.U. To jasne jak słońce.

- Nie potrzebujesz mi tego mówić - powiedziała Kate. -Wiem o tym równie dobrze jak ty. Łącznie z antydatowanymi czekami.

- Antydatowane czekil - Anthony gwizdnął. Jego powaga prysła. Powiedział: - I pomyśleć, że Krogh..., a my o tym wiemy.

- Musisz to zachować dla siebie.

- Będzie się musiał zatroszczyć, by nam się to opłaciło, Kate.

Zawsze przypuszczałam, że to właśnie nas różni, pomyślała, że nie istnieje nic takiego, czego ja bym dla niego nie zrobiła, ale istnieją rzeczy, których on nie robi ani dla mnie, ani dla siebie. Uśmiechnęła się z czułością, złość już jej przeszła. Nie miała okazji przekonać się do tej pory, co to za rzeczy. Myśl, że po tych wszystkich latach istnieje jeszcze coś, czego nie wie o Anthonym, sprawiała jej głęboką przyjemność.

- Anthony - powiedziała - nie mam zamiaru go szantażować. Wychodzę za niego za mąż.

- Ależ, Kate, ty go nie kochasz.

Był niepoprawnie konwencjonalny, beznadziejnie niewinny, myśl o szantażu w nie większym stopniu obciążała jego sumienie niż kradzież śliwek. Kate przeraziła taka niefrasobliwość, Anthony nie zdawał sobie sprawy z sytuacji, potrzebował opieki. Dla niego, pomyślała znowu, zrobiłaby wszystko, zgodziłaby się nawet na szantaż. Odmówić mu czegokolwiek w jej odczuciu znaczyłoby zmącić to absurdalne

szczęście, jakie dawał jej fakt, że go odnalazła. Wy tłumaczyła mu więc łagodnie:

- To jest swego rodzaju szantaż. Krogh ma zrobić pewien zapis.
- Ty go nie kochasz - upierał się jednak Anthony.
- Kocham ciebie.
- Nie o to chodzi.

Anthony był przejęty i zmieszany, wymamrotał coś na temat „dzieci” i zarumienił się ze wstydu.

- Sterylizowałam się - powiedziała Kale - możesz się nie obawiać. - A widząc jego zmieszanie, dodała z rozdrażnieniem i rozpaczą: - Nie chcę dzieci, nigdy ich nie chciałam. - I poczuła, jak ciało jej wypręży się, by go przyjąć. - Ty jesteś taki konwencjonalny, Anthony. - I pomyślała: - Dziecko w moich wnętrznościach nie mogłoby mi być bliższe, niż my byliśmy bliscy sobie, a oto gdzie jest teraz Anthony i gdzie już wszystko pozostanie, Anthony zarumieniony, zmieszany, mój Boże, pełen pruderii i niepamięci wobec tego, czego się nie chce pamiętać.

-Taka strata - powiedział, odpowiadając jej spojrzeniem, sploniony, dziecinny, nie znajdując słów. Kate oczekiwała, że powie coś o miłości uczciwego człowieka. Ale każde z nich myślało o czymś innym. Strata, o której on mówił, nie odnosiła się do niej, chodziło mu o to, że tracili taką okazję. - Nigdy już może się nie trafić taka szansa. Moglibyśmy wycisnąć z niego ładną sumkę i zniknąć. Ba, zdążylibyśmy jeszcze dziś na nocny pociąg. Jutro w Góteborgu. Bylibyśmy w Londynie w sobotę, akurat, żeby pójść do Twickenham. - I dodał: - Moglibyśmy, Kate, wpaść do Stone'a na kotlet i kufel dubeltowego. Mam nadzieję, że mojego pokoju jeszcze nikt nie zajął. Gospodyni znalazłaby jakieś lokum dla ciebie. Nie musielibyśmy szukać pracy, Krogh zapłaciłby nam dobrą cenę.

Przyglądała mu się zafascynowana. Wyglądało to niemal tak, jakby i on zdolny był zrobić prawie wszystko, ale wie-

działa, że gdzieś na tym prostym stalowym torze, po którym tak szybko mknęły jego myśli, paliło się bez przerwy czerwone światło; gdzieś się zatrzyma, zawaha, wszystko spartaczy. Nie był na tyle pozbawiony skrupułów, żeby mu się mogło udać. To nie była ta klasa co Krogh.

-To nic trudnego, Kate. Po prostu będzie nam musiał zapłacić, ile zechcemy. Jeżeli odmówi, wygamam wszystko Min-ty'emu i nawet wtedy zarobimy na powrót do kraju, a poza tym masz pewno trochę oszczędności.

- Nie miałbyś nic przeciwko temu, żebym cię utrzymywała? - zapytała z ciekawością. Myślała, że sięga ostatecznych granic jego zamiarów, ale kiedy Anthony bez wahania zaprzeczył („ostatecznie - oświadczy! - jesteśmy rodzeństwem”), poczuła się znużona jak wędrowiec, który przekonał się, że jego mapy znów okazały się mylące. Czyż możliwe, że przeceniła prostotę tego tak tkliwie ukochanego, konwencjonalnego umysłu?

Anthony podniósł się z za biurka z telegramem w rękę.

- Pójdę do niego zaraz.

- I co mu powiesz?

- Najlepiej prosto z mostu.

- Nie, Anthony, nie - rzekła Kate. - Pozwoliłam ci tylko pomarzyć. Nie możesz szantażować Erika,

- Dlaczego nie? - zdziwił się. - Nie umiesz wyczuć dobrej okazji.

- Po prostu dlatego nie, że jesteś za mało sprytny. Nie byłoby cię tutaj w tej chwili, gdybyś miał tyle rozumu, ile trzeba, żeby szantażować Erika. Och, Anthony - dodała - cóż z nas za para. Jakże cię kocham. Gdybyś tylko miał spryt, gdybyś tylko tak nie zważał na to, co przyzwoite, a co nie... - nie dokończyła, pomyślała o tamtym sobotnim poranku w Tilbury, długiej podróży powrotnej do domu, szylingu w automacie gazowym i niebieskim płomyczku czekającym na podgrzanie tostów i herbaty. Wyciągnęłam go stamtąd, pomy-

ślala, a on, gdziekolwiek wchodzi, wnosi ze sobą tamto wspomnienie jak człowiek obnoszący na piersiach i plecach reklamę jakiejś wzruszającej, taniej melodyjki: oto Anthony wybawiony od siebie samego, a ona bez niego jakby okaleczała. Jakiś biały ptak uderzył w okno, załomotał dziobem w szkło firmy Vista i opadł w dół na rozpostartych skrzydłach, jak ptak oglądany z okna samolotu, który go wyprzedza. Tutaj, powtarzała sobie wciąż od początku, jest bezpieczeństwo, przyszłość, musimy je zdobyć. Koniec z przeszłością. Za bardzo żyjemy przeszłością.

- Zaufaj mi - powiedział Anthony.

- Nie z nim - odparła ze smutkiem. - W porównaniu z nim, mój drogi, jeszcze nie wyrosłeś z pieluch. Nie myślisz chyba naprawdę, że możesz zmierzyć się z Kroghiem. Załatwi cię, zanim zdążysz otworzyć usta. Wpakuje cię do więzienia, nie cofnie się absolutnie przed niczym. Narazisz się. No i po co ci to teraz, kiedy mamy dostać tyle, ile nam trzeba, zapis...

- On nie jest wystarczająco dobry dla ciebie. Kate - powtórzył z uporem Anthony. Wciąż jeszcze, co było widoczne, nie dawały mu spokoju takie problemy, jak małżeństwo bez miłości i bezdzietność. Ale z tamtej szansy zrezygnował, zrezygnował z niej z wdziękiem i uprzejmie, tyle że rzucił jeszcze spojrzenie na biurko z myślą o tych antydatowanych czekach, telegramie, sprzedaży Battersonowi. - Oczywiście, Kate, do ciebie należy ostatnie słowo. - W jego olśniewającym uśmiechu dostrzegła już narodziny jakiegoś nowego pomysłu. - W każdym razie musimy to dziś oblać.

- Nie ogłaszamy tych zaręczyn.

- Głupstwo. Krogh musi zaprosić. Wiesz co, Kate? Zadzwoń do zarządzającego hotelu w Saltsjöbaden, zamów stolik i powiedz, kogo ma oczekiwać.

- Erik nie pojedzie.

- Jeżeli udało mi się zaciągnąć go do Tivoli, zaciągnę go i do

Saltsjobaden. Idzie o to, że możemy mieć niezłą prowizję z tego obiadku. Poproś o sto koron. Kate podeszła do telefonu.

- O wszystkim pamiętasz, Anthony.

- Zaczekaj chwilę. Rachunek musi być na sto pięćdziesiąt albo Krogh spędza wieczór w operze.

- Saltsjobaden trzydzieści dwa... - mówiła już Kate.

## **Część piąta**



## I

Miody Andersson w tej samej chwili, kiedy usłyszał słowa sąsiada, zdjął rękę z dźwigni i zsunął nogę z pedału krajarki Krogha. Skórzany pas szarpnął klap, klap, klap i maszyna stanęła; na ruchomym transporterze doprowadzającym surowiec natychmiast wytworzył się zator. Sąsiad krzyknął na Anderssona, ale on na nic nie zważał. Nie miał zbyt tęgiej głowy, nie potrafił też formułować zdań. Zostawił krajarkę i przejściem pomiędzy maszynami ruszył w stronę szatni. Piętro wyżej zapchała się jedna z komór suszarni, transporter utkwiał w swoim łożysku; w sali położonej w głębi elektryczna piła tak wysoko zawałiła transporter kłocami drewna, że spadły na podłogę. Człowiek podający maszynie drewno nie ustawa! - była to jego praca i nie miał pojęcia, co mógłby robić innego, toteż wieść o zatorze nie dotarła do hali, w której wyładowywano bale. Robotnicy nadał zdejmowali po jednym z haka, który je prznosił z ciężarówek czekających w długiej kolejce na podwórzu.

Miody Andersson zdjął swoje robocze spodnie. Awaria jednej maszyny niewiele znaczyła na tle ogólnego hałasu w hali, którą opuścił, ale długa zażyłość z tą właśnie krajarką przyzwyczaiła go do powtarzającego się lekkiego kaszlu w jej wyciu. Nie słyszał go teraz. Przez moment twarz mu się zasepiła - zawsze do tej pory co sześć sekund słyszał ten kaszel. Nie

mógł sobie uzmysłwić szkody, jaką spowodował; widział suszarnię, a także jednego ze swoich przyjaciół obsługującego którąś piłę, ale nie miał pojęcia, co działo się dalej, nie wiedział nic o halach, gdzie wyładowywano bale, nie wiedział o tych ciężarówkach, skąd przyjeżdżały. Przez szatnię przeszedł w drodze do ubikacji jeden z robotników z jego zmiany. Młody Andersson obejrzał się za nim. Tamten szedł szybko z pochyloną głową; podniósł rękę i ktoś inny zajął miejsce przy jego maszynie - wolno mu było wyjść na cztery minuty, gdyby zabawił dłużej, wyrzucono by go z pracy. Młody Andersson wziął ze swojego wieszaka kurtkę i opuścił szatnię. Musiał przejść przez jeden koniec maszynowni; z głębi hali zbliżał się robotnik z bańką smaru, w łożysko z lewej strony każdej maszyny wsącza! gęsty czarny smar; po drugiej stronie, w głąb hali oddalał się robotnik z podobną bańką. Obaj tak dokładnie znali położenie łożysk, że nie potrzebowali do tej pracy oczu - parę kroków i ruch dłoni, parę kroków i ruch dłoni.

Robotnik z bańką nadchodzący z głębi hali spojrzał na Anderssona zdumiony, wykonał niepewny ruch bańką i na wygładzonej stalowej posadzce zostawił parę kropel smaru, podobnych do śladów łapki jakiegoś zwierzątka; popatrzył, jak Andersson wychodzi. Andersson szedł po spiralnych schodach zapasowego wyjścia na podwórze. Bał się czekać na windę widoczną z maszynowni. Jego pamięć zatrzymała twarz tego robotnika: to zmęczenie, zdumienie i zazdrość. Przeszedł przez podwórze do bramy, przy której rejestrował w zegarze swoje przyjscia i wyjścia. Portier niechętnie otworzył mu bramę. „Chory - powiedział młody Andersson. - Chory”. Nie musiał udawać choroby, bladość i lekko z przyzwyczajenia zgarbione plecy mówiły za siebie i za to nowe zmartwienie, które malowało na jego twarzy niepokój, jak na twarzy rekruta siedzącego po raz pierwszy w siodle. Bramy fabryki otwarły się przed nim.

Na widok zupełnie pustej, długiej, wyasfaltowanej szosy między wysokimi drewnianymi ogrodzeniami poczuł się obco. Jedna strona szosy leżała w cieniu, daleko przed nim ogrodzenia urywały się i w blasku popołudniowego słońca stało kilka srebrnych brzoź. Młody Andersson zaczął biec wzdłuż szerokiego na dwie stopy skrawka cienia. To nie jest w porządku, myślał ze zdumieniem, to nie jest w porządku. Nigdy przedtem taka myśl nie powstała mu w głowie.

Młody Andersson był konserwatystą. Czytał gazety i wierzył w wielkość Krogha. Socjalizm jego ojca to było coś starego, nużącego i dydaktycznego, coś, co pachniało szkołą wieczorową, coś, co zastępowało doświadczenie jak zasady moralne starych ludzi. „Uczciwa płaca dla robotnika”, „jedność proletariacka”, ulubione frazesy ojcowskie nużyły monotonią jak wlokąca się luterańska niedziela. Dla młodego Anderssona miały akurat tyle samo znaczenia, co „Jeden w Trzech Osobach” i „Osoby Trójcy Świętej”.

- Czy ty w nic nie wierzysz? - zapytał ojciec.

- Trzeba trzymać się swojej roboty - mawiał młody Andersson - a wszystko będzie w porządku. Uczciwy zarobek. Trochę oszczędności. Z czasem spokojne życie. - A teraz biegnie zdyszany wzdłuż cienistego ogrodzenia. - Krogh był kiedyś taki jak my. Każdy ma szansę.

Zapach smoły, smaru, w oddali drzewa, robotnik z bańką i jego zazdrość. To nie jest w porządku, myśli młody Andersson, to nie jest w porządku. Ojciec pisze, że on sam przyjechał, pośmiał się, dał mu cygaro, ba, pytał nawet o mnie, obiecał, że wszystko będzie, jak należy, nie dalej jak parę dni temu. Pewno, że on nie wie, trzeba mu powiedzieć. To sprawiedliwy człowiek.

Młody Andersson wierzył w sprawiedliwość. Oglądał jej działanie: zwalnianie leniwych robotników, a nagradzanie pracowitych. Dwa lata temu on sam dostał znaczną podwyżkę.

Nie mógł już biec, wyszedł z wprawy; najzdrowsza jest praca smarowacza - chodzi tam i z powrotem, dobiych kilka mil pewno zrobi na dzień. Koniec drewnianych płotów wydaje się wcale nie przybliżyć, ciągną się prawie półtorej mili. Wydostanie się z terenu fabryki po pracy zabiera dwadzieścia minut szybkiego marszu. Niektórzy narzekali, że powinno się im płacić za ten czas. Nie mogli już mieszkać bliżej. Drewniane domki zaczynały się tuż za drewnianymi płotami.

Minął je szybkim krokiem, były to porządne domki, pomalowane na jasne kolory. Przy każdym znajdował się skrawek ogródka, żony niektórych robotników hodowały kury. Młody Andersson nie był żonaty, mieszkał z kolegą z nocnej zmiany. Kiedy przechodził, żona tamtego kopała w ogródku. Przerwała pracę i zawołała do niego:

- Co się stało? Dokąd pan idzie?

Andersson zmieszał się, zatrzymał pośrodku szosy, kopiąc nogą nawierzchnię.

- Nie będę na kolacji.

- Czy coś się stało w fabryce? Dokąd pan idzie?

Młody Andersson zaczerwienił się i nie przestawał stukać nogą w nawierzchnię drogi. Zerknął na kobietę kątem oka. Odzywając się do niej, zawsze się czerwienił i nigdy nie patrzył na nią wprost. Spał w pokoju obok, a ściana z cienkich desek nie tłumiała żadnego dźwięku. Słyszał, jak kobieta czyści zęby, myje się, słyszał, jak kocha się ze swoim mężem; nic by mu to nie przeszkadzało, gdyby była stara i brzydka, ale ona była młoda i ładna. Ponieważ tyle o niej wiedział, stawał się wstydlivy i skryty.

- Nic się nie stało. Muszę jechać do Sztokholmu. Wrócę późno wieczorem.

Nie była wścibska. Wiedział, że właściwie nic z tego, co on robi, nie interesuje jej. Nie miała o nim wysokiego mniemania, była namiętnie zakochana w mężu. Wiedział aż za dobrze, jak namiętnie. Zaczerwienił się, kopnął szosę i powiedział:

- To ja już sobie pójdę.

- Niech się pan nie wdaje w żadne awantury - dodała obojętnie i wróciła do łopaty.

Na stacji przekonał się, że pieniędzy wystarczy mu tylko na dojazd do Sztokholmu. Pół godziny trzeba było czekać. Niepotrzebnie się spieszył. Teraz znów musiał chodzić: tam i z powrotem po peronie, nie było nic innego do roboty. Spróbował potrząsnąć automatem, czasami utkwiała w nim jakaś moneta. Popróbował szczęścia z drugim. Wypróbował wszystkie automaty, jakie udało mu się znaleźć. Powiodło mu się wreszcie. Moneta wypadając zadzwoniła i młody Andersson wysunął szufladkę - znalazł w niej bibułkową chusteczkę do nosa. Cóż, pomyślał, wkładając ją do kieszeni, zawsze to coś za darmo. Na bocznicy wjechał długi pociąg towarowy z drewnem dla fabryki. Ona jest ładna, pomyślał, to nie jest w porządku tak wszystkiego słuchać, po czym pomyślał o ojcu. W powolnym, zrównoważonym umyśle odezwało się poczucie niesprawiedliwości. Powiedział sobie: Herr Krogh po prostu nie wie, on by to naprawił. Pośmiał się, dał cygaro, zapytał o mnie.

Na peronie pojawił się jeden z dyrektorów fabryki, odprowadza! żonę i córkę. Młody Andersson znał go z widzenia, ale dyrektor nie znał Anderssona. Dyrektor niósł pudło czekoladek dla żony, bukiet kwiatów dla córki. Młody Andersson podszedł bliżej, ciekaw był, o czym ludzie rozmawiają, kiedy nie pracują. O czym on sam rozmawia, wiedział: o pieniądzach, wypitce, o fabryce.

-Tak - mówił dyrektor - tak. Wszystko będzie dobrze, Przyjadę na weekend, przygotujcie czwórkę.

- Na mnie proszę nie liczyć - powiedziała dziewczyna. -Idę potańczyć.

Miała bardzo jasne włosy i bardzo małe uszy, koniuszki ich były ślicznie zaróżowione. Młody Andersson znów pomyślał o za cienkiej ścianie i zaczerwienił się. To po prostu nie

jest w porządku. Chodząc po peronie dziewczyna wyglądała jak zawodniczka przed wyjściem na stadion. Jej nogi ruszały się tak swobodnie, jakby pod futrem ubrana była w szorty; wydawało się, że zupełnie nie zdaje sobie sprawy ze swojej płci, ale w jej ruchach był jakiś ton desperacji, nerwowego napięcia, jakby ją przetrenowano.

- Za wiele wydajesz na tańce - zgani! ją dyrektor. Spieszył się i denerwował, wciąż spogląda! na zegar. Widać było, że zarówno te czekoladki, jak i kwiaty nic nie znaczą, nie czuł nic do żadnej z nich, była to po prostu jego stała rola.

Kiedy wjechał pociąg, młody Andersson musiał ich wyminąć, żeby dostać się do wagonów trzeciej klasy. Dyrektor po-całowa! żonę w policzek, a córka podała mu rękę. Młody Andersson dotknął czapki. Dyrektor wcale tego nie zauważył. Mówił do żony:

- Będziesz musiała zamówić więcej alkoholu. Zaproś ich na ósmą. Nie wróć do domu wcześniej.

Dziewczyna zobaczyła, jak Andersson dotyka czapki, i skinęła mu głową; w tym skinieniu nie było nic wyniosłego - tak samo mogła pozdrawiać współzawodnika na sąsiednim torze.

Młody Andersson usiad! w obitym deskami przedziale i patrzył, jak stacja, dyrektor, fabryka, domki uciekają wstecz i znikają z oczu. Otoczone wąskim rąbkiem srebrnych brzoź, w ostatnich promieniach zachodzącego słońca rozpościerało się jezioro. Siedział z dłońmi wciśniętymi między kolana, podskakując za każdym poruszeniem powolnego podmiejskiego pociągu. Myślał: - O czym bym z nią rozmawiał? O tańcu... o saneczkach w zimie, przecinających śnieg na zakrętach wśród krzyków zjeżdżających, pod czarodziejskim oświetleniem; ot, przyjacielska pogawędka na ławie w gospodzie, zimno, miło i wesoło; kiwa! się sennie, rozmyślając, jakie to miał przed sobą wielkie perspektywy.

Pod niskim i poszarzałym niebem drzewa ściemniały, w prześwitach jezioro rozlewało się jak ołów; ktoś zajrzał, że-

by sprawdzić, czy rączka od ogrzewania została podniesiona; przed tunelem długi świst pociągu, a po drugiej stronie świat nagle ciemniejszy; kilka iskier uderzyło w okno. Młody Andersson otworzył oczy i ujrzał grupkę mężczyzn na rowerach, wracających z pracy, reflektory mieli zapalone, kiedy pociąg ich prześcignął, powieźli te swoje małe płonące kule wstecz. Pociąg oderwał się od jeziora i drzew i nad rozległą, szeroką pustką trawy zapadła ciemność.

- Pan do miasta? - zapytała jakaś starsza kobieta, otwierając koszyk, żeby wydobyć bułeczkę z masłem. Światło pod sufitem przedziału nagle zapłonęło jaśniej; ciemność była jak zasunięcie okiennic przed wieczornym posiłkiem. Ludzie w przedziale poczuli się przyjaźnie, ufnie; było im wszystkim dobrze razem z tą nocą na zewnątrz.

- Tak - odpowiedział Andersson.

- Nie pracuje pan? - zapytała, wsuwając plasterk szynki w przekrojoną bułkę.

- Ależ pracuję - odrzekł Andersson z dumą - w fabryce Krogha - i z chwilowym poczuciem zadowolenia oboje zaczęli wyglądać przez okno - on zadowolony z tego, że pracuje u Krogha, ona ze swojej bułki. Pociąg zatrzymywał się w każdej wiosce, a ciepłą i przyjazną atmosferę ich przedziału naśladowały lampy na zewnątrz, jakaś kobieta przy kuchni, jakieś dziecko, które usiadło w łóżeczku, żeby zobaczyć przejeżdżający pociąg.

- Ma pan szczęście, że pracuje pan u Krogha - stwierdziła kobieta - to praca z przyszłością.

- Tak, z przyszłością - zgodził się Andersson i umilkł. Przypomniał sobie, jak to w środku zmiany opuścił swoją pracę. Jego blada nieinteligentna twarz przybrała wyraz uporu - zrobił to, co należało. Cały ten upór, który przez lata niezawodnie przykuwał go do maszyny, tak że co roku zarabiał trochę więcej, teraz sprawił, że porzucił ją w tej samej chwili, kiedy usłyszał, co stało się z jego ojcem. To upór uczynił go

**14. Made in England 209**

konserwatystą, to upór kazał mu wierzyć w sprawiedliwość i upór zatrzymał jego maszynę, zastopował transporter i zapchał komorę-suszarnię. Wszystko się naprawi, pomyślał, kiedy im powiem. Gdybym został i wdał się w dyskusję, mógłbym spóźnić się na pociąg.

- Niech się pan nie miesza w żadne awantury - powiedziała kobieta, strząsając mu na kolana okruchy ze spódnicy.

Wszyscy powtarzają mu, żeby się nie miesza! w żadne awantury. Przygnębiony, próbował się tłumaczyć:

- Jadę za interesem.

- Już my tam wiemy, co to za interes - odpowiedziała kobieta i poszperała w koszyku, szukając butelki z mlekiem, a jej dobroduszny i przyjazny głos nadał w odczuciu Anderssona słowom „awantury” i „interes” jakieś niezwykle znaczenie, za które nie trzeba się było ukradkiem rumienić, wesołe, zwyczajne, beztroskie i przemijające.

- Może kiedyś to się skończy... - powiedział. - To długo nie potrwa.

- Raz tylko jest się młodym - dorzuciła kobieta swawolnie, potrząsając siwą głową.

Kiedy pociąg wjechał na Dworzec Główny, była prawie siódma. Młody Andersson nie miał pojęcia, do której pracują w biurach Krogha. Nigdy tam nie był. Musiał zapytać o drogę policjanta i kiedy się odwrócił, tamten przyjrzał mu się podejrzliwie, zaciekawiony jego robotniczym ubraniem, koszulą bez kołnierzyka, ciężkimi buciskami i determinacją. Ale w biurach portier nie chciał go wpuścić.

- Co ty sobie myślisz, że kto ty jesteś - powiedział, rozmawiając z nim przez kutą w żelazie bramę. - Nie przyjąłby cię, nawet gdyby był u siebie.

- Ja jestem z fabryki.

- To bez różnicy - oświadczył portier.

- Ja w sprawie mojego ojca - tłumaczył młody Andersson. - Herr Krogh go zna.

210



-Twoją matkę, twoją matkę! - krzyknął portier przez bramę i roześmiał się, trzymając się długimi małpimi rękami żelaznych prętów. Potem spoważniał: - Nic tu po tobie. To nie miejsce dla takich jak ty. Powinieneś siedzieć w fabryce.

- Muszę się widzieć z Herr Kroghiem.

- Nawet premier nie może zobaczyć się z Herr Kroghiem, jeżeli się przedtem nie zamówi.

- To ja się zamówię.

- Ach tak - powiedział portier - ale przedtem musisz iść do sekretarki.

- Pójdę do sekretarki.

- Nikt nie może pójść do sekretarki, jeżeli nie ma wyznaczonej godziny - oświadczył portier, chichocząc spoza żelaznych kwiatów.

- To ja się postaram o wyznaczoną godzinę - odpowiedział młody Andersson.

- Ba, tutaj u nas toś miał szczęście, że mogłeś się ze mną zobaczyć bez wyznaczonej godziny.

- Ale Herr Krogh wie o mnie. Ojciec mi pisał. Pisał, że Herr Krogh o mnie pytał.

- Twój ojciec to łgarz.

Młody Andersson zniżył głowę. Zbliżył się do bramy zaciskając pięści. Nie stracił swojej determinacji i uporu.

- No, no, uważaj - powiedział portier. - To zakłady Krogha. Jałt ci się zdaje, co on zrobi z tobą i z twoim kochanym ojczulkiem? Uważaj - powtórzył i Andersson zauważył inicjały Krogha płonące na tle nieba, szklane ściany i wodę spływającą po zielonej bryle.

- Tę fontannę postawił największy szwedzki rzeźbiarz - wyjaśnił portier. - Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział, ile to wszystko tutaj kosztowało. Jedzą tu z takich talerzy, że na jeden poszłyby całe twoje roczne zarobki. Krogh nosi diamentowe spinki do koszul.

- Diamentowe spinki?
- Przy każdej koszuli.

Stary Andersson często mówił o płacach, syn nigdy nie słuchał -- taka stara nudna śpiewka. Teraz jednak uświadomił sobie jakiś niepokój; ze swoich poplamionych smarem rąk przeniósł spojrzenie na portiera chichoczącego za bramą. Pomyślał o tym robotniku z nocnej zmiany, który stracił rozum i zabił żonę i siebie, ponieważ kobieta spodziewała się jeszcze jednego dziecka.

- Jaki pan ma ładny mundur - powiedział. *Droga Anno, napisał tamten na skrawku papieru toaletowego, wybac mi. Nie mogę znieść tego niepokoju. Muszę to zrobić. Byliśmy szczęśliwi. Pozdrów siostrę, zawsze była nam pomocą.* Potem musiał dopiero się zdecydować, że ją też zabije, żeby oszczędzić jej bólu. Na pewno da się to jakoś wytłumaczyć, myślał młody Andersson, patrząc w górę na najwyższe szklane piętro.

-Ja, widzisz, pracuję głową - mówił portier. - Muszę wiedzieć, co powiem interesantom. Co pół roku dostaję nową parę butów. Tutaj trzeba być eleganckim.

- Mam w domu nowy garnitur - wyjaśnił młody Andersson. - Ale spieszyłem się, kiedy wychodziłem z pracy. Muszę powiedzieć Herr Kroghowi o ojcu.

- No to będziesz musiał jechać do Saltsjöbaden - rzekł portier. - Oni wszyscy pojechali tam na obiad do hotelu. -Mogłoby się wydawać, że ma do młodego Andersona żal, który da się wymazać z pamięci tylko złościwością. - Będzie ci potrzebny smoking.

- To daleko? - zapytał Andersson.

- Będzie za dwadzieścia kilometrów.

- Lepiej już pójdę - powiedział młody Andersson. \

- Nie ma się co spieszyć, nie ma się co spieszyć - oświadczył portier. - Kupa czasu na to, żeby się przebrać. Pociąg co pół godziny.

- Nie mam pieniędzy na pociągi - wyjaśnił młody Andersson. -  
Będę musiał iść na piechotę.

- Ależ nie zajdziesz tam przed północą.

- Ktoś mnie podwiezie - odparł młody Andersson niepewnie,  
odchodząc i zostawiając za sobą portiera śmiejącego się spoza  
żelaznych kwiatów; już nie tak ufny jak przedtem w przyjazne uczucia  
innych ludzi.

## II

Nie wzięli szofera i Anthony prowadzi! wóz. By! to jego pomysł. Orzekł, że wóz z szoferem bardziej rzuca się w oczy. Krogh nie zgłasza! żadnych sprzeciwów; od chwili, kiedy wyruszyli, nie zgłasza! żadnych sprzeciwów. Gdy Anthony zatrzyma! wóz i zamówi! dla wszystkich po kieliszku, Krogh wypił również. Kate obserwowała go z niepokojem. Nieprzenikniony siedział nad swoim kieliszkiem i nie odzywał się.

W restauracji, w której nastąpił trzeci postój, Krogh stłukł szklankę. Wcześniej Anthony powiedział: „Jutro idziemy z Eri-kiem po zakupy. Wybiorę mu coś do włożenia. W końcu teraz jesteśmy prawie braćmi”.

Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy z tego, ile Krogh wypił, nie jad! lunchu, przez całe popołudnie zajęty był za-miejscowymi telefonami.

- Wybierzemy się do sklepów, co, Erik? - zapytał Anthony i Krogh zaczął skrupulatnie wyjaśniać, że chce, żeby ten obiad się udał. Ma wszelkie powody, żeby być Anthony'emu wdzięcznym.

- Jeszcze jednego? - zapyta! Anthony, ale Krogh uparcie kończył swoją przemowę. \

- Przez cały dzisiejszy ranek - mówi! - zdolny byłem zachować przy pracy jasność umysłu, ponieważ nie musiałem się martwić o wieczór. Podarłem bilety na koncert. Myśla-

tern sobie... dziś wieczorem zabawimy się tak jak wtedy w Tivoli.  
- I doda! nagle: - Skoal - podnosząc szklanę, ale szklanka wymknęła mu się z ręki, ręka podążyła za nią i szkło rozprysło się między stolikiem a jego dłonią. Dokończył: - Myślałem sobie, że nie będziemy się niczym przejmować.

- Jedźmy gdzie indziej - zaproponował Anthony i wrócił do auta. Było już zupełnie ciemno, ale wielkie reflektory wozu rozpałały przed sobą bladozielone dzienne światło. Jak gdyby czas stawał się widoczny: dzień z obu stron otoczony nocą. Jakiś królik wyskoczył z nocy w dzień i zбочem pod górę pomknął z powrotem w noc. Opuścili małą restauracyjkę z jaśniejącymi w nocy paciorkami lampek pod markizą i z coraz większą szybkością ponieśli z sobą dzień przez granatową, płaską, metaliczną szosę.

- Skaleczyłeś się - powiedziała Kate, ale Krogh spał u boku Anthony'ego, z ręki spływała mu krew na poduszkę pomiędzy nimi.

- Cholera - zaklął Anthony - nigdy nie zdarzyło mi się prowadzić takiego wozu,

Dodał gazu, ale nie miało się wrażenia dużej szybkości, tkwiło się w miejscu - to skalisty zakręt migał wstecz, oświetlona chatka błysnęła i znikła za nimi na drodze, skąpiana przez jedną chwilę w tym zielonym podwodnym świetle, i człowiek dziwił się całej tej ekstrawagancji jej skromnego, przyćmionego oświetlenia, kiedy reflektory przeniknęły poza ogrodzenie i omiotły ogródek.

- Erik skaleczył się,

- Głupstwo - powiedział Anthony. - Krew już nie leci. Po co go budzić. Jest tak, jakbyśmy byli sami. - Wskazówka drgała na osiemdziesiątce. Anthony zaczął śpiewać: „Jak ja dla ciebie, jak ty dla mnie”. - Byli sami w tym wielkim szarym samochodzie. - Możemy go zostawić w jakiejś chatce - powiedział. - Niech się wyśpi.

Zaczął gwizdać jakąś żalną, melancholijną melodię, cieniutki dźwięk wysnuwał się na drogę z wnętrzości auta jak jedwabna przędza pająka.

- Nie dostałbyś wtedy swojej prowizji.

- To prawda.

Przez jakiś czas jechali przy torze kolejowym; pociąg elektryczny bezgłośnie wyskoczył im naprzeciw i zniknął krzesząc niewielką błyskawicę na torze; przed nimi migąło i podskakiwało czerwone światełko, za urwiskiem, tam gdzie nie sięgały reflektory, niebo było oświetlone i kiedy droga zakreśliła, zobaczyli dwa dźwigi, kłęby pary po obu stronach i wielki, potrójny żelazny łuk spinający szyny. Krąg lamp łukowych dostarczał robotnikom światła, siedzieli okrakiem na poprzecznych dźwigarach, trzydzieści stóp w górze, i dokręcali śruby. Na ziemi pod nimi leżały łomy, śruby i zardzewiałe wsporniki. Anthony zahamował i Krogh obudził się.

- Zatrzymajmy się tu - powiedział. - To ten nowy most. Chcę zobaczyć.

Jakiś niski mężczyzna ze złamanym nosem, w zniszczonym brązowym ubraniu wymijał leżące na ziemi żelazne liny.

-Wspornik 145, 141 i 137! - zawołał, a jeden z robotników rzucił linę i spuścił się po niej na rękach. Żuraw zatoczył półkole swoim ramieniem, zanurzył je w obłoku pary, a inny robotnik przyczepił do haka czworokąty brązowego od rdzy metalu przypominającego gigantyczne ruszty. Przełoskotały nad samochodem Krogha.

- Wciąż używają angielskich wsporników - zauważył Krogh. - Widzieliście nazwę? Chepstow.

Robotnicy pracowali powoli, bez pośpiechu, spokojnie rozmawiając przy pracy. Łączyły ich liny, żelazne wsporniki i wspólne zainteresowania; poza kręgiem lamp łukowych światła szarego auta żarzyły się słabo. Anthony wyłączył motor i w środku zrobiło się zimno. Nikt ich nie zauważał, nikomu nie przeszkadzała ich obecność.

- Chodź no tu na chwilę, Erik - powiedział nadzorca i jakiś mężczyzna w podartych spodniach wszedł za nim w cień poza światłami, gdzie zaczęli przekładać leżące śruby, szukając czegoś w gmatwaniu metalu,

- Które to mają być wsporniki?! - zawołał mężczyzna z najwyższej poprzeczki.

- 145, 141 i 137 - odpowiedział nadzorca. - Siedzisz akurat na tych numerach.

Roześmieli się dobrodusznie, sprzymierzeni wszyscy przeciwko temu zimnu i ciemności, przeciwko śmierci niesionej przez spadający sworzeń i ukrytej w złym, być może, stopie stali albo przetartej linie.

- Sam kiedyś pracowałem przy moście - rzekł Krogh i pchnął drzwi auta. - Chcę pogadać z tym nadzorcą. - Stał niezręcznie przy samochodzie w smokingu i z futrem przewieszonym przez ramię. Dodał: - Tamten most był większy niż ten.

- Pomóż no mi, Erik - powiedział mijając ich nadzorca w kurtce z kieszeniami wypchanymi świstkami papieru. Miękki kapelusz zsunął się z umazanego czoła, wytarł nos palcami. - Co zrobiłeś z tym pięćdziesiątym siódmym sworzniem?

- Nie z pięćdziesiątym siódmym, ale z czterdziestym trzecim - odparł tamten.

Nadzorca wyjął z kieszeni na piersiach kawałek papieru.

- Mylisz się. Tu mam pięćdziesiąty siódmy.

- No to on jest tutaj.

Nadzorca zbliżył się w stronę Krogha, skacząc po podkładach. Włożył do ust papierosa. Wyglądał drobno i chudo, rozglądał się na wszystkie strony w blasku łukowych lamp. Za nim szedł tamten w podartych spodniach, a robotnicy z poprzeczek wołali, że sworznie leżą to tu, to tam, dalej.

- Daj no ognia.

Krogh przełożył futro na drugą rękę i przeszukał kieszenie swojej białej kamizelki.

- Przykro mi - powiedział - ale zdaje się, że nie...

- Ej, ty! - zawołał tamtem drugi - trzymaj. - Nadzorca złapał w powietrzu pudełko i zapalił zapalniczkę; musiał ją osłonić ręką od wiatru. Światło łukowych lamp wydobyło jego dłonie z ciemności jak zbliżenie na ekranie; palce zgrubiałe, skręcone reumatyzmem, przy lewej dłoni jeden ucięty. Dłonie przysłoniły jego twarz; sądząc po nich, można by oczekiwać twarzy starszej, bardziej tępej, mniej przyjaznej niż ta młoda umazana twarz ze złamanym nosem.

- Dobry wieczór - powiedział Krogh.

- ...wieczór - odpowiedział nadzorca, mijając go i odchodząc wzdłuż toru razem z kolegą, w poszukiwaniu pięćdziesiątego siódmego sworznia.

Krogh wsiadł z powrotem do auta.

- Zadrapałem się w rękę - powiedział. - Jedźmy dalej. To tylko jakiś mały most. - Usadowił się wygodniej obok Anthony'ego, biały krawat lekko mu się przekrzywił. - Muszą pracować w nocy ze względu na pociągi - wyjaśnił. - I wciąż sprowadzają wsporniki z Chepstow. Niewiele się zmieniło.

Ale on się zmienił, pomyślała Kate. Widok Krogha stojącego na torze i mimo woli zainteresowanego, nie mającego zapalniczek, kiedy go o nie poproszono, ani nie znajdujących słów, żeby wytłumaczyć, czego chce, pozbawił ją spokoju. Przejechali powoli, mijając robotników, Krogh już nie patrzył na nich; oni pozostali tacy sami, ale on się zmienił.

- Dalejże na uroczystość rodzinną - ponaglał Anthony. Kate zaczęła się śmiać.

- Tak - powiedziała - uroczystość rodzinna. Nudna jak diabli uroczystość rodzinna.

On jest taki jak my, pomyślała, walczy o swoje bezpieczeństwo jak każde z nas, nie ma w nim przyszłości, nie jest samowystarczalny, jest taki jak my, nie na swoim miejscu.

- No - rzekł Anthony, naciskając gaz, podrywając do lotu szare błotniki - to będzie zabawa, jak się patrzy. Nudna? Poczekaj, aż zobaczysz, jaki zamówiłem obiad.



- To pewno ta szklanka, którą stłukłem - powiedział Krogh dotykając ręki.

Kate zajrzała mu przez ramię - rodzinna uroczystość, taki jak my, ja go wykorzystałam, a on mnie, ale on jest taki jak my, tylko cholernie dobry we wspinaczce, a my...

- Pokaż mi tę rękę, kochanie - powiedziała. Rozdarła chusteczkę i nasmarowała ją kremem. Ujęła jego rękę z czułością i dotknęła ranki - biedak, taką długą i męczącą ma za sobą drogę, a oni go nawet nie zauważyli, nie poznali, że kiedyś należał do nich, upokorzyli go. Owiązała mu ciasno dłoń i objęła go ramieniem; rodzinna uroczystość, nie zaszkodzi okazać dobre serce. Teraz wszyscy troje wspinamy się razem; i złodzieje mają swój honor.

### III

Samolot Holenderskich Królewskich Linii Lotniczych wzniósł się nad ziemię, gniotąc powietrze; wielka gumowa opona pod oknem odskoczyła dwukrotnie od szorstkiej trawy i zawisała nad jasnym, czyściutkim portem lotniczym, nad białymi dachami i zbiornikami paliwa w pobliżu morza, które przypominały rzędy guzików na szarozielonym garniturze. Fred Hall wetknął watek do uszu, a pilot zdjął oblamowaną złotem czapkę i nałożył małą czarną pilotkę. Odnosiło się wrażenie, że przygotowuje się do jakiegoś ważnego zadania. Kabina pilota w tym holenderskim samolocie nie była oddzielona od kabiny pasażerów, którzy na wysokości oczu widzieli nogi pilota, a powyżej wielki luk błękitnego bezchmurnego nieba. Prądy powietrza co jakieś pięćdziesiąt stóp podrywały samolot gwałtownie w górę, jak gdyby podrzucała go rozmyślnie pięść jakiegoś olbrzymia.

Fred Hall otworzył *Bagatelle*. Powoli niby robak wlokło się Zuyder Zee; nie odczuwało się szybkości; Zuyder Zee nakładało na gliniaste tło atramentowe plamy, jedna biała wyspa górowała nad leżącym w głębi morzem. Samolot wznosił się i chybotął. W miarę nabierania wysokości było coraz cieplej, słońce coraz prostopadłej padało na szyby. Fred Hall zdjął swoją brązową kurtkę z welwetowym kołnierzem i starannie ją złożył. Z tą szczupłą, opaloną twarzą, dewizką z okrągłym

niklowym wisiorkiem i srebrnymi spinkami przytrzymującymi mankiety wygląda! na dobrze prosperującego bukmachera.

Samolot przebił się przez chmury, morza nie było już widać, czasami tylko ukazywało się jak małe uwięzione wśród łąd jezioro, otoczone szczytami alpejskimi. *Pilules Orientales* - wyczytał Fred Hall, przeglądając ogłoszenia. Na 1200 metrach zwała się na nich burza, strugi deszczu przelatywały jak strzały równoległe z samolotem; w pół minuty burza została w tyle, chmury się rozwarły, a nad ziemią ułożyła się płasko tęcza, przesuając się powoli wraz z nimi i całkowicie zasłaniając swymi bladymi kolorami jakąś wioskę, *ha Timidité est vaincue en quelques jours* - przeczytał z zainteresowaniem zdumiony Fred Hall. Dziwne mu się wydało, że tak rozległa dziedzina przemysłu, fotografia artystyczna, „pigułki orientalne” i środki na potencję, wszystko kręci się wokół spódniczek.

Znów zebrały się chmury, leżały wokół samolotu jak gruby śnieg. Przez chwilę rzucały na rozłożoną *Bagatelle* ostry blask szronu, ale na 1800 metrach samolot wyrównał i wszystkie chmury świata zostawił pod sobą; rozciągały się oślepiająco białe aż po horyzont, a człowiek tracił poczucie ruchu; wielka gumowa opona i ciężkie skrzydło drżały nad bezgraniczną równiną mrozu. Fred Hall rozpiął kamizelkę; nie było się gdzie schronić przed słońcem; miał na sobie koszulę w paski. *UAmour aa ZOO, LAmour au Djebel-Druse, Amours et hantises d'Edgar Poe, La Dame de Coeur*. Tyle szumu o spódniczkę, pomyślał Fred Hall, z pełnym rezygnacji świętym oburzeniem kładąc gazetę na kolana. 2700 metrów - zauważył machinalnie i pomacał prawą kieszeń po to tylko, żeby się upewnić, że ma je w płaszczu; nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się okazać potrzebne. Wszystko w Amsterdamie było załatwione, pozostawało już tylko złożyć raport, Hall nigdy jednak nie rozstawał się z parą kastetów. Jeżeli nie jest się

szczególnie mocnym w boksie, trzeba się inaczej zabezpieczyć.

Samolot zaczął opadać, kolana Freda Halla wparły się w fotel przed nim, przez dłuższą chwilę, kiedy przebijali się przez chmury, rzucały nimi liczne próżnie w powietrzu. Aż wreszcie ukazała się ziemia - kwadraty pól biegnące płasko do horyzontu jak niezliczone okna drapacza chmur ujętego na zdjęciu poziomo. Lecieli prosto na cienki, sterczący maszt, ale maszt opadł w głąb - była to szosa, dwa tysiące metrów pod nimi. Radiotelegrafista wypuścił przez otwór w podłodze samolotu obciążoną linkę dla zbadania prądów powietrznych. Wydawało się, że lecą bardzo powoli i trzeba było całej minuty, żeby jakaś farma - idealny kwadrat białych, krytych strzechą budynków - przesunęła się ze środka okna i znikła; rzucali na ziemię cień wielkości kciuka. Po dokonaniu pomiarów wzniesli się z powrotem w pustynię chmur.

Fred Hall usnął. Z otwartymi ustami, w których widać było poczerniały ukruszony ząb, z niklowym znaczkiem klubu, kołyszącym się, kiedy wiatr wiejący od czoła wstrząsał samolotem, Fred Hall wnosił ze sobą atmosferę pulmanów trzeciej klasy do Brighton, weekendowej wycieczki z whisky i utlenioną blondynką. Miękki brązowy kapelusz z podwiniętym rondem zsuwał się Hallowi z głowy, a jego drzemający umysł rejestrował ten ruch jako muskanie ręki. Odchrząknął i powiedział głośno: „Elsie”. Śniło mu się, że Krogh stara się coś mu powiedzieć, ale Elsie przeszkadza, odwraca jego uwagę, zmuszając go, żeby się wykąpał. Krogh stał na dworze, na drodze i wołał w stronę jego okna. „Nie masz gąbki” - przypomniała mu Elsie i dodała, że mydło Lifebuoy jest niejadalne. Nie mogła pojąć, że on nie chce się kąpać, że chce rozmawiać z Kroghiem. Kołysząc się w przód i w tył, kiedy nad Danią zerwała się burza, krzyknął głośno: „Nię lubię soli kąpielowych!” Skandynawski ekspres lotniczy wznosił się coraz wyżej, żeby wywindować się ponad burzę: 3200 metrów. „Spódniczki!” - wy-

krzyknął Fred Hall i obudził się. Przez chwilę był zaskoczony, znalazłszy się w rozkołysanej i ryczącej maszynie. Deszcz spływał poza samolot jak dym, po czym znów znaleźli się w czystym powietrzu, a ciężkie szare chmury kotłowały się pomiędzy nimi a ziemią.

Znów zamknął oczy, przestał się interesować tym lotem z Amsterdamu, znał lotniska europejskie równie dobrze, jak kiedyś znał stacje na linii Brighton - nędzne Le Bourget; wielki szkarłatny czworokąt Tempelhofu, kiedy się po ciemku przybywa z Londynu i reflektory czołowe oświetlają asfalt; białe chmury pędzącego piasku wokół szopy w Tallinie; Ryga, w której wylądował samolot z Berlina do Leningradu, bladoróżowe wody mineralne sprzedawane w szopie krytej blachą; olbrzymi port lotniczy w Moskwie, samoloty ustawione rzędami jeden za drugim, piloci kołujący nonszalancko tędy i owędy w poszukiwaniu wolnego miejsca dla maszyn, kręcenie się tam i z powrotem pod kierunkiem jedyne go urzędnika w czapce na bakier; Kopenhaga na skraju skały. Był to wygodny i nudny sposób podróżowania; Fredowi Hallowi brakowało czasami szeptanych na ucho przez nieznanomych informacji z toru wyścigowego w tamtych pulmanach do Brighton.

Kiedy obudził się po raz drugi, zataczając się przeszedł na tył samolotu do toalety i zapalił nielegalnie papierosa [w tym skandynawskim samolocie nie było palami); siedząc niewygodnie na klozecie wydmuchiwał piekące kółka. I nagle w tej śmiesznej pozycji poczuł przypływ jakiejś zupełnej beztroski; w płaskiej i wąskiej czaszce nie było już miejsca na nic poza posłuszeństwem człowiekowi, który mu płacił, wiernością człowiekowi, którego podziwiał, i chęcią zaspokojenia pewnych potrzeb fizycznych: papierosy, raz na miesiąc popijawa i to, co nazywał zwykle „wylądowaniem się”. Właśnie teraz poczuł potrzebę wylądowania się, przerażała go ilość pieniędzy, które wydał w Amsterdamie. Krogh zaczynał od tego samego co on; Fred Hall jest może jedynym żyjącym człowiekiem zdolnym

ocenić osiągnięcia Krogha - drogę z pokoiku w Barcelonie do pałacu w Sztokholmie. Ale Fredowi Hallowi siedzącemu na klozecie nie wydało się to dziwne. Z miłością, miłością, którą znajdowała wyraz, niczym miłość do kobiety, w prezentach-błyskotkach (jak te wysadzone drogimi kamieniami spinki do mankietów, które wiozł w tylnej kieszeni spodni), pomyślał: -Zawsze wiedziałem, że ta cholera ma olej w głowie. Kołysał nogami i wypuszczał małe, idealnie okrągłe kółka dymu, narażając życie dwunastu pasażerów, pilota, radiotelegrafisty i kilka tysięcy funtów bagażu. Ale takimi głupstwami Fred Hall się nie przejmował.

Przejmował się natomiast dyrektorstwem Laurina. Poznał go, ale nie wiedział, co o nim sądzić, podświadomie oceniał ludzi po ich wyglądzie (wątpliwe, czy uznaliby, że „Krogh ma olej w głowie”, gdyby głowa ta tkwiła na kruchym ciełe); Lau-rin wciąż chorował. Przez jakiś czas Fredowi Hallowi nie dawała spokoju zazdrość - to on był najstarszym przyjacielem Krogha, nigdy go nie zawiódł, a jednak nie był dyrektorem, pozostał po prostu człowiekiem, któremu Krogh zawsze mógł zaufać, że zrobi dokładnie to, co mu kazano. Nie chodziło mu

o to, że dostawał mniej pieniędzy niż Laurin i inni dyrektorzy, czasami jednak w Hallu budziła się ambicja, żeby zobaczyć swoje nazwisko w druku. Nie miał wygórowanych aspiracji, nie myślał zostać dyrektorem w I.G.S., czasami jednak wydawało mu się, że mógłby przynajmniej zasiąść w zarządzie jakichś małych, pomocniczych zakładów, takich jak na przykład filia amsterdamska.

Zdusił niedopałek papierosa o podłogę między stopami

1 wstał. Nie ufał Laurinowi, nie ufał nikomu z otoczenia Krogha oprócz siebie samego i czuł potrzebę „wyładowania się”, niczego na świecie nie pragnął w tej chwili bardziej, niż sprawić komuś porządne lanie. Nagle z gorącym, zaborczym uczuciem przypomniał sobie głos Krogha dzisiaj przez telefon. Powiedział „Fred”, tak jak w tamtych dawnych latach,

zanim stali się pracodawcą i pracownikiem; kazał mu wracać natychmiast, jak tylko wszystko zostanie załatwione, bo może być potrzebny. Fred Hall stał rozkraczony w rozkołysanej toalecie, czuł pod nogami, jak rozdygotany potężnym pędem szkielec samolotu walczy z prądami powietrza. Cholera, pomyślał, niechby ktoś zrobił dyrektorowi świństwo, wtedy bym się wyładował. Nie ufał Laurinowi, nie ufał nawet Kate. To nie nasza klasa, pomyślał. Ta spódniczka, był przekonany, żyje z Kroghiem tylko ze względu na to, co może z niego wyciągnąć. Swoich trzech tysięcy funtów nie liczył; uważał je za taką drobnostkę, że dwutygodniowy z górą zarobek wydał na prezent dla Krogha, prezent, który wręczy ze zmieszaniem i z uporem; gdyby Krogh odmawiał przyjęcia, będzie twierdził, że kupił je dla kogoś innego, komu nie były potrzebne, i teraz musi je gdzieś dobrze umieścić; to całkiem eleganckie spinki, nie można ich ot tak po prostu wyrzucić na śmietnik.

Potykając się, wrócił na swoje miejsce; nogi miał trochę pałakowate i to nasilało jeszcze atmosferę torów wyścigowych, jaką ze sobą wnosił. Był zaniepokojony i niecierpliwił się; wystartował z Amsterdamu o 12.30, wyprzedaż akcji została całkowicie powstrzymana, cena podniosła się nawet odrobinę, ze swoich poufnych źródeł wiedział, że nie będzie już żadnych transakcji odbiegających od normy; miał zamiar zdążyć na nocny pociąg z Malmö do Sztokholmu. Teraz jednak nie czułby się zadowolony, gdyby przed pójściem spać nie zobaczył się z Kroghiem. Samolot miał być o 5.25 w Kopenhadze, a o 5.40 w Malmö. Doszedł do wniosku, że polecenie Krogha, żeby natychmiast po ukończeniu interesów w Amsterdamie przyjeżdżał do Sztokholmu, usprawiedliwi koszt powietrznej taksówki na liście jego wydatków.

Radiotelegrafista odwiesił słuchawkę, a pilot włożył lamowaną złotem czapkę; silniki wyłączono i nagła cisza zadzwoniła w uszach, mimo wetkniętej w nie waty. Poprzez grubą warstwę chmur opuszczali się nad ciemnozielone morze i wieczór

**15. Made in England 225**

iskrzący się w drobnej fali i płonący szeroko i żółto na *szczyście* skaty. Dania wyglądała jak zębate kwadraciki zabawki-układanki. W locie ślizgowym zatoczyli szeroki łuk nad morzem, skałą, wyrównali, żeby zmniejszyć opór powietrza, znów wzbili się w górę z rykiem silnika, po czym opadli w dół, musnęli wyblakłą trawę i podskoczyli, odbili się i powrócili na ziemię. Dziesięć minut oczekiwania w Kopenhadze wydało się Fredowi Hallowi całą godziną; był zirytowany i rozdrażniony, ale jego niepokój objawiał się tylko nerwową wędrówką.

Kolejna zwłoka nastąpiła jeszcze w Malmö, na lotnisku morskim nie było ani jednej taksówki i Fred Hall musiał czekać, aż sprowadzą ją dla niego ze Sztokholmu. Udał się do poczekalni, zjadł talerz ciasteczek z kremem; wypił filiżankę mocnej herbaty z odrobiną brandy. Na dworze woda pociemniała i zapaliły się światła na *szczyście* masztu. Nie mając nic lepszego do roboty, zaczął pisać list do matki mieszkającej w Dorking. Pisał atramentowym ołówkiem na kartce wydartej z notesu.

*Droga Mamo - pisał. - Na dzień, dwa wracam do Sztokholmu. Widziałem się w Amsterdamie z Jackiem ale nie mogłem z nim pogadać. Czy kotka się już okociła? Nie ma co pokazywać jej tej szuflady. Jak będzie chciała się okocić w ubikacji no to trudno. Chyba przyjadę na parę dni w Boże Narodzenie. W interesie prawdziwy ruch. Na Twoim miejscu jakiś tydzień, dwa wstrzymałbym się z tymi akcjami. Zaczekaj na mój telegram. Czy postawiłaś piątkę na Szarą Damę, tak jak Ci mówiłem? Nie zważaj, co mówi proboszcz, pogadam z nim w Boże Narodzenie, pokażemy mu, gdzie jego miejsce. Tacy ja/c on działają mi na nerwy. Gdyby mi się udało wykroić jeden dzień wolniejszy, chętnie bym skoczył do Ciebie i wyladował się trochę.*

Podniósł niespokojnie oczy znad okruchów ciastka (nigdy nie starczało mu cierpliwości, żeby zjeść do końca części



ciastka bez kremu) na granatowe, puste niebo; spojrzał na zegarek; pisał dalej, tłumiąc wściekłość na tę stratę czasu, dostrzegając, że zapalono lampy, odbijające się migotliwie w kieliszkach na bufecie i rozszczepiające światło w lustrach.

*Nie wiem, co go opętało, że wygaduje Ci takie rzeczy. Troszkę hazardu to nic złego.*

Odłożył ołówek; jakieś światełko spadło z ciemnego nieba; jakiś cień musnął wodę. Schwycił walizkę i rzucił się w stronę drzwi.

- Co pan sobie myśli - zwrócił się do umundurowanego urzędnika stojącego u szczytu schodów (morze w przystani chlapało i pluskało). - Powiada pan, że nie macie ani jednego hydroplanu w porcie? A ten? - I wskazał na zielone światełko, które podskakując, to znów opadając, zbliżało się w ich stronę razem z falą.

- Pańska taksówka jest już w drodze - oznajmił urzędnik. Odwrócił się od niego i coś krzyknął, ale Fred Hall schwycił go za łokieć i wykręcił w swoją stronę.

- Polecę tym - powiedział - zrozumiano? Tym. Spieszę się.

- To niemożliwe. Ten samolot jest zamówiony przez Krogha. Dla jednego z dyrektorów. - I Fred Hall ujrzał małą procesję statecznie posuwającą się w stronę schodów: dwóch lokajów w czarnych płaszczach, z walizkami, chudą kobietę w średnim wieku z grubą warstwą szminki na smutnej twarzy, dygoczącą z zimna mimo futra, oraz urzędnika z zarządu lotniska powtarzającego raz po raz „Herr Bergsten... Herr Berg-sten”, a za nim samego dyrektora ze starymi, świdrującymi oczkami, w jedwabnym szaliku okręconym wokół wychudłej szyi. „Dziękuję panu, dziękuję” - powtarzał, podając rękę urzędnikowi i po omacku szukając stopnia stopą obutą w lśniące lakierki; podczas gdy urzędnik salutował, Hall ustąpił z drogi, myśląc z wściekłą zawiścią: - Tę zgrzybiałą marionetkę traktuje się po królewsku, dyrektor Bergsten, ba, on nawet nie wie, że ja istnieję na świecie, i te wieczory w Barcelo-

nie, kiedy to ja płaciłem za drinki... - I myślał ze zranioną zaborczą miłością: - Na żadnym z nich Erik nie może polegać, ptaci im, robi z nich sławnych ludzi, ale kiedy coś trzeba dla niego zrobić, ufa tylko Fredowi Hallowi.

- Pańska taksówka będzie na miejscu za pół godziny -oznajmił urzędnik, a nie słysząc odpowiedzi, odwrócił się i popatrzył zdumiony, z jaką szybkością ta szczupła i rozwścieczona postać niknie w ciemności.

#### IV

Z wielkich hotelowych okien morze wyglądało jak opaska ciemności, usuwało się i lśniło pod światłami malej prywatnej łodzi wiozącej jakichś biznesmenów na obiad.

- Ale to miała być jego uroczystość, nie twoja - powiedziała Kate, tańcząc z Anthonym. Lata całe minęły, odkąd tańczyli razem. Na tę doskonałą precyzję ruchów złożyły się wszystkie przeżycia ich wspólnego dzieciństwa; unosili w sobie Mornington Crescent i ojcowską dezaprobatę, i tamten mały przedpokój z kolorowymi szybkami.

- Nie szkodzi, przecież to on się z tobą żeni - a lata, kiedy żyli osobno, ustępowały pod naciskiem ich przytulonych ciał, poruszających się w rytm tajemnej, zmysłowej, stłumionej melodii.

- To nic nie zmieni - zapewniła go i oparła się policzkiem o jego policzek, po to, żeby usłyszeć:

- On nie jest ciebie wart - po to, żeby wychwycić jakąś oznakę zazdrości; nie mogło mu przecież naprawdę zależeć na Lu.

- Niech to diabli - powiedział Anthony - i ten profesor tutaj.

Muzyka się urwała. Kate klaskała bez końca, żeby zagrali jeszcze raz, oddech Anthony\*ego czuć było winem, rękę miał wilgotną, był wolny, tak jak ona nigdy nie mogła być wolna;

nie ponosił żadnej odpowiedzialności, zawsze to inni będą za niego nadstawiać karku. Wrócili do stolika, Anthony był lekko pijany i pogwizdywał jakąś wojskową melodię, której się nauczył Bóg wie, w jakim klubie. Bóg wie, z jakiego starego skrzypiącego gramofonu z tubą, gdzieś w towarzystwie eks--oficerów, piosenkę o jedynej dziewczynie; jego piosenki, podobnie jak język, nie należały do współczesności; żył życiem poprzedniej generacji, podrywając dziewczyny w przerwach między pociągami przywożącymi oficerów na urlop. „Kiedy ja się Kocham i ty Kochasz się...”

- No, gdyby Lu tu była... - powiedział.

- Czy to naprawdę Hammarsten? - zapytał Erik.

Za trzema lustrami i kwietnym tarasem siedział w całym swoim majestacie profesor, trzymając na kolanach zgrabną platynową blondyneczkę; binokle spadły mu na jej suknię i profesor szukał ich właśnie, a dziewczyna wita się i chichotała. Wysoka, przystojna, ciemnowłosa kobieta o tragicznej twarzy zastukała w stolik kieliszkiem i oświadczyła, że to niesmaczne i jeśli o nią chodzi odmawia przyjęcia tej roli; na stoliku na wpół leżał z głową zanurzoną w talerzu jakiś blady, sflaczały mężczyzna. Dociągnął tylko do zupy.

- Profesor dobiera sobie obsadę - skomentowała Kate. Erik Krogh roześmiał się. Wszyscy na niego spojrzeli. Za

kwietnego tarasu wychynął zarządzający i zaczął bić brawo orkiestrze z radosną ulgą; od pół godziny zerkał zza liści i kwiatów, żeby się przekonać, czy przyjęcie się uda; wszyscy kelnerzy rzucili się biegiem napełniać kieliszki; ciężar spadł z serca. Nagle Hammarsten ich zauważył; okulary miał z powrotem na nosie i natychmiast, strąciwszy na podłogę blondynkę w różowej sukni, jakby wylewał kieliszek reńskiego, zataczając się po pijanemu, podszedł do nich w swoich znoszonych wąskich czarnych spodniach i tużurku. Obydwie kobiety ruszyły jego śladem, pozostawiając bladego mężczyznę w zupie.

- Niech pan siada, panie profesorze - poprosiła Kate. -Wybiera pan sobie obsadę?

- Niezły pomysł - powiedziała ciemnowłosa tragiczka. -Jest tam jedna scenka w burdelu. - „Burdel” powiedziała po angielsku, jak gdyby nie chciała kalać języka szwedzkiego.

- Mocna rzecz - zauważył Anthony.

- Ba - wtrąciła blondynka - jeżeli ty nie bierzesz tej roli, ja ją wezmę. Prawda, panie profesorze?

- Staniesz sobie w ostatnim rzędzie chóru.

- A co, może mam złe nogi? Ciekawe, jaki z ciebie pożytek mieliby w burdelu.

- Moje panie - przerwał im profesor - moje panie - i upuścił binokle na kolana brunetce.

- A czy wybrał już pan tego - zapytał Anthony - no, jakże mu tam... tego druida?

- Gowera - przypomniał profesor. - Gdzie jest Gower?

- Spi w zupie - powiedziała blondynka. - Daj mu spokój, kochany.

- Myślę, że pani świetnie się nada - zauważył głośno Anthony.

- Jak to świetnie? - zapytała blondynka po angielsku z amerykańskim akcentem.

- Do tej sceny w burdelu.

Brunetka bez żadnego powodu przerzuciła się na francuski, przyjęcie nabrało charakteru międzynarodowej i pełnej urazy konferencji rozbrojeniowej.

- Chodźmy się przejść. Zgrzałem się - zaproponował Anthony.

- Jak to zgrzał się pan? - zapytała blondynka urażonym tonem. Znow zaczęła mówić po szwedzku, zwracając się do profesora, który przez grzeczność dla swoich angielskich znajomych odpowiadał po angielsku. Profesor jął wysławiać cnoty Krogha. Mówił o pomniku, który winien stanąć przy Gustawie patrzącym w stronę Rosji. - W stronę Rosji - powtó-

rzył, przesadnie podkreślając aluzję i porozumiewawczo kiwając głową do Krogha. Wszyscy podziwiali przystępność Krogha, skakali wokół niego podnieceni, jego obecność przydawała zgromadzeniu groźnego tła, byli jak dzieci wtykające palce między pręty klatki z jakimś drapieżnym, ale sennym ptakiem. Mieli rozkoszne poczucie, że wyzywają niebezpieczeństwo, zastanawiali się, kiedy dziobnie.

Ale Krogh uśmiechał się do nich całkowicie szczęśliwy. Tyle lat to zachowywanie pozorów, myślał, te koncerty, opeiy, przyjęcia.

- Proszę brandy - zwrócił się do kelnera.

- *Une bouteille* - dorzucił niepewnie Anthony, a tragiczka natychmiast zalała go potokiem francuszczyzny. Wyłowił kilkakrotnie powtórzone *Académie Française* i *cochons*.

- Pani jest Francuzką? - zapytał.

- Ona Francuzką? - zakpiła blondynka. - Pan mnie rozśmiesza.

- A pani jest Amerykanką?

- Amerykanką! - odcięła się brunetka. - Jak żyje, nie wytknęła nosa dalej niż Ellis Island.

- Gorąco tutaj. Chodźmy się przejść.

- Napij się jeszcze brandy.

- Jutro zaczynamy próby. Gdzie jest Gower?

- Przecież oni mają się pobrać.

- Nie rozśmieszaj mnie.

- Co za pomysł - ta scenka w burdelu.

- No cóż, mogę przyjąć tę rolę.

- Nędzna filmówka.

- Gorąco tutaj.

- Jak to gorąco?

- Drogi profesorze, panu potrzebny jest jakiś prawdziwy aktor,

- To jedyne, co ona ma prawdziwego.

- Gdzie moje binokle?

- Gdzie Gower?
- Gdzie ta brandy?
- Niech pan mnie nie łaskocze, drogi profesorze.
- Powinien stanąć pomnik. I stanie pomnik.
- To tajemnica. Nikomu nie mów. Oni biorą ślub.
- Anthony, trzymaj język za zębami. Jesteś pijany.
- W stronę Rosji.
- To największa sztuka największego dramaturga.
- W najwspanialszym przekładzie, kochany profesorze.
- Ona mnie rozśmiesza.
- Oto pańskie okulary.
- „Spośród jesionów druid Gower się pojawił...”
- Dlaczego pan sam, kochany profesorze, nie zagra tej roli, zamiast pozwalać tej pijanej świni...?
- Chodźmy się przejść.
- Gdzie ta brandy?
- „Przez liczne parowy i strome percie...”
- Zaproś ją na spacer. Ona jest zgrzana. Aż się spociła.
- Nie chcę z nią. Chcę z tobą.
- Wypchaj się. Odczep się ode mnie. Ja chcę pogadać z Herr Kroghiem.
- Kate, powiedz mi prawdę. Czy myślisz, że moja praca jest przyzwoita?
- Och, Anthony, bądź ostrożny.
- Pozwoli pan, że panu powrózę, Herr Krogh? Oooch, jaka długa i zdrowa linia życia! Ożeni się pan i będziecie mieli troje, czworo, pięcioro ślicznych dzieciątek.
- Założę się, że nie będzie ich miał.
- Anthony, bądź ostrożny.
- Och, kochany, zupełnie zapomniałam. Powinien pan położyć mi na rękę coś srebrnego. Ale przecież teraz nie mamy srebra. Myślę, że nikłowa moneta wystarczy... albo banknot. No, tak na szczęście. Jeśli pan zechce, to później oddam.

- ~ „W której ojciec upodobał sobie, kazirodczą budząc miłość...”
- Szczerze mówiąc, nie rozumiem, dlaczego profesor tak sobie upodobał tę sztukę. Mnie wydaje się ona pospolita.
  - Ach, spójrzcie, co dostałam od Henr Krogha. Nie uwierzylibyście.
  - Ordynarna smarkula. Choćby dlatego, żeby ratować tę sztukę profesora, gotowa jestem zagrać Marinę. Och, panie profesorze, znów te pana szkła. Nie, nie, już ja sama je wyjmę.
  - I ona o mnie mówi, że jestem ordynarna.
  - Chodźmy się przejść. Strasznie gorąco.
  - No pewnie, że teraz pójde. Bezwstydnicą!
  - „Grunt jest tu najniższy i jesteśmy w połowie drogi...”
  - Całą sztukę zna na pamięć!
  - Kelner, jeszcze jedna butelka brandy!
  - Zaraz wracam, Kate.
  - Trzymaj język za zębami, Anthony. Uważaj, co mówisz. Bądź ostrożny.
  - Będę milczał jak ryba, kochanie.
  - „I w tej jednej trumnie rzucić cię muszę na bagna...”
  - Teraz znów kogoś topią.
  - ..... lub związać skarb swój w jedwabne węzélki na radość temu błąznowi i śmierci...”
  - Co za intelekt. Praca z nim to będzie przyjemność.
  - Chodź prędko. Najbardziej nienawidzę topienia się.
  - Podobno to najprzyjemniejsza śmierć. -Ależ gorąco. Chodźcie, proszę.

- Widzi się całe swoje życie. W jednym przebłysku świadomości. Wyszli pomiędzy płaskie w świetle reflektorów drzewa; na wysokich obcasach potykała się o liście, w ciemności metal cieniutko pojękiwał na wietrze; Anthony ucałował jej ściągnięte i chwytiliwe wargi; daleko w dole, w mroku przypiływ uderzał o poszarpany brzeg.



- „I spójrz, jak świeże jej lica...” - przez otwarte szeroko okna doleciał ich pijany, ale do głębi wzruszony głos profesora - „... nazbyt nieokrzesani byli ci, co wrzucili ją do morza...”

- Cóż za mokra sztuka - skrzywi! się Anthony. - Morze. I bagno.

- Kocham morze - oświadczyła blondynka, naśladowując głos Greta Garbo.

- Myślę, że uda nam się znaleźć jakąś łódkę - rzekł niechętnie. Pełne pięć sążni głębokości... całe życie... najłatwiejsza śmierć.

- Nie w tych butach, kochanie. Jak ci na imię, kochanie?

- Anthony.

Przypominała wiązkę cienkich sznurków, kiedy ją pocałował. Pociągnęła go za włosy palcami pachnącymi cukierkiem owocowym, usta miała syntetycznie słodkie jak sztuczny owoc. Zapytała:

- To twoja siostra? -Tak.

- Nie wierzę ci. Kochasz się w niej. -Tak.

- Niegrzeczny chłopak. - Polizała go po policzku. - Powinieneś się ogolić, kochanie. - Mig. mig, lizała mechanicznie, jakby pocierała zapalną. „Kazirodczą budząc miłość... budząc...” - myślał, a głos profesora mówił o śmierci na morzu, liście Lloyda, o zdjęciu nigdy nie oglądanej matki, zdjęciu leżącym twarzą w dół w walizce na strychu, o Kate. Wyciągnął rękę i poszukał w ciemnościach blondynki, stała trochę wyżej od niego na stromej ścieżce, dotknął ręką jedwabiu i przesunął ją wyżej, do skóry. Po pijanemu czy na trzeźwo, smutek pozostaje smutkiem, pomyślał i powiedział:

- Ktoś jest za tobą na ścieżce.

Blondynka podskoczyła z krzykiem, Anthony poślizgnął się, przytrzymał dziewczynę i znów się poślizgnął, aż uchwycił równowagę, głęboko zarywszy obcasami w ziemię.

- Stromo tu - powiedział - o mało mnie nie zepchnęłaś.
- Naprawdę jest ktoś na ścieżce?
- Nie wiem.

Wspięli się z powrotem w stronę oświetlonych okien, od drugiej strony tarasu z poustawianymi do góry nogami stolikami, balustradą i szeleszczącymi, przesypującymi się liśćmi.

- Nikogo tu nie ma.
- Idzie przed nami. O!

Dziewczyna znów krzyknęła, tym razem dla efektu. Małpowała teatr zawodowy, tamtą tragiczkę, wyrzucając w górę ręce i wznosząc porcelanową twarz; zapachniało wokół cukierkami owocowymi i mdłymi chemikaliami.

- Zobaczę, czego on chce - powiedział Anthony.
- *Farual* - powiedziała blondynka, teatralnie szwedzka, poprawiając makijaż przy balustradzie.

Anthony okrążył hotel i wyszedł na podjazd.

- Czego pan chce? - Tamten stał teraz w świetle. Odwrócił zmieszaną i ubłoconą twarz i czekał na Anthony'ego. Był młodszy: bez kołnierzyka, w grubych buciorach, nieśmiały. Anthony powtórzył: - Czego pan chce?

W czasie, kiedy jedli obiad, spadł deszcz; Anthony nie podchodził bliżej. Tamten był przemoczony, przy każdym ruchu kłapała mu odklejona zelówka u buta.

- *Forint mig* - powiedział młodzieniec. Uwagę jego przyciągnęło wilgotne lśnienie lakierków Anthony'ego i jego biały krawat. Było tak, jakby po trosze tracił pewność siebie, w miarę jak dostrzegał ten podjazd w blasku reflektorów, tamten pocałunek w ciemnościach, blondynkę przy balustradzie, lakierki i wykrochmaloną koszulę, jakby spodziewał się zastać tu coś innego, jakby trafił nie tam, gdzie chciał trafić.

- Mówi pan po angielsku?

Tamten potrząsnął głową i po szwedzku zaczął wyjaśniać, o co mu chodzi. Było to coś słusznego i pilnego. „Nykóping” -usłyszał Anthony i „Herr Krogh”.

Z cienia wyłoniła się jasnoróżowa sukienka.

- Czego on chce?

Ale młody człowiek już umilkł.

- Kochanie, masz tu gdzieś samochód?

- Krogha.

- Poszukajmy samochodu i posiedzmy w nim trochę. Młody człowiek spostrzegł, że go zostawiają, i szybko zaczął mówić.

- O co mu chodzi? - zapytał Anthony.

- Chce się zobaczyć z Kroghiem. Chodzi o jego ojca. Zwolniono go z pracy. Jego ojciec zna Herr Krogha. Nie mamy z tym nic wspólnego. - Zmieniła akcent, tak jak zmieniają się światła na skrzyżowaniu: amerykański, angielski i zaraz czarujący szwedzki. - To tylko jakiś nudziarz, kochany Anthony. - Stała olśniewająco międzynarodowa pod reflektorami, wśród kałuż; podrzędne teatrzyki wszystkich stolic świata upiększyły ją niezliczonymi odmianami akcentów i starły do reszty wszelki ślad prawdziwej narodowości. - Mówi, że nazywa się Andersson.

- Stara śpiewka o niedoli?

Niezgrabny, jasnowłosy i całkowicie niezdolny porozumieć się w żadnym innym języku Andersson zachował przynajmniej swoją przynależność narodową i pomiędzy nim a Anthonym wyrosło nieśmiało poczucie wzajemnej sympatii, jak gdyby jeden uznał ograniczenia drugiego w obcym świecie.

- Pójdę i powiem mu - zaproponował Anthony.

- Co ty sobie myślisz? - oburzyła się dziewczyna. - Herr Krogh nie zachce gadać z kimś takim,

- Ale to porządny facet.

- Chodź, to się zabawimy w aucie, kochanie. - Czująca właściwą luksusowym prostytutkom pogardę dla robotników; była niezachwianie konserwatywna; awansowała i nie miała zamiaru oglądać się za siebie.

Młody człowiek cierpliwie czekał, aż się na coś zdecydują.

- Idź i zaczekaj na mnie - powiedział Anthony. - Ja tylko skoczę i powiem słówko Kroghowi.

- Tyle hałasu o tego biednego Jasia.

- Mnie samemu też się różnie wiodło - wyjaśnił Anthony.

- Jemu nie wiedzie się źle. Powiada, że pracuje u Krogha.

- No - rozstrzygnął ze złością Anthony - najwyższy czas, żeby poznał któregoś ze swoich robotników. Ten człowiek przemókł do nitki. Nie możemy go zostawić na dworze.

Wyrwał się brutalnie, ruszył do szklanych drzwi i skinął na Anderssona. Tamten poszedł za nim, powłócząc zmęczonymi nogami - pośrodku hallu jaśniała łagodnie kolumna światła; jasnobrązowe ściany, głębokie, wielkie fotele, muzyka z restauracji zdawały się zdejmować z niego kurz, zmęczenie i te grube buciory i zawieszać je tam jak jakiś dziwaczny eksponat, jak przyniesionego dla wymyślnego żartu stracha na wróble.

- Teraz niech pan nam coś opowie - mówiła tragiczka. Wszyscy oprócz Kate, która obserwowała z niepokojem Krogha, jedli biskwity z serem, wyjmując je wprost z puszki.

Krogh roześmiał się i pogłaskał po swojej łysej, pokrytej skórą jak pergamin głowie.

- Ja... ja nie mam nic do opowiadania.

- Och, ale w życiu, w tym romantycznym życiu, jakie pan wiódł...

- Ja wam coś opowiem - zaproponował Hammarsten. Tragiczka rozpaczliwie oscylowała między obydwoma, starając się nie stracić ani jednego, ani drugiego.

- Kochany panie profesorze, za chwilę... Pańska Marina będzie zachwycona, ale najpierw...

- Znam anegdotkę o trzech takich, co poszli do burdelu w Chicago... - zaczął Krogh. - Zaraz. Muszę sobie przypomnieć. Tyle lat...

- Posłuchaj, Erik - przerwał mu Anthony - ktoś chce się

z tobą zobaczyć. Jakiś facet nazwiskiem Andersson. Mówi, że u ciebie pracuje.

- Z jakiej racji wpuścili tu tego starego? - zirytował się Krogh. - Nie życzę sobie, żeby mi zwracano głowę. Każ mu odejść.

- To nie żaden stary. Mówi, że znasz jego ojca. Zwolniono go z pracy.

- Erik - zapytała Kate. - Czy to ten, z którym przedwczoraj rozmawiałeś? Ten, któremu przyrzekłeś...

- „Nagotujcie ogień i mięso dla biedaka...” - wyrecytował z pasją Hammarsten i binokle tym razem wpadły mu między biskwity. - „Noc była wietrzna i burzliwa...”

- Nie dałem mu nic na piśmie - powiedział Krogh.

- Kazałeś go wyrzucić z pracy?

- Tak było najbezpieczniej. Wymyśliliśmy jakiś zarzut przeciwko niemu w fabryce. Związek nie mógł protestować. Nie mogłem ryzykować strajku.

- To było ukartowane? - zapytał Anthony. - Jego syn nie zdaje sobie z tego sprawy. Myśli, że coś poradzisz.

- Każ mu stąd odejść - powiedział Krogh. - Nic tu po nim.

- Wątpię, czy zechce.

- To go wyrzucić - nalegał Krogh. - Przecież ci płacę za to.

- Niech mnie szlag, jeżeli to zrobię - odparł Anthony.

- Na litość boską - wtrąciła Kate. - Jedźmy stąd. To żadna zabawa. Wypiliśmy już brandy. Po kiego diabła taszczył pan tu te biskwity, profesorze?

- Stare auto - wyjaśnił profesor - myślałem, że możemy nie dojechać. Nie mogłem dopuścić, żeby dziewczynki umarły z głodu.

- Jedźmy do domu - powtórzyła Kate. - Anthony, idź i odeślij tego człowieka.

- Niech mnie szlag, jeżeli to zrobię - upierał się Anthony.

- Wobec tego ja pójdę - powiedziała Kate. - Zwariowałeś, Anthony.

- Hall! - wykrzyknął nagle Krogh. - Hall!

On pierwszy go zauważył: w głębi oświetlonej sali ten kaczy chód na pałkowatych nogach, tweedowy garnitur, brązowa, wcięta kurtka z welwetowym kołnierzem („Ależ to Hall” -oznajmił Krogh), niewielki kapelusz o opływowej linii i szczupła, płaska twarz cockneya.

- Powiedzieli mi w biurze, panie dyrektorze, że pana tu zastanę.

- Czy wszystko w porządku?

Hall patrzył na nich wszystkich: tragiczkę, Anthony'ego i Kate, z głęboką i jawną podejrzliwością; odpowiedział:

- Oczywiście, panie dyrektorze.

- Siadaj i napij się, Hall. Przyleciałeś?

- Utkwiłem na parę godzin w Malino.

- Zje pan biskwita, panie Hall? - zapytała Kate, ale Hall ani od niej, ani od nikogo innego nie był skłonny niczego przyjąć. Nawet przyniesiony przez kelnera kieliszek podejrzliwie wytarł pod stołem brzegiem obrusu. Zdusił rozmowę swoją podejrzliwością i oddaniem.

- „Wysokie morze, wiatr głośny...” - zaczął recytować Hammarsten, ale uchwycił spojrzenie Halla i zamiast dalszego ciągu przełamał biskwita.

- Niech pan zdejmie kurtkę, panie Hall - powiedziała Kate.

- Zaraz idę. Wpadłem tylko na wypadek, gdyby coś...

- Nie możemy tam trzymać tego faceta całą noc - wtrącił Anthony. - Przemókl do nitki.

- Kto to? - zapytał Hall. Na nich nawet nie spojrzał, nie spuszczał swoich ruchliwych psich oczu z Krogha, oczu nie jakiegoś tam sentymentalnego domowego psa, ale brązowego teriera o napiętej skórze, przesiadującego pod drzwiami pubów i biegnącego truchtem przy nodze bywalca wyścigów, ruchliwego psa, który wygrywa zakłady w gonitwie za kotem i poluje na szczury po piwnicach.

- To miody Andersson - wyjaśnił Krogh. - Jego ojciec był

motorem strajku, którym mi grozili w fabrykach. Wymanewrowałem go. Żadnych obietnic na piśmie... żart, cygaro. Kłopoty z powodu płac w Ameryce.

Na tle orkiestry, powłócząc różową suknią pojawiła się blondynka - niewinne, ściągnięte i wymalowane usta, błagalne wejrzenie - sponiewierany kwiat podniesiony z podłogi, gdzie przeleżał całą noc.

- No wiesz, Anthony, nie masz prawa tak mnie traktować.

- A potem go wyrzuciłem. Coś tam na niego znaleźli. Tak było najlepiej. Ten chłopak szuka awantury.

- Siedzę w tym aucie, aż zmarzłam na kość.

- Dajcie mu się przynajmniej napić - nalegał Anthony.

- Chodźmy do domu, Erik - powiedziała Kate.

- No, to będzie się pan musiał z nim zobaczyć. Wprowadziłem go do środka.

- Pan nie chce go widzieć, panie dyrektorze? - zapytał Hall. - Pan chce, żeby się wyniósł?

- Powiedziałem ci, żebyś go odesłał - powiedział Krogh do Anthony'ego.

Hall nic już nie mówił. Nie spojrzał nawet na Anthony'ego; na nikogo nie trzeba było patrzeć, żeby wiedzieć, że w odniesieniu do dyrektora Krogha nie można im ufać. Wstał. Ręce trzymał w kieszeniach kurtki, kapelusz zsunął trochę bardziej na czoło, kaczym krokiem wyminął orkiestrę, wysrebrzone plamy i szklane drzwi, wychodząc w szeroką pustkę hallu wejściowego, nie patrząc ani na prawo, ani na lewo, mijając kantorek recepcji w drodze ku miękkiemu dywanowi pod środkową lampą, na którym stał rozglądając się młody Andersson.

W restauracji znów zagrała orkiestra. „Czekam, kochanie”.

*Czekam, kochanie, Dostyc tej złości. Pomówmy o miłości,*

**16. Made in England 241**

*Kochanie,*

*Tak jestem sam...*

- **Ty** miody Andersson? - zapyta! Hall. Jego znajomość szwedzkiego składała się głównie z rzeczowników, których wyuczył się z kieszonkowego słownika.

- Tak - odpowiedział Andersson - tak. - Spiesznie zrobił krok w stronę Halla. - Tak, jestem Andersson.

- Wracać - oświadczył! Hall. - Wracać.

*To niemodne, kochanie, Lecz nie uprościsz, Tej namiętności, Kochanie...*

- Wracać - powtórzył! Hall - wracać.

- Chcę tylko zobaczyć się z dyrektorem Kroghiem - wyjaśni! Andersson, nieśmiało uśmiechając się do Halla. Hall uderzył go prościutko w szczękę i powstał nad nim przez chwilę, na wypadek, gdyby trzeba było raz jeszcze go uderzyć, po czym zsunął! kastet i zwrócił! się do urzędnika recepcji:

- Na dwór!

Wracając do sali, myślał z goryczą: siedzą tam te wszystkie cholerne pasożyty, żłopią jego wino, a nikt z nich palcem nawet nie kiwnie, kiedy trzeba dla niego coś zrobić.

W lustrze przy drzwiach do restauracji zobaczył, jak Andersson podnosi się na kolana; klęczał ze zwieszoną głową, a krew kapłała na beżowy dywan. Hall nie czuł do niego ani gniewu, ani sympatii; w sercu miał tylko głęboką i bezinteresowną miłość, zupełnie niezależną od pieniędzy, jakie mu płacono. Przypomniawszy sobie te spinki do koszuli; miał je w tej samej kieszeni co kastet, w małym pudełeczku z brązowej skóry, pociemniałej teraz i poplamionej krwią. Hall ze smutkiem i gniewem obejrzał je. Nawet to pudełeczko wybierał ze



staraniem, żeby to nie było nic tandetnego, żeby było w najlepszym guście. Przemierzył z powrotem hall i potrząsnął pudełeczkiem przed oczyma Anderssona.

- Skurwysynu - powiedział po angielsku. - Cholerny skurwysynu.

Młody Andersson miał usta pełne krwi, miał krew w oczach, nie widział dobrze.

- Nie rozumiem - powiedział, wypuszczając wraz z oddechem bańki - nie rozumiem, nie rozumiem.

Hall potrząsnął nad nim pudełeczkiem, podniósł nogę i kopnął go w żołądek.

## **Część szósta**

## I

Pociąg do Göteborga odjeżdżał za pół godziny. Anthony i Lu poszli aż do Vasagatan, minęli pocztę i zawrócili.

- Powinniśmy iść już na dworzec - stwierdziła Lu.
- Kupiłem ci te czekoladki.
- Dziękuję.
- Czy masz dosyć papierosów?
- Tak - odparła.

Ranek w Göteborgu, śniadanie w Drottningholm, jeden lunch zjedzony z całą rodziną - spotkań było niewiele i człowiekowi pozostawało uczucie niedosytu. Angielski statek spacerowy, stojący przed Grand Hotelem tamtego wieczoru, kiedy przyjechali do Sztokholmu, podniósł już kotwicę, krzesła sprzed Hasselbacken wniesiono do środka, Tivoli zamknięto - cały świat zwracał się ku zimie, wszyscy wyjeżdżali.

- Masz pisma ilustrowane?
- Całe mnóstwo.

Zawrócili z wibrującego hałasem placu przed stacją i ruszyli znów tą samą ulicą, do poczty i z powrotem. Anthony kiwnął ręką Minty'emu, który siedział w restauracji naprzeciwko dworca i przelewał kawę na spodek. Nie pozostawało już nic poza słowami: - Szkoda, że wyjeżdżasz, spotkamy się kiedyś, było mi miło, dziękuję ci, *au revoir, auf Wiedersehen,*

jeżeli będziesz kiedy w Coventry... nic poza pocałunkiem na peronie i widokiem odjeżdżającego pociągu.

- To były mile chwile.
- Dla mnie też.
- Powinniśmy już iść na dworzec.

Jeszcze jeden krok do automatu ze znaczkami, zwrot na obcasach, z powrotem do Vasagatan.

- Tak bym chciał też jechać.
- Ja też bym chciała.
- Będzie ci mnie troszkę brakować? -Tak.
- Pisz.
- I po co?
- Twój ojciec idzie. Szuka cię. Kiwnij do niego, to sobie pójdzie.

Niesie Lockharta.

Oto dobijanie do końca, które będzie wspominać jak tamtą klatkę schodową, napisy na ścianie, i nie zabrane mleko.

- Po co wychodzić na peron? Dziesięć minut do odjazdu. -Szare, wysoko sklepione chmury cienką warstwą rozpostarte na jasnym łuku nieba. - Będzie padało.

- Pójdę trochę dalej - mówi Anthony i myśli: - Nie jest tak źle, ten koniec taki sam jak inne, lepszy niż wydzwanianie do pustego mieszkania, wyczekiwanie przez cały ranek na schodach i szukanie napisu, którego na ścianie nigdy nie było. „Nie biorę dziś mleka”, „Wracam o 12.30”, „Wyjeżdżam. Jutro wracam” - pośród starych napisów niezdarnie bazgrołone przez posłańców kobiece biusty. Ten koniec nie jest taki zły, wymknij się, pocziwy Minty czeka, napij się kawy, nie wiadomo, co przyniesie następny sezon, człowiek ma nadzieję.

- Podoba mi się twój kapelusz.
- Stary jak świat.

Nie jest taki zły ten koniec, ponieważ człowiek już się przyzwyczaił: życie jak alfabet Morse'a, kropki i kreski bez żadnych rozdziałów.

- To na pewno mój pociąg. Jeżeli będziesz kiedy w Coventry...
- No cóż, może i będę.
- Prędko. Weź moją wizytówkę. Mamy telefon.

Czy to dlatego, że człowiek za łatwo poddaje się temu nastrojowi odjazdu, pośpiechu, szukania wagonu, nie ma czasu pomyśleć dwa razy, jakby coś tracił...

- Nie chodź już dalej.
- Muszę. Twój wagon jest tam dalej.

Tylko dlatego, że tragarz coś krzyczy i trzaska drzwiami.

- Posłuchaj, Annette.
- Dla ciebie Lu.

- Tak, Lu. Poczekaj. Jeszcze trzy minuty. Myślałem o tym. Masz rację co do tej mojej pracy. Rzucam ją. Parę dni temu w Saltsjobaden... Za tydzień wracam do Anglii, Lu.

- Nie wrócisz.
- Wrócę.
- Och, to by było świetnie!
- Trwały związek?
- Tym razem wszystko mi jedno.
- Od dziś za tydzień w Coventry. Gdzie możemy się spotkać?

Przy końcu długiego pociągu machali rękami David-ge'owie, ale jeszcze był czas: dwie minuty do odjazdu i poseł angielski wsiadał do wagonu. Zawiadowca stacji zgiął się w ukłonie, biegł tragarz, sir Ronald miękko stąpał w zamszowych półbucikach w kierunku kiosku z książkami: dwie walizki, mały wypad do kraju na parę dni.

- Od dziś za tydzień.
- Słuchaj - mówiła Lu. - Na High Street jest taka kawiarnia. „Marokańska”. Na pewno ją znajdziesz. Po tej samej stronie co Woolworth, ale bliżej poczty. Od dziś za tydzień będę tam w porze popołudniowej herbaty. Jeśli nie będziesz mógł przyjechać, zadzwoń.

- Będę tam - zapewnił Anthony.

- W drugiej sali.

Nie mogli się pocałować - krępowała ich obecność niecierpliwych Davidge'bw; podali sobie ręce i Anthony, czując, jak drobne kostki jej palców trzeszczą mu w dłoni, pomyślał: - Trwały związek, to jest trwały związek. Odbiegła od niego w stronę ostatnich wagonów pociągu; czuł się zmęczony i rozdarty, jakby oderwała mu część serca, tę, która do niej należała - śniadanie, lunch, łóżko w mieszkaniu Minty'ego. Sir Ronald wszedł do swojego przedziału pierwszej klasy, otworzył *Timesa* i Anthony'ego minęły nabierające szybkości wagony z migotaniem szkła, błyskiem elektrycznego światła, niby pułk wyelegantowanych i wypucowanych do połysku żołnierzy, a on, jak jakiś stary, wyciągnięty z naftaliny generał, przyjął ich salut. Potem poszedł poszukać Minty'ego. Musiał z kimś pogadać.

Ludzie przechodzili obok, a Minty przelewał kawę na spodek i z powrotem ze spodka do filiżanki.

- Rzucam tę pracę - oświadczył Anthony. - Jadę z powrotem do Anglii, do Coventry.

- Praca jest pracą - zauważył Minty.

- Coś się znajdzie. - Nie był jednak taki pewny, jak kiedyś, choć nigdy nie głodował, nigdy nie był długo bez pieniędzy i zawsze zostawały odkurzacze.

- No to szczęściarz z ciebie - powiedział Minty.

- To z ciebie szczęściarz. Masz stałą pensję - właściwie jednak nie zazdrościł Minty'emu. Tu w tej kawiarni naprzeciwko dworca, obserwując Szwedów idących do pracy i niewielki ruch przed dworcem, świadczący, że jeszcze jakiś pociąg wymyka się do GÓteborga albo na wieś, ujrzał wyraźnie siebie i Minty'ego jako jedną osobę: tego wygnańca z ojczyzny i ze szkoły i tego trampa, którego przytułkiem były Szanghaj, Aden i Singapur, śmietniska zmieniającego się świata. Jeżeli w ogóle można było czegokolwiek zazdrościć Minty'emu, to

tego, że wybrał sobie swój śmietnik i w nim już pozostał. Brak im było środków, by bronić swego, ale świat tak ich ukształtował, że nie mieli sił potrzebnych do stawiania oporu. Za mało mieli świeżości, za mało optymizmu, żeby wierzyć w pokój, współpracę i godność pracy, a jeżeli w nie wierzyli, za starzy byli, żeby włączyć się w nie czynem. Nie byli ani jednym, ani drugim; właściwie tylko wtedy byli szczęśliwi, kiedy pozostawali razem: w klubach obcych stolic, w pensjonatach, na obiadach oldboyów, na krótko przekonani z pomocą wina, na które nie było ich stać, że w coś wierzą -w stary kraj, w króla, w hasła antybolszewickie, w koleżeństwo okopów. „Mój dawny ordynans...: Ja na to - jakoś mi znajoma pańska twarz. Zdaje się, że był pan pod Ypres w piętnastym”.

- Dlaczego rzucasz pracę? - zapytał Minty.

To dlatego, że jestem za stary i za młody, pomyślał. Za stary, żeby wierzyć w sprawiedliwy świat, za młody na to, żeby kraj, król i okopy mogły dla mnie w ogóle coś znaczyć.

- Są rzeczy, których nie będę robił nawet dla Kate - odpowiedział.

- Gdybyś mógł posiedzieć jeszcze miesiąc, wziąłbyś udział w obiedzie dla harrowczyków. Uzyskałem w końcu zgodę sir Ronalda.

- Wcale nie byłem w Harrow.

- Jasne, że nie byłeś. - Minty podmuchał na kawę. - Zima tuż, tuż. Zawsze ją poczuję w żołądku, w tym miejscu, gdzie mnie drenowali.

- Powinieneś nosić ciepły pas.

- Noszę.

- Ja musiałem go nosić całe lata. po tym, jak mi wycięli wyrostek robaczkowy. - Znudzeni, bez pasji zajęli się tym, co ich wspólnie interesowało. - Mnie operowali w Westminster.

- Mnie tutaj. - I Minty dodał z oburzeniem: - Leżałem na wspólnej sali.

- Kiedy szóstego dnia zdjęli szwy...

- We mnie musieli zostawić rurkę. Nawet dziś jeszcze nie mogę pić nic gorącego.

- Mnie czasami boli. Zastanawiam się, czy nie zostawili w środku czegoś, jakiejś gazy albo kleszczy.

- Widziałeś ministra? - zapytał Minty. - Wyjeżdżał na parę dni do Londynu.

- Wróci pod koniec tygodnia.

- Często zastanawiam się - rzekł Minty - czyby nie wrócić. Zjawić się nagle. Wszystkich zaskoczyć. Parę dni temu dostałem list od ciotki. Jeszcze zupełnie o człowieku nie zapomnieli. Chciałbym jeszcze kiedyś pójść do Oratory. - Spróbował napić się kawy, ale szybko odstawił filiżankę i otarł sparzone wargi.

- Za tydzień od dziś będę w Anglii - powiedział Anthony.

- Będzie mi ciebie brak - oświadczył Minty, unosząc swoją żółtą, zapadniętą, smutną twarz zbitego psa. - Wszyscy się wynoszą. Jeden Minty zostaje.

- No - oznajmił Anthony - muszę iść powiedzieć to Kate i zgromadzić trochę gotówki. Napijesz się jeszcze kawy, zanim wyjdę?

- O dziękuję, dziękuję - zgodził się Minty szybko, na wypadek, gdyby Anthony zechciał cofnąć zaproszenie. - To mile z twojej strony. Chętnie wypiję jeszcze jedną. Będzie sobie stygła, kiedy ja będę pił tę. Jeżeli tu jeszcze posiedzę, na pewno doczekam się Nilsa. A niemilo jest za długo czekać o jednej kawie.

Anthony zamówił kawę. Co, u diabła, myślał, wracam do kraju i jeżeli teraz nie czuję się szczęśliwy, kiedy wszystko postanowione i zostaje tylko zgromadzić trochę forsy i znowu pożegnać się z Kate (tyle lat obywaliśmy się bez siebie, o co teraz się martwić?), jeżeli teraz nie czuję się szczęśliwy, to kiedy będę się czuł? I zadrgała w nim jakby namiastka szczęścia, jałowej i gorzkiej, ale całkiem rześkiej beztroski. Spalić za sobą mosty.



- A co byś powiedział na pożegnalny prezent, Minty? - zapytał.
- Nie miałbym nic przeciwko temu - odpowiedział Minty. - Ale naprawdę niczego się nie spodziewam aż do przyszłego miesiąca.
- Mam na myśli prezent dla ciebie, materiał do artykułu na pierwszą stronę. Dostaniesz go za darmo, bo cię lubię, i dlatego, że jesteś tak samo goły, jak ja będę za tydzień.
- Zbyt jesteś wspaniałomyślny - oświadczył Minty, niespokojnie wypatrując kelnera z kawą.
- Krogh żeni się z moją siostrą.
- O rany słonia! - wyszeptał Minty. - Czy to prawda? Jesteś tego pewny? W tym to bym się nie odważył ich zbujać. Byłoby ze mną krucho.
- Słowo honoru. Na cienie przodków. - Pokazał Minty'emu rękę (przyzwyczajenie z pierwszych lat szkolnych), żeby tamten zobaczył, że nie skrzyżował podstępnie palców.
- Rany słonia!

Zostawił Minty\*ego i beztrósco wywijając parasolem, wyszedł na deszczowe, zachmurzone ulice; przy Tagelbacken z dachów tramwajów zwisało parę kropel deszczu, wyblakły barwy ratusza wznoszącego się jak wysoka ciemna kolumna nad metalicznym jeziorem; mosty zostały spalone, nie można już było zostać. Na Fredsgatan ludzie stali w portalach sklepowych, czekając na taksówki. Anthony szturchał parasolem żelazne kwiaty przed biurami Krogha, czekając, aż portier mu otworzy - w dziesięjszym nastroju ten wielki, szklany, perfekcyjnie nowoczesny gmach, wzniesiony z nieskazitelnym smakiem, wydał mu się złowieszczy. Wszędzie paliły się światła, choć było jeszcze przedpołudnie, połyskiwały i mruczały elektryczne grzejniki. Mogłem dużo więcej powiedzieć Minty'emu: o tym, że wynaleźli coś na Anderssona, żeby go wyrzucić, o sprzedaży Batter-sonowi. Wbiegł po schodach na górę; czuł potrzebę fizycznego wysiłku; wyminęła go winda, śmigając w górę z jakimś czarno

ubranym urzędnikiem wiozącym naręczę kwiatów. Na jednym z podestów dziewczyna w okularach w rogowej oprawie zmieniała położenie całej floty sunących po mapie małych metalowych okręcików, szepcząc głośno: „Pięćdziesiąt pięć stopni, czterdzieści trzy minuty”. Zadzwoił telefon: czerwone światelko zapaliło się nad jakimiś drzwiami. Biura Krogha pracowały pełną parą - niczym wielki liniowiec oparty na kredycie, zależny od ślepego zaufania manewrujących nim urzędników, jak co dzień wyruszający w morze. „Sześćdziesiąt siedem stopni, dwadzieścia pięć minut”.

Anthony otworzył drzwi: przy wielkim biurku w kształcie podkowy, stojącym pod ocienionymi lampami, dwudziestu kreślarzy przenosiło na papier dwadzieścia pomysłów na plakaty reklamowe. Automatyczny gramofon wydawał z siebie ciche, uwodzicielskie tony, głos z mikrofonu udzielał rysującym wskazówek. To nie te drzwi. Otworzył inne. Tu znajdowały się stojące oddzielnie biurka z czarnego polituowanego drewna.

- Dzień dobry, Lagerson.

- Dzień dobry, Farrant.

Anthony pochylił się nad jednym z biurek i przysunął usta do wielkiego różowego ucha.

- Wymawiam pracę.

- Niemożliwe?

- Owszem.

Młody Lagerson wyglądał z rozdziawionymi ustami jak jakiś podwodny stwór: sterczące różowe uszy, blada, zielonkawa twarz, usta kurczowo chwytające tlen jak dotykająca nosem szyby akwarium ryba.

- Dlaczego?

- Znudziło mi się tu - odparł Anthony. - Żadnego pola do rozmachu, inicjatywy. - Zniżył głos i oczy zamglily mu się na widok tego surowego, statecznego pokoju. - Jaką masz tutaj szansę na zrobienie kariery? Powinieneś odejść, rozejrzeć się po świecie. Co robisz?

- Artykuł reklamowy.

Anthony z fasonem przysiadł na brzeżku biurka. Przeglądał się w tym urzeczonym, tępym spojrzeniu Lagersona - on, Farrant, śmiały poszukiwacz przygód, człowiek z inicjatywą. Ze złością kopnął czarne drewno.

- Od dziś za tydzień umówiłem się w Coventry.

- Co to jest Coventry?

- Takie wielkie przemysłowe miasto - wyjaśnił Anthony. -Sztokholm w porównaniu z nim to dziura. Tam nie zmarnuje się człowiek z pomysłami.

- Tak, tu jest nieciekawie - szepnął Lagerson ustami jak guma przyssanymi do szkła akwarium. - Człowiek nie śmie wyrazić głośno swoich myśli. Sami donosiciele. - Jego niedojrzała, sztubacka twarz spochmurniała.

- Nic się nie przejmuj - poradził Anthony. - Gadaj, co masz na sercu. Znajdą się tacy, co cię poprą. Niech cię usłyszą, to jedyny sposób.

Rzucił tę niebezpieczną radę całkiem beztrosko; nie obchodziło go, co się stanie z Lagersonem; pamiętał tylko o tym, że sam jest przeciwny Kroghowi z powodu Anderssona i z powodu Kate, i dlatego, że Krogh to autorytet i że winien jest Kroghowi pewną wdzięczność.

- Cześć, Lagerson. Muszę tylko zgromadzić trochę floty. No to piętro wyżej.

- Dzień dobry, Kate.

- Chwileczkę, Tony.

Przyglądał się, jak jej ręce poruszają się po biurku, układając rozcięte listy w dwie gromadki, porządkując wszystko, zanim będzie mogła z nim rozmawiać. Nawet jej twarz, pomyślał, ułożona jest starannie w wyraz czułości, w wyraz odpowiedniego stopnia czułości, nie „z poważaniem”, nie „oddana”, nie „kochająca”, ale po prostu „ucałowania, Kate”.. Kochał ją i podziwiał, ale jej sprawność irytowała go w tym samym stopniu, co ta fontanna na dziedzińcu. Za długo go

nie było, wróci! i zastał Kate naznaczoną już piętnem zakładów Krogha. Pomyślał, mocno użalając się nad sobą: -W końcu jestem dla niej ciężarem, lepiej się wyniosę, dam jej spokój, wzrastaliśmy każde osobno.

- Gadałem właśnie z Lagersonem.

- Chwileczkę, Tony.

Wzrastali każde osobno i każde inaczej: ją życie ociosaio, ukształtowały spiętrzone po drodze niebezpieczeństwa. Jego obrastały narośla, zgrubienia i liszaje wielu prób. Jego wbiły w próżność porażki i teraz czuł się zmieszany na widok skromności, jakiej nauczyło ją powodzenie.

- Jadę do domu - oświadczył.

- Do domu?

- To znaczy do Londynu - wyjaśnił z irytacją. - Nie jestem pewny, czy mój pokój jest jeszcze wolny. Wiem przecież, że nie mamy domu. Tak się tylko mówi.

- Nie mogłeś poczekać, żeby mi to powiedzieć po lunchu?

- Po lunchu?

- Mam nadzieję, że nie zapomniałeś, że jemy razem lunch, po raz pierwszy, odkąd tu jesteś. I na pewno nawet nie zauważyłeś, że przypięłam sobie... - powiedziała dotykając wpiętego kwiatu - ... i tego też nie widzisz? - dotknęła ust. - Nie mogłeś zachować tej radosnej niespodzianki na po kawie?

- Nic tu po mnie.

- Myślę, że to sprawka Lu. Cóż za cholernie głupie imię.

- Nie mam mu nic do zarzucenia. Imiona to i tak tylko dźwięki.

Kate, Lu, nie widzę, dlaczego jedno miałoby być głupsze od drugiego.

- Kiedy wyjeżdżasz?

- Umówiłem się z nią od dziś za tydzień.

- Od dziś za tydzień. - Terminarz z rozkładem zajęć, pozwalający jednym spojrzeniem ogarnąć dwa tygodnie, miała po lewej ręce. „Szósta. W mieszkaniu prywatnym koktajl dla dyrektorów”.

- Umówiliśmy się na herbatę.
- A co z pracą?
- Coś się znajdzie. Zawsze sobie jakoś radziłem.
- Mogłeś trzymać się tej, którą masz. Czy nie męczą cię, Tony, te ciągle zmiany pracy? Teraz będzie już tak bez końca.

Przez tydzień, łudząc się, że osiadł na stałe, nie pamiętał, jak bardzo jest zmęczony - te nowe twarze, nowe biurka, nowe spotkania. Zdusił je wspomnieniami o Lu, o znajomych prostytutkach z Wardour Street, o miłym, płatnym towarzystwie w wynajętym pokoju.

- To praca nie dla dżentelmena. Pamiętasz przedwczorajszy wieczór? Co mieli przeciwko Anderssonowi? Nie będę za nich prał brudów. Są rzeczy, których nie będę robił.

- Biedny Tony - rzekła Kate. - Na tym polega różnica między nami. Nie powinieneś był wcale wracać.

- Wracać dokąd?

- Do szkoły. Tamtej nocy, kiedy uciekłeś, źle ci poradziłam.

- Mówisz jak w gorączce, Kate.

- Przy twoich skrupułach będą ci potrzebne pieniądze.

- Właśnie po to przyszedłem, po trochę forsy. - Starał się załatwić z tym lekko, zabił i do widzenia, i odjazd. - Wstając dziś rano, pomyślałem sobie: „Kate będzie miała dla mnie trochę gotówki, oddam później”.

- Tak pomyślałeś? - powtórzyła Kate. - Pomyliłeś się. Nie bądź głupi. Tony. Posiedzisz tu i przez tydzień o niej zapomnisz.

- Wiem - przyznał Anthony. - Dlatego właśnie jadę. Upierał się, jak gdyby nie zapomnieć było sprawą honoru,

jak gdyby Lu była hasłem pozwalającym mu przekroczyć nieprzyjacielskie linie, słownym hasłem blaknącym w pamięci z każdą chwilą zwłoki.

- Domyślałam się, co się święci - mówiła Kate. - Coś mnie ostrzegało. Widzisz? Ubrałam się jak na podbój. Ale spodzie-

**17. Made in England 257**

walam się tego dopiero po kawie. Twoja ulubiona szminka, kwiaty. - I dodała z pierwszą oznaką znużenia: - Ale siostra ma zawsze mniejsze szanse. Nie mogę tak cię pociągać jak Lu, uznałbyś za nieprzyzwitość powiedzieć mi, że mnie kochasz.

- Ależ ja kocham cię, Kate. Słowo daję.

- Tak właśnie. Tym tonem. To ja tak ciebie kocham, Anthony.

Przyjaźnie, łagodząco położył rękę na jej biurku, zamierzyła się na jego palce scyzorykiem. Cofnął je szybko.

- Na litość boską, Kate...

- To igraszki miłosne, Tony, boli, ale...

- Mało mnie nie skaleczyłaś.

- Biedactwo, daj tę rękę. Zaraz przestaniesz.

- Nie rozumiem cię, Kate.

- Zazwyczaj rozumiałeś mnie, Tony. Nie pamiętasz, jak podczas ferii bawiliśmy się w telepatię? Leżałam w łóżku i myślałam o czymś, a na drugi dzień rano, przy śniadaniu...

- To nasza stara sztuczka, Kate. Dzisiaj chyba już by się nam nie udało.

- Mnie tak. Wstając dziś rano, wiedziałam, że to się stanie. Usłyszałam cię tak samo wyraźnie, jak wtedy, kiedy krzyczałeś.

Anthony roześmiał się.

- No, to przygotowałaś dla mnie pieniądze?

- Nie, nie. Ty w to naprawdę nie wierzysz. Czyżby ci zależało na dziewczynie, która nie wysili się nawet na żadną intrygę, żeby cię zatrzymać? A ja cię zatrzymam. Tony.

- Wbrew mojej woli?

- Och, mogę cię przekonywać, że to dla twojego własnego dobra; bo to jest dla twojego własnego dobra; ale czy warto? Przecież cię kocham, przecież jesteś jedynym cholernym mężczyzną na tym świecie, którego kocham.

- Brat i siostra - zadrwił, znów doznając poczucia wielkiej straty; a jednak to było niemożliwe, siedząc w tym samym

pokoju co ona, widząc te szczere, te mocne i znajome palce wciąż zaciśnięte jeszcze na scyzoryku, czując jej perfumy, patrząc na dobrane przez nią kwiaty, zachować lojalność wobec Lu. Lu to było nawracające co jakiś czas pożądanie, a tu trzydzieści lat razem; wiedział jednak, że to zmysły, jeżeli już się raz odezwały, zawsze będą silniejsze. Do Kate należały chwile po zaspokojeniu; kiedy się jest zaspokojonym, można przyjść do siostry, do miłości rodzinnej. - Poproszę Krogha o pieniądze - powiedział. - Jest mi winien pensję za tydzień.

- On nic ci nie da.

- To pójdę do Minty'ego, sprzedam mu temat, prawdę mówiąc dostał już jeden ode mnie za darmo. Powiedziałem mu o waszym małżeństwie.

- Powiedziałeś mu to? Co z ciebie za głupiec. Tony! Erik mówił ci przecież, żebyś trzymał się z dala od prasy.

- Mogłem sprzedać tę historię o Anderssonie.

- Tony, jesteś zbyt naiwny, żeby się uchować.

- On sobie nie życzy drugiego strajku, zanim nie załatwi Ameryki.

Wyciągnął wszystkie swoje rezerwy, walcząc o tamto podniecenie. Wystukiwał je palcem na jej biurku:

- Andersson, sprzedaż Battersonowi, brudna robota w Amsterdamie - i z pełną goryczy litością dla siebie uświadamiał sobie, że zmysły zwyciężają: wspólne życie, telepatia o brzasku, szrama pod okiem, wszystko to nie miało nad nim władzy. Na dobrą sprawę był już w Coventry - kawiarnia „Marokańska”, druga sala, pomiędzy Woolworthem a pocztą.

- Zaczekaj - powiedziała Kate. - Kiedy ma się to ukazać? Dziś wieczorem? Masz tu swoje pieniądze i niech cię tu więcej nikt nie ogląda.

- Dziękuję ci, Kate, jesteś dobrą dziewczyną. Jutro wyjeżdżam. Naprawdę nic tu po mnie.

- I krawaty Erika muszą mu dalej służyć... należą do niego.

- Poszukam mu czegoś dziś po południu. - Pocałował ją z nagłą namiętną zazdrością; właściwie nigdy nie chciał, żeby tamto pożądanie zwyciężyło. - Czym się martwisz, Kate? Niedługo i ty powrócisz. Przecież nie wyjeżdżam na Wschód.

- Nie.

- Nie martw się, Kate.

- Zamyśliłam się tylko - powiedziała Kate. - Jestem potrzebna Erikowi. - Światło nad jego drzwiami się zapaliło, ale ona czekała; przez moment jej twarz odkryła się przed nim jak rozległy, trudny plan kampanii bitewnej. - Zjedz ze mną dziś wieczorem obiad, to twój ostatni wieczór, dobrze? Chociaż ten zarezerwuj dla mnie.

Nie umiał jednak zorientować się w tym planie, nie miał już tego sprytu w czytaniu map co dawniej - wyszedł z wprawy, zanadto się od niej oddalił.

- Oczywiście. W domu?

- Nie. Nie w domu. W jakimś ustronnym miejscu, gdzie będziemy sami i gdzie nikt nas nie odnajdzie.



## II

Hall kupił gazetę i przeszedł, nie czytając jej, przez brunatny jesienny plac. Zastanawiał się, czy nie popełnił błędu z tymi spinkami do mankietów; mógł kupić jakiś pierścionek albo pudełko na cygara bądź przycisk do papierów. Patrząc na niego, kiedy tak powłóczy nogami w suchych liściach, utkwivszy małe tępe oczka w czubkach pantofli, nikt by się nie domyśli! tego oddania, które przygniatało go jak ważka odpowiedzialność. Nie był to bowiem zwykły prezent, ale wyznanie i prośba. Hall, podobnie jak młodzieniec w idealistycznym stadium miłości, chciał, żeby o nim pamiętano.

Pudełko na cygara? Srebrna bransoletka? Jeszcze nie za późno.

Rozłożył gazetę i poszukał ogłoszeń jubilerów, a zobaczył wypisane wielkimi literami przez całą szerokość strony nazwisko Krogha. Nie czytał dalej, ponieważ na wystawie sklepu elektrycznego zobaczył zieloną lampę na biurko w kształcie nagiej kobiety. To ładne, pomyślał i z niepokojem przypomniał sobie fontannę na dziedzińcu. Kroczy! dalej przez Fredsgatan, mrużąc do siebie: „Bez gustu, nie mają gustu”. Czekał na rogu na przerwę w ruchu, znów zajrzał do gazety: ERIK KROGH ŻENI SIĘ ZE SWĄ ANGIELSKĄ SEKRETARKĄ.

Hall chrząknął i nie zważając na ruch wpadł między auta jak kula wystrzelona do określonego celu. Minął bramę, nie

spojrzawszy na fontannę, nie odezwawszy się do portiera, z rękami w brązowych rękawiczkach zanurzonymi głęboko w kieszenie kurtki, poruszając się jak w przykrym śnie stworzonym przez siebie samego: Hall już niepotrzebny, spódniczki na pokładzie, babskie rządy. Nie pytając o pozwolenie, wszedł prosto do gabinetu Krogha.

- Przynoszę prezent - oznajmił.

- Cieszę się, że przychodzisz - rzekł Krogh. - Chciałem z tobą pogadać. Czy pojechałbyś do Nowego Jorku?

- Jako członek dyrekcji?

- Tak, jako członek dyrekcji.

Było to jego odwieczne pragnienie, ale teraz myślał tylko o jednym: chcą się mnie pozbyć, nowe tu teraz porządki, wstydzą się mnie. Zwlekał z odpowiedzią.

- Zobaczyłem w jakimś sklepie te spinki - powiedział. - Pomyślałem sobie, że będą pasować do mojej nowej szpilki do krawata. Ale jakoś nie pasują. Trochę dla mnie za szykowne, za dużo kamieni. Przyszło mi do głowy, że dam je panu jako prezent ślubny.

- Prezent ślubny?

Położył na stole gazetę, a obok spinki.

- Nigdy tego nie autoryzowałem - stwierdził Krogh.

- Ach - powiedział Hall - to już wiem, czyja to robota. To ten kręcił się między urzędnikami i gadał.

- Farrant?

- Po co pan go tu trzyma, panie dyrektorze? - zapytał Hall. - Po co on panu tutaj?

- Potrzebna mi była ochrona osobista.

Twarcz Halla przypominająca pysk teriera drgnęła.

- Jestem ja. Mógł pan kogoś innego wysłać do Amsterdamu. Zimno mi się zrobiło, jak tylko tego typu zobaczyłem. Jakby mnie śmierć przeskoczyła. Jaki z niego był pożytek przedwczoraj wieczorem? - Wziął do ręki małe skórzane poplamione pudełeczko i odłożył je z powrotem.

- Nie miał żadnych złych zamiarów - powiedział ze smutkiem Krogh. - Lubię go. Ale odeślę go do domu.

- Czy panna Farrant wie o tej sprzedaży Battersonowi?

- Jej możesz wierzyć. Hall.

Ale Hall nikomu nie wierzył. Stał przy oknie, wypełniając cały pokój swoją podejrzliwością, zazdrością i ślepym oddaniem. Wszystko mierzył swoją niezależnością. Ta jaskrawa nowoczesność, te szykowne wymyślne kształty traciły blask w porównaniu z jego porządnym brązowym garniturem ze Strandu. Nie przejmował się, jeśli wyglądał wulgarnie (cienki w pasie jak osa), sentymentalnie (wisiorek u dewizki) albo po błazeńsku (tamten papierowy nos w Barcelonie). Nie zmieniał się z dnia na dzień jak moda, nie zdradzał starych zasad jak inni zmieniali gusty, był po prostu Hallem.

Nie było nikogo, kogo by nie umniejszyło porównanie z jego przywiązaniem. Krogh zawahał się, popatrzył na spinki do mankietów i ze smutkiem powtórzył:

- Odeślemy go do domu.

- Panie dyrektorze - powiedział Hall - pan nie zna się na takich typkach. Niech pan go mnie zostawi. Już ja go załatwię.

- Kupimy mu bilet.

- Niech pan posłucha, panie dyrektorze - mówił dalej Hall. - Tego pan zrobić nie może. Wsadzał wszędzie swój nos, gadał z urzędnikami o pożyczkach krótkoterminowych. Skąd on wie o pożyczkach?

- Musiał dowiedzieć się tego od swojej siostry - przyznał Krogh.

- A ile jeszcze wie? Powiedzmy, że wraca do kraju, nie może dostać pracy i idzie do Battersona. Musimy go tu przez tydzień przetrzymać.

- Ba, ale tu on, zdaje się, zna kogoś z prasy.

- Tutaj możemy sobie poradzić z prasą.

- Dobrze - rzekł Krogh, nagle rozpodzony - zatrzymamy

go. To proste. On nie zechce wyjechać. Będzie siedział cicho, dopóki nie dostanie swojej forsy.

- Lepiej niech pan ostrzeże pannę Farrant. - Ale Hall odwrócił się na jej widok, nie mógł znieść myśli, że ufano jej -spódnicze. Pozostawił wyjaśnienia Kroghowi.

- Twój brat wygadał się przed prasą.

- Więc już dowiedziałaś się o tym - powiedziała Kate.

- To Hall.

- Ach, nasz pan Hall.

- To się musi skończyć.

- Nie martw się - powiedziała Kate - Anthony jutro wyjedzie do Anglii. Dałam mu pieniądze na wyjazd.

- Do Anglii? Dlaczego do Anglii?

Hall ponownie odwrócił się do nich. Wsunął nieco ręce z kieszeni w geście przesadnej troski, którego nie dokończył.

- Niech się pan nie martwi, panie dyrektorze. - Przypominał starą niańkę, której pupil już wyrósł, niańkę, która chciałaby po dawnemu nieść pociechę, przytulając do bujnej piersi, ale wie, że pupil już z tego wyrósł. - Nie ma pan powodu do zmartwienia. Ja wszystko załatwię.

- On ma tam dziewczynę - wyjaśniła Kate, ale zbyt rzucał się w oczy jej niepokój, pośpiech, żeby ich przekonać, że wszystko jest w porządku, że nie ma powodu do obaw. Dodała ze smutkiem: - Jest zakochany. - Słowa jej domagały się wysłuchania, ale niby jakiś ptak uderzyły o szybę nieuwagi Halla i opadły. Jego miłość miała w sobie coś zadziwiającego, patetycznego, złowieszczonego - oddawał się jej bez reszty. Należał do Krogha tak samo jak ten blok kamienia na dziedzińcu, sygnowane popielniczki i zapisany monogramami dywan („Możemy go załatwić, tak jak załatwiliśmy Anderssona” - powiedział) i dlatego też zakłady Krogha stały się jego własnością. Napiętnowała je wulgarność, specyficzna przezorność, nieobliczalne okrucieństwo, napiętnował je Hall. - Nie, nie -powiedziała Kate - tego nie możecie zrobić.

- Załatwimy go - powtórzył Hall.

- Nie miejcie do mnie pretensji - oświadczyła Kate - jeżeli zacznie mówić. On nie jest głupi.

- Chce pani powiedzieć, że on wie o tej sprzedaży? - zapytał Hall.

- Czy już całe biuro o niej wie?

Patrzył na nią owładnięty gniewem, niechęcią i podejrzliwością, ale zbyt wysoko ją cenił, żeby tracić czas. Mieli te same poglądy, żadne z nich nie troszczyło się bynajmniej o losy Anderssona; różniło ich tylko to, że nie pracowali dla tego samego człowieka. Nie miał czasu się zastanawiać, ale jego myśli biegły po jednym torze, łatwo i szybko. Zapytał:

- Czy on gra w pokera?

- Tak - odparła Kate.

- Czy gra dobrze?

- On w nic nie gra dobrze.

- Widziałem już kiedyś - mówił dalej Hall - jak dług karciany przeszkodził facetowi polecieć za spódniczką. Dobrze będzie, jeśli pan, panie dyrektorze, zagra dziś wieczór. On nie może wrócić do Anglii.

- Dziś wieczorem Tony i ja wychodzimy - powiedziała Kate.

- Albo to, albo go załatwimy - oświadczył Hall - on nie może wyjechać ze Sztokholmu.

Stał jak niewielki słup brunatnego gryzącego dymu. Wrogość emanowała z jego zamszowych butów i kładła się niby łupież na kurtce.

- Ja się nie martwię - dodał - i dopilnuję, żeby pan dyrektor też nie miał zmartwień.

- Więc zje pan dziś wieczorem obiad z nami? - zapytała Kate z ironią.

- Będę przy tym - oznajmił Hall - może być pani pewna, że będę przy tym.

I stał nadal ponury i zgorzkniały, szczupły i pełen wściekłości, samozwańczy obrońca tego wielkiego szklanego gmachu, fabryki i Nykóping, i tartaków na północy.

### III

Hall podniósł się i opuścił szerokie podwójne szyby, zamykając okno. żeby odciąć dopływ wilgotnego nocnego powietrza. Anthony przesunął po stole dwie korony. Krogh cztery.

- I ja coś postawię - powiedziała Kate. - Ani razu dziś nie zagrałam.

Hall wrócił do stołu. Niezliczone rozgrywki pokerowe doprowadziły do doskonałości jego system, właściwie nie ble-fował, w jego grze nie było nic z aktorstwa, po prostu całkowicie odwracał uwagę od swoich kart. Miał zwyczaj szybko wymieniać stawkę, po czym zapadał w to swoje cierpliwe i podejrzliwe milczenie.

- Podwajam. - I oczy Halla napotkały oczy Anthony'ego po drugiej stronie stołu, wykazując najwyższy brak zainteresowania dla kart tamtego. Miał ważniejsze rzeczy na głowie i kiedy nadeszła jego kolej dokupywania, robił to bez żadnego związku z kartami, które już miał w ręku (dwie dziesiątki pik, czwórka, dwójka karo, szóstka trefl).  
- Kupuję jedną - oświadczył i odrzucił szóstkę. Grał, kompletnie lekceważąc prawdopodobieństwo szans obliczane przez pokerzystów, obojętnie, bez troski zdawał się na słabość przeciwników, nie troszczył się o konsekwencje. W przypadku rzeczywiście mocnej karty u partnera - przegrywał, ale wygrywał zawsze, jeżeli

tamci mieli karty przeciętne albo słabe. Zaledwie raczył spojrzeć na kartę, którą właśnie dokupił, trójkę kier.

- Kupuję trzy - powiedział Gullie. Pod wpływem kart stawał się jowialny, był przekonany, że nikomu nie da się zblefo-wać. - Ten attache wojskowy staje się lekkomyślny - dodał -ha, ha - i błysnął wokoło po twarzach monokłem jak ruchomym reflektorem. - To wojskowa sztuka kamuflażu, ha, ha -po czym stropił się na skutek braku reakcji ze strony Halla.

- Podwajam - powiedział Hall.

Kate podeszła do okna, mijając po drodze Anthony'ego. Mogła mu zajrzeć w karty, trzy dziewiątki, walet, dwójka, średnia karta. Grał w swoim przekonaniu rozsądnie, nigdy nie blefo-wał mając dobrą kartę, ale zawsze dokupował więcej niż było warto; tamci albo natychmiast go sprawdzali, albo wykladał karty przy wysokich stawkach Halla. Wygrał dopiero raz.

- No, no - mówił Gullie spuszczać wymyślną dymną zasłonę na swoje zamiary - nad tym trzeba pomyśleć.

- Jeszcze raz podwajam - powiedział Hall. Przyglądała mu się spod oka; jedną rękę trzymał płasko na stole, w drugiej ścisnął na kolanach złożone ciasno karty, patrzył za Krogha. Przy każdym wejściu Gullie zaglądał do swoich kart.

Za oknem przesunął się parowiec, od czasu do czasu rozpraszając światło po powierzchni niskiej szarej mgły; przesunął się pod odbiciem pokerzystów w szybie, odpływając w noc przez twarz Halla. W mieszkaniach robotniczych oświetlone okna układały się piętrami jak iluminatory liniowca na drugim brzegu.

- Pan minister na urlopie? - zapytała Kate.

- Na pierwszego września' zawsze jedzie do Szkocji - wyjaśnił Gullie. - No, ja pasuję. Strzela pan, panie Farrant?

- Och - odparł Anthony, unikając spojrzenia Kate - mam nadzieję, że uda mi się wyrwać choć na parę dni.

**1. Pierwszego września zaczyna się sezon na kuropatwy (przyp. Üum).**

- Przeprowia się pan?  
- Jutro.  
- Będzie pan miał ciężką przeprawę - oświadczył Gullie. - Dobrze znosi pan podróż morską?

- Nie bardzo.  
- Co kto lubi - stwierdził Gullie. - Mnie tam nigdy nie trzeba było statku do szczęścia, ha, ha. Przedwczoraj dostałem zaproszenie od dyrektora linii lotniczych, polecimy razem. Wynajął sobie teren łowiecki.

- Podwajam jeszcze raz - rzekł Hall. Nie zwracał uwagi na toczącą się wokół niego rozmowę, z taką samą koncentracją, jaką wykazał w toalecie samolotu, palił papierosa za papierosem, wypuszczając nosem żółty od nikotyny dym.

- Pasuję - powiedział Anthony.

- Sprawdzam cię - rzekł Krogh.

Hall wyłożył karty: dwie dziesiątki, obok nich parę blotek.

- Mam dwie damy - powiedział Krogh.

- I znowu twoje biorą - rzekł Anthony, przesuwając pieniądze w stronę Krogha. Zapalił papierosa, promienny i uszczęśliwiony nie wiadomo czym, a może wszystkim - tym cienkim obłoczkiem dymu i kartami, które Hall zebrał ze stołu, żeby rozdać na nowo.

Tego, pomyślała Kate, nie wolno mi zapomnieć: Tony ze mną. Tony szczęśliwy, statek za oknem, po drugiej stronie jeziora w mieszkaniach robotniczych jedno po drugim gasną światła. Wiatr poruszył nisko leżącą mgłę, zepchnął ją znad wody i owinał wokół latarni na wysokości mężczyzny; zza podwójnych okien słabiotkie trąbienie klaksonów samochodowych. Ten nastrój muszę zapamiętać. Schować głęboko.

- Zanim wrócimy do kart, proszę do *smörgdsbordu* - powiedziała. Przysunęła do stołu ruchomy bufecik i napełniła szklaneczki. Wszyscy oprócz Halla poczęstowali się cieniutkimi kanapeczkami z masłem, szynką, kiełbasą i wędzonym łososiem. Hall zapalił nowego papierosa i potasował karty.



- Skoal.
- Skoal.
- Skoal.

Ten nastrój trzeba zapamiętać.

- Jakie wspaniałe radio - zauważył Gullie.
- Naprawdę? Nigdy go nie używam - powiedział Krogh.
- Pół do dziesiątej - wtrąci! Anthony. - Ostatnie wiadomości w

Londynie.

Kate pokręciła gałką. Aksamitny bezosobowy głos oznajmił: „Znad Islandii nadciąga niż...” - i Kate natychmiast go przerwała.

- Pocziwe Londynisko.

- A tu jest Moskwa - powiedziała Kate kręcąc gałką. - A tu Hilversum, Berlin, Paryż...

*Aimer d loisir,*

*Aimer et mourir,*

*Au pays qui te ressemble.*

„Książę Yorku, otwierając nowe Zakłady Gazu Świetlnego i Koks...”

Głosy odzywały się i milkły jak świece gasnące jedna po drugiej na bożonarodzeniowym torcie, białe, woskowe, gardłowe na skutek zakłóceń atmosferycznych nad Morzem Północnym i Bałtykiem, burz nad równinami Prus Wschodnich, deszczu siekającego Tannenberg, jesiennych błyskawic nad Westminster i jakiegoś przeraźliwego świstania w eterze.

- Paryż zawsze łatwo poznać - zauważył Anthony. - Aimer, aimer, aimer.

- Pari rozdaje, panie Farrant - powiedział Hall.

- Ale głos był dobry - wtrącił z szacunkiem Gullie. - Dobry głos.

- Ja już nie gram - powiedziała Kate. - Dostyc przegrałam. - A czy pan sam śpiewa, panie kapitanie?

-Wśród przyjaciół, tylko w przyjacielskim gronie. Spośród tutejszych Anglików staram się zebrać niewielkie kółko operowe. Nie myślę o niczym trudnym. *Mikado, Stara wesola Anglia*. Wszystko dobre propagandowe rzeczy.

- Ene-due-rike-fake - wyliczał Anthony rozdając po cztery karty.  
- Kate, stań za mną i przynieś mi szczęście. Stuknij w stół i trzymaj palce, niechaj mi fortuna sprzyja. Po tej rundce wycofuję się za tobą do przegranych.

Hall włożył do puli pięć koron.

- Może zna pani jaki sopran, panno Farrant? - zapytał Gullie. - Nie mogę ruszyć bez sopranu. Pani Wisecock nie ma wyczucia sceny.

- Na szczęście - dodał Anthony - kupiłem już bilety.

- Kupił pan już bilety? - zainteresował się Hall.

- Inaczej pański sługa unizony nie oglądałby Londynu. Czy w cenę biletów włączone są posiłki?

- Ale nic do picia, mój drogi - wtrącił Gullie.

- Kupiłeś bilety? - zapytała Kate. Pomyślała: - Ostatecznie udało mu się ich przechytrzyć - pozostaje więc tylko ten nastrój, którego nie wolno zapomnieć, ponieważ nigdy się nie powtórzy. Tony szczęśliwy, unosząca się mgła, blask kominka odbity w szybie, lekki szum grzejników.

- Biorę pięć. - I na rękę dostał pokera. - Podwajam.

On tego nigdy nie zapomni, pomyślała Kate, latami opowiadać będzie o dzisiejszym wieczorze, jak to grał w pokera z Kroghiem, dokupił pięć kart i dostał na rękę pokera. Historyjka obiegnie cały świat, niezliczone kluby i nigdzie w nią nie uwierzą.

- Podwajam.

- Pasuję - powiedział Gullie.

Od razu jednak na nowo zaczęła układać plany wspólnego życia, wiedząc, że mogłaby się o to modlić; zaznała tej pokusy, żeby odwołać się do wieczności, do cudzego Boga; wołanie uczucia w głuchym sercu i nagie wyznanie: niczego na świe-

cie tak nie kocham jak jego; to niedokładne, trzeba prawdziwiej: nie kocham nikogo i niczego poza nim, a więc daj mi go, pozwól mi go zatrzymać, nieważne, czego on chce, wybaw mnie od tego, co we mnie najistotniejsze, od bólu - gdyż to nazywam bólem i męką; tu rozstanie, tam rozstanie, parę słów na kartce pocztowej, burza, zerwane połączenie, już ani jednej myśli wspólnej. Ale nie chciała się modlić, zadowolili się tą pociechą i zasługą, jaką dawał jej fakt, że się nie modli; nie dlatego żeby w modlitwę nie wierzyła, bo nigdy nie braci się do końca wiary w magię. Nie modliła się dlatego, że wolała planować, to było uczciwsze, to była gra nie obciążonymi kostkami.

- Jeszcze raz podwajam.

- Stawiam pięć.

- Pasuję - powiedział Krogh.

- Podwajam.

- Sprawdzam pana - powiedział Hall.

- No, nie pobije pan pokera.

- Nie - przyznał Hall - pokera nie biję.

- No, to będzie na podróż - oznajmił Anthony. - Będę mógł się za to nieźle zalać.

Hall znów zaczął tasować karty.

- Ja odpadam - oznajmił Gullie.

- Dosyć już - powiedziała Kate. - Musiałby pan grać całą noc, żeby się odegrać. Napijmy się jeszcze i chodźmy spać. - Zirytowało ją coś w wyglądzie siedzącego przy stole Halla, jego wystające mankiety, szczupłe ręce zaciśnięte na kartach. Dodała: - Niech się pan rozchmurzy. Kiedy indziej się pan odegra. Eriku, czy on zawsze był taki? Zawsze taki poważny?

- I wyjaśniła kapitanowi Gullie: - Nie rozstają się od wczesnej młodości.

- Widziałem go ze sztucznym nosem - odpowiedział Krogh

- ale i to go chyba nie zmieniło.

- Czy przebrał się pan, żeby zmylić policję?

271

Hall nagle przemówił:

- To było na tej ich tam ludowej zabawie. Wyznam zasadę: kiedy wlażesz między wrony...

- Pan Hall korzysta z ludowej skarbnicy mądrości - powiedziała Kate. Spoza stołu błysnęły złowieszczo oczy Halla niby mały stłumiony płomynek. Kusił, żeby go zgasić albo rozdmuchać większy płomień.

- Idę do domu - powiedział Hall. - Dobranoc pani.

- Pójdę z panem - oznajmił Anthony.

- Pan. panie kapitanie, niech jeszcze nie wychodzi. Jeszcze jest całkiem wcześnie. Niech pan jeszcze wypije. Proszę mi opowiedzieć, proszę mi opowiedzieć... - mówiła Kate -och, proszę mi opowiedzieć o tartanach.

- To mi przypomina - powiedział kapitan Gullie zniżając głos - coś, co mi opowiadał ten Minty.

- Minty? - zapytał Krogh. Wstał od stołu i podszedł do nich. - Co pan mówił o Mintym?

Hall stojąc w drzwiach, zapinał kurtkę. Była odrobinę za ciasna w pasie, opinała go. Powiedział ostro:

- Niech się pan niczym nie martwi, panie dyrektorze.

- To nieodpowiedzialny dziwak. On tutaj prowadzi klub dawnych harrowczyków. Sam nie wiem, jak to się stało, że wziął go w swoje łapy. Pan minister go nie znosi. Usiłował zmyślić bajeczkę, że pan jest MacDonaldem. Ale przecież sprawdziłem.

- Poczciwy Minty - powiedział Anthony. - Do widzenia, Kate. Wyjeżdżam wcześnie.

- Do widzenia.

- Do widzenia, Erik, i dzięki za pomoc. Właściwie to nie jestem tu potrzebny. Do widzenia, panie kapitanie. Mam nadzieję, że za parę dni zobaczymy się w Londynie.

I choć nie miała żadnego planu, nie mogła go tak wypuścić. Dogoniła go przy windzie. Hall zjechał pierwszy, a Anthony zaczął na nią.

- Co się dzieje, staruszko?

- Muszę jeszcze z tobą coś omówić - powiedziała. Pomyślała: - Lada dzień zapomni o tej dziewczynie, ale ta myśl nie przyniosła jej najmniejszej ulgi. (Lada dzień zapomni o mnie). Dodała: - Tak mało cię widywałam. Tyle ci chciałam powiedzieć - z rozpaczą i wzruszeniem - o dawnych czasach.

- Teraz - przyrzekł Anthony - będę wiernym korespondentem. Trzy strony co niedziela.

Jego niefrasobliwość doprowadziła ją do furii; błyskał ku niej swoim odbiciem wzdłuż długiego, wyłożonego lustrami korytarza, wykrzywił się w lustrach nad schodami, migotał w chromowanych drzwiach windy.

- I to wszystko, co masz dla mnie, trzy strony na tydzień - powiedziała - po tym, kiedy lata całe na ciebie pracowałam. Robiłam wszystko po to, żeby ci pomóc, a teraz z powodu jakiejś kurewki... - Czują pogardę dla swoich łez, to była zbyt tandetna forma prośby, nie ocierała ich, nie chciała, żeby je zauważył, po prostu pozwoliła, żeby sobie ciekły po twarzy, jak gdyby w czasie ulewy wyszła bez kapelusza.

- Ależ, Kate - uspokajał Anthony. - Bardzo cię lubię. - Zmieszany, pośpiesznie zerknął w szyb windy. - Hall na mnie czeka. Muszę iść. - Chwycił jej rękę. - Kocham cię, Kate. Naprawdę. Bardziej niż kogokolwiek na świecie. Oprócz Lu. W niej jestem zakochany. Zakochany do szaleństwa, Kate. Polubiłabyś ją, gdybyś ją poznała. - Spróbował przemówić jej do rozsądku za pomocą wielkich słów: - Co innego miłość, Kate, a co innego zakochanie.

- Och, idź do diabła - wybuchnęła Kate i pobiegła z powrotem korytarzem, rozmazując po drodze rękami łzy na twarzy. Usłyszała, jak Anthony naciskając guziczek windy krzyczy do Halla w głąb szybu:

- Już idę!

Zatrzymała się pod drzwiami, osuszyła łzy i przywróciła twarzy zwykły wyraz, jakby ścierając z niej ślady Antho-ny'ego.

**18. Made in England 273**

Kiedy otworzyła drzwi, Krogh zapytał:

- Gdzie Hall?

Zdziwił ją jego ostry ton i niepokój. Odpowiedziała:

- Poszedł z Anthonym.

- Gęsto tu od dymu - rzekł Krogh. - Hall pali takie okropne papierosy. - Pchnął w górę podwójne okno i wychylił się na zewnątrz. - Był mi potrzebny.

- No, powinienem się i ja zbierać - zauważył niezdecydowanie kapitan Gullie, obracając w palcach szklaneczkę, pochylony nad stolikiem do kart, żetonikami z kości słoniowej i pojemną popielniczką pełną wilgotnych niedopałków.

- Niech pan jeszcze nie odchodzi - poprosiła Kate. - Proszę się jeszcze napić. - Napelniła trzy szklaneczki, ale Krogh nie podszedł. - No to siup - powtórzyła jak echo Anthony'ego.

- Mgła - powiedział Krogh.

- Mogłeś odesłać ich do domu samochodem. Przerwał ostro:

- Hall chciał iść piechotą. Powiedział mi, że chce iść piechotą. - Zasunął okno.

- Samochód jest do niczego w takiej mgle - wtrącił Gullie. - Na piechotę szybciej. Zanim się człowiek obejrzy, można wjechać prosto do jeziora. - Zaczął wykladać jakieś karty. -Zna pani, panno Farrant, pasjansa psotnego diablika?

- Nie lubię pasjansów.

-Ten by się pani podobał. Widzi pani? Najpierw nakrywa się walety. Ha, ha, ha, to właśnie te diabliki,

- Czyj to portfel? Anthony'ego?

- Nie - odparł Krogh, - Halla. Za późno go zauważyłem.

- Nie uwierzyłbym, że Hall należy do takich, co to rozrzucają swoje pieniądze - stwierdził Gullie. - Widzieliście państwo, jak on trzymał karty? Ha, ha. Ale ścisnął, co? - Ta myśl tak go rozbawiła, że nie mógł się uspokoić; Gullie'go byle co bawiło; dokądkolwiek się udał, bawił się z beztróskim zapa-

miętaniem jak dziecko; każde towarzystwo mogło go rozbawić do łez.

- Kto się za wcześnie śmieje, będzie płakał, nim zadnieje - powiedziała Kate.

- Co? Co takiego? - dopytywał się Gullie. Uprzejmie oderwał się od swoich psotnych diablików. - Co takiego, proszę pani?

- Co się stało, Eriku? - zapytała Kate. - Wypij. Jesteś zmęczony.

- Ja już zmykam - oznajmił Gullie. - Psotne diabliki. ha, ha.

- Nie, niech pan zostanie - powiedział Krogh. - Nie będę się jeszcze kładł. Jeszcze wcześnie.

- Winda jedzie do góry.

- To Hall wraca po swoje pieniądze - powiedział Gullie. - Schowajmy mu je.

- Z pana prawdziwy psotny diablik - zauważyła uszczypliwie Kate.

Winda jednak zatrzymała się piętro niżej.

- Już mi prawie wyszedł tym razem - oświadczył Gullie tasując na nowo karty. - Próbowałem kiedyś nauczyć jednego Francuza. Nic z tego. Zawsze szachrował. Żadna przyjemność z pasjansa, jeżeli się szachruje.

Krogh rozsunął nagle podwójne drzwi i przeszedł przez swój gabinet do sypialni. Na tle zbiorowych edycji i rzeźby Millesa widać było, jak bierze aspirynę.

- Co ci jest, Eriku? - powtórzyła Kate.

- Głowa mnie boli. - Ze szklanką od mycia zębów w rękę odwrócił się do nich i zawołał przez szerokość dwóch pokoi: - Co to za paczka?

- Krawaty - wyjaśniła Kate.

- Przecież mam dosyć krawatów.

- Tony wybrał je dla ciebie dziś po południu.

- Tony? - zdziwił się.

- Otwórz paczkę. Jeżeli Tony je wybrał, są to na pewno dobre krawaty.

- Nie są mi potrzebne. Odeślij je.

- On za nie zapłacił.

- Nie powinien był tego robić - powiedział Krogh. - Powinnaś go była powstrzymać, Kate.

- Jest ci wdzięczny. Chciał coś dla ciebie zrobić.

- Dlaczego każdy mi coś daje? - zastanawiał się Krogh. - Przecież mogę sobie sam kupić. Hall daje mi spinki. Dostyc mam spinek.

- W porządku - powiedziała Kate - odeślę je. - Przeszła do sypialni i zabrała paczkę. - Wzięłaś wszystkie pastylki, jakie były. Co ci jest, Eriku?

- Głowa mnie tylko boli.

- Zobaczę, co też on kupił. - Otworzyła paczkę; krawaty były w dyskretne paski; Anthony miał wyrobiony gust w kwestii ubioru. - Nie rozumiem, dlaczego miałbyś ich nie nosić.

- Nie. Mam już dostyc krawatów. Odeślij je.

Przeniosła je do swojego pokoju i włożyła do szuflady między bieliznę. Zadzwoił dzwonek windy, słycać było, jak Gullie w bawialni postukuje kartami; pomyślała: - Nie mam żadnego planu, on odszedł, ostatnie słowa, jakie do niego powiedziałam, to było: „Idź do diabła”. Ze smutkiem wyrzucała sobie brak opanowania - od dziecka wychowywały ją służące, które wróżyły sobie z fusów, niańki, które sypały sól przez lewe ramię - uczyły ją one, żeby zważała na ostatnie słowa. Jeżeli się już musisz pokłócić, brudno, ale pogódź się przed zapadnięciem nocy. „Idź do diabła” - to było dobre na początek wieczoru, ale nie na koniec, na powitanie, lecz nie na pożegnanie. W dzieciństwie zachowuje się większą ostrożność, śmierć jest bliżej, człowiek jeszcze nie trzyma się mocno życia. Z czułością dotykała krawatów, upychając je w szufladzie.



- Macie swojego Halla - powiedział Gullie, kiedy znów znaleźli się z nim razem - nie mówiłem? Wiedziałem, że wróci.

Winda zatrzymała się, tym razem byt to Hall.

Wszedł z kapeluszem w rękę, szczupły i zimny, ograniczony i wrogi, z mgłą niby kurzem w zaczerwienionych oczach. Mgła dostała mu się też do gardła. Był zachrypnięty, kiedy powiedział:

- Zostawiłem swój portfel.

- Tu leży - powiedział Krogh.

Pogładził się po gardle ręką w żółtej rękawiczce, sprawiając wrażenie, że nie ma ochoty zabierać tego portfela; wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale nikt mu w tym nie pomógł.

- Pójdę z panem. Hall - powiedział Gullie, ale nie o to mu chodziło.

- Czy Anthony wrócił razem z panem? - zapytała Kate. Kiedy Hall gładził się po gardle, odniosła wrażenie, jak gdyby jakiś wielki ból domagał się bezradnie współczucia choćby od niej, ale nie wierzyła Hallowi i nie miała zamiaru mu współczuć. - Nie ma go tutaj?

- Nie - odpowiedział Hall. - Zostawiłem go i wróciłem.

- Napij się. Hall - zaproponował Krogh.

- Dziękuję - powiedział Hall. - Tam na dworze to człowiekowi pada na gardło. Ale tutaj, jak się człowiek napije - z grubsza, nieprzekonująco spróbował się do nich uśmiechnąć - wszystko jest znów w porządku, wszystko jest okay.

- On już na pewno jest w domu - powiedziała Kate. - Muszę do niego zadzwonić.

- Układa pan pasjans. Hall? - zapytał Gullie, rozkładając swoje psotne diabliki.

- Pasjans? Nie - odparł Hall.

„Nie” odezwał się głos w słuchawce, „nie, kapitan Farrant jeszcze nie wrócił”.

- Proszę mu powtórzyć - powiedziała Kate - żeby zadzwonił do mnie, kiedy przyjdzie. Do siostry. Nawet jeżeli przyjdzie późno. Proszę mu powtórzyć, że będę czekała na telefon. Tak, niezależnie od tego jak późno. - Przed nimi wytłumaczyła się, mówiąc: - To przesąd. - I dodała ze smutną czułością: - To już przechodzi wszelkie wyobrażenie. Tym razem zrobił z siebie kapitana.

## **Część siódma**

## I

Minty stał przy drzwiach, zapisywał nazwiska i notował wieńce: olbrzymi od Krogha, mały od Laurina; zauważył, że nie ma wieńca od Kate i od Halla. Trumna wślizgnęła się gładko na swoje miejsce pod kanciastym krucyfiksem. Drzwiczki otworzyły się na jej przyjęcie; mikrofon nad ołtarzem uchwycił trzepotanie płomieni i rozniósł je po całym wielkim ponurym budynku. Minty przeżegnał się: po co w ogóle zabierali ciało z wody? Przerazała go ta śmierć w ogniu.

Kate i Krogh stali razem w pierwszym rzędzie, za nimi stary Bergsten, Hall i Gullie, minister przysłał wieniec. W pobliżu drzwi stało paru urzędników i kobieta z hotelu; na zewnątrz zebrał się tłum, żeby zobaczyć wychodzącego Krogha. Przyprawiono po raz pierwszy na pogrzeb jakieś dziecko; nie rozumiało tego nieruchomego stania, tego długiego czekania, tego milczenia, tego, że nie ma na co patrzeć; Minty'emu przeszkadzał jego cieniutki, znudzony płacz. Czuł się jak człowiek niemy, za którego mówi ktoś inny fałszując jego intencje.

Minty cierpiał; zapisując wieńce cierpiał, zapisując nazwiska, zdenerwowany tym płaczem i chcąc zapalić, cierpiał. Pomyślał: - Pożyczę koronę od Nilsa - i cierpiał. To już czwarty przyjaciel. Niewielu się znajdzie więcej.

Sparrow, wyrzutek Sparrow, który nigdy się nie mył za uszami - co niedziela obaj chodzili na spacer, maszerowali

ciężko szosą, omijając uczęszczane przez innych polne ścieżki i rzadko rozmawiając. Nie mieli wspólnych zainteresowań: podczas wakacji Sparrow bezskutecznie wydmuchiwał ptasie jaja, rozgniatając skorupki i brudząc sobie usta; Minty zbierał motyle. W czasie roku szkolnego zbierali już tylko pokłady kurzu wznoszonego przez samochody na szosie, lecz pozostawali przyjaciółmi, ponieważ nie mieli innych przyjaciół; jeden drugiego kochał, jeden drugiego się wstydził, jeden drugiemu był wdzięczny i czasami razem kryli się przed ciosami mokrych ręczników w przebieralni.

Connel umarł w ciągu tygodnia. Przez tydzień był popularny, wsadził nauczycielowi pinezkę w krzesło, podarował Min-ty'emu tabliczkę czekolady, obiecał go zaprosić na herbatę, wyszedł wcześniej z lekcji francuskiego i umarł na szkarlatynę.

Jakiś głos za nim powiedział:

- Jakie to smutne. Biedny chłopak. 1 do tego tydzień w wodzie. - Był to Hammarsten, jak zwykle spóźniony, wśliznął się do środka ze swoim notesem. Pi<sup>^</sup>słaniając usta dłonią, szepnął: - Próby idą dobrze. Ale mam kłopoty z Gowerem. Potrzebuję innego Gowera. -1 zapytał: - Są jacyś krewni?

- Nie, żadnych krewnych - odparł Minty. Pomyślał o swojej matce i o starej ciotce Elli, i szepnął do siebie: - Nie jesteśmy zbyt bogaci w krewnych.

I był jeszcze Baxter, ten, który go zdradził, kiedy przyszła godzina próby, ten, który wyparł się jakiegokolwiek związku z paczuszką od aptekarza z Charing Cross.

- I pomyśleć - szepnęła blondynka u łokcia Hammarstena - że nie dalej niż w zeszłym tygodniu trzymał mnie w ramionach.

Minty skrzywił się. Brak mu było trociczek, żeby pozbyć się tego odoru Chanel. Brak świec zapalonych przed wizerunkami świętych. Brak wszelkich potrzebnych środków, aby wesprzeć przekonanie zrodzone w fantazji, że ten jego czwarty przyjaciel, osiągnąwszy doskonałość, udał się za Connel-

lem w jakieś miejsce, w którym nie ma bólu, nie ma niepowodzenia, nie ma płci. Szepnął:

- Nie panią jedną.

- Taki już on był.

- Miał swoją dziewczynę. Przedstawił mi ją. - Odwołał się do najzaszczytniejszego dowodu zażyłości z Anthonym: Nikt inny poza mną i... jego siostrą nie wiedział o niej.

- Biedny, biedny chłopak - powtórzył Hammarsten. -A gdzie ona? - zapytał zagładając w głąb surowo i jasno połyskującej świątyni przez oprawne w stal i zawieszzone na czarnej tasiemce okulary.

- W Anglii. Ona nic nie wie. Nikt nie zna jej adresu. Przez cały czas jednak wiedział, Minty wiedział, pamiętał

Coventry. To jedyny sekret, jaki zachowa z tej przyjaźni; o tamtym ranku w swoim pokoju starał się zapomnieć, starał się zapomnieć o skąpej ilości mleka, stłuczony filiżance, gościnności głodomora. Sekret przyjaciela przechowywał tak starannie, jak mógłby przechowywać święte relikwie albo kość udową z czasów saksońskich, koślawy najświętszy piszczel; tamtą tabliczkę czekolady, nie zjedzoną, przechowywaną lata całe, aż wreszcie zapodziała się gdzieś, nie przez jego niedopatrzenie, w którejś z niezliczonych przewodzek; zrobione przez Sparrowa swoje zdjęcia z siatką na motyle; egzemplarz *Vademecum Buszmena*, który dostał od Baxtera; a teraz do tego nazwę miasta: Coventry.

- Fatalnie się pan sypnął z tym ogłoszeniem małżeństwa -szepnął Hammarsten. - Szczęście, że nie stracił pan pracy.

Szczęście! - Minty nie mógł powstrzymać się od śmiechu: co za szczęście tkwić tu nadal po to, żeby policzyć wieńce, zapamiętać nazwiska, napisać przewidzianą dla siebie liczbę wierszy i wracać na górę, pięćdziesiąt sześć stopni - czternaście do mieszkania Ekmanów, dwadzieścia osiem do drzwi stojącego pustkami mieszkania z tą jedną parasolką, stalory-tem Gustawa i wreszcie brązowy szlafrok, w szafce kakao, na

kominku Madonna. Ale owszem, po zastanowieniu - szczęście; mogłoby być dużo gorzej.

- A dzisiaj - dodał Hammarsten - ogłoszono listę nowych, pewnych akcji amerykańskich. Życie i śmierć, życie i śmierć... - Rozkaszłał się, rozpryskując na siwą szczecinę i na tużurek trochę zakrzepłej flegmy, podczas gdy za nim, wysoko w powietrzu przetaczało się ponad jeziorem w stronę ratusza z warkotem i hukiem, wznosząc się i opadając jak stadko jaskółek, kilkanaście samolotów; słońce rozpałało ich aluminiowe skrzydła, a hałas silników zagłuszył dźwięk organów.

Dziecko przestało płakać. „Patrz! Patrz!” - zawołało. Coś się wreszcie działo.

Taksując wszystkich zebranych zmrużonymi chytrze oczkami, wymknęła się na zewnątrz kobieta z hotelu; wysypali się urzędnicy (musieli śpieszyć z powrotem do pracy). Bergstenowi szofer pomógł zejść po schodach na ulicę; stary nie był pewny, po co się tu znalazł (można było to poznać po sposobie, w jaki podejrzliwie rozglądał się wokoło, przygotowany, że w każdej chwili coś na niego czyha}. Gullie zatrzymał się chwilę, powiedział coś okolicznościowego do Kate i dopiero na dworze założył monokl. Zauważywszy Minty'ego, usiłował go wyminąć, ale Minty złapał go za rękaw.

- Będzie pan na obiedzie harrowczyków?

- Oczywiście, oczywiście.

- Mam pewien pomysł - oznajmił Minty. - Te odwieczne toasty, ta szkoła, dyrektor i cała reszta tak już dokuczyły człowiekowi, że pomyślałem sobie, że może pan minister powiedziałby coś o literaturze, a pan o sztuce...

- No - odpowiedział Gullie - no, warto się nad tym zastanowić, mój drogi.

- Ale pan jest taki wszechstronny. Mógłby pan też zająć się muzyką albo dramatem... nie mówiąc już o obrządkach...

- Proszę mnie tylko zawiadomić - powiedział Gullie wyrywając się - przysłać zaproszenie.

- Przecież pan tam był wtedy, prawda? Tej ostatniej nocy? - zapytał Minty.

- O czym pan mówi? Gdzie?

- Grał pan z nimi w karty.

- Och, tak. Tak.

- Słyszał pan, co ludzie mówią? Że nawet w takiej mgle nie mógł, ot tak, po prostu wejść do wody.

- Ludzie zawsze będą mówili.

- Był pijany?

- Trochę wypił. Pan sobie nie wyobraża, co to była za mgła. Godzinę mi zajęło, zanim dostałem się do poselstwa.

- Wiem, jaka była mgła - powiedział Minty. - Byłem wtedy na dworze. - Wciąż jeszcze czuję ją w gardle. Sterczałem tam cały wieczór. - Wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął srebrne pudełeczko na zapalki. - Chciałem mu to podarować. - Przekręcił pudełko, żeby pokazać wyryty emblemat. - Mnie nic po nim, bo ja naprawdę byłem w Harrow. On by się ucieszył.

- No, więc wie pan, jaka była mgła.

- Wyszedł z Hallem i nie mogłem zamienić z nim słowa. Chciałem pójść za nimi, ale od razu zginęli mi z oczu. I jakieś dziesięć minut później usłyszałem, jak krzyknął.

- Cholera, co za pech.

- Tak, ale Hall przecież wrócił już po tym krzyku. A musiał być w tym momencie bliżej niż ja i nic nie słyszał.

- Zmyśla pan, Minty. - Minty odwrócił się, żeby popatrzeć na Halla wychodzącego z kościoła, i Gullie się uwolnił. - No, Minty, mój drogi, niech pan przyśle mi zaproszenie na ten obiad.

- Tak, tak, na ten obiad - powtórzył Minty patrząc na zbliżającego się do drzwi Halla; z bezmierną i bezsilną nienawiścią przyglądał się tej cienkiej talii, brązowemu, welwetowe-mu kołnierzowi kurtki; gdyby mógł coś zrobić - ale stał tam, mały pożółkły z wściekłości mściciel, zagradzając Hallowi drogę na ulicę, na zimne, jasne słońce, tłum i samolotowe akrobacje w powietrzu.



- Proszę mi wybaczyć - zagroził mu drogę, pocierając szorstkim od nikotyny językiem o zęby, czując, jak mściwość rozmywa się w tej zwykłej codzienności i staje się już tylko zaczepką, dokuczliwością. - Czy nie ma pan nic do oświadczenia?

- O co panu chodzi? - zapytał Hall. - O jakie znów oświadczenie?

- Przecież - powiedział Minty, dmuchając swoim nikotynowym oddechem w twarz Halla. tak jak dmuchał na kawę, żeby ją wystudzić - przecież jest pan jednym z tych nowych dyrektorów. Zważywszy na całe pańskie doświadczenie, obejmie pan pewno sprawy nowojorskie.

- Nie - odpowiedział Hall - tam jedzie Laurin.

- Ale dyrektor Krogh tyle panu zawdzięcza.

- Posłuchaj pan, żeby nie było żadnych niedomówień - powiedział Hall. - Dyrektor Krogh nic mi nie zawdzięcza. To ja jestem jego dłużnikiem. - Naciągnął swoje obcisłe brązowe rękawiczki. - I gdyby nie to, że co do joty uzgadniamy to, co ja robię, byłby ze mną koniec. - I dodał: - Lepiej niech pan przy mnie nie zawraca głowy dyrektorowi Kroghowi.

- Nie przysłał pan wieńca. Czyżby między panem a nim nie było zgody?

- Nie - odpowiedział Hall.

Zaczekał przy wejściu, aż pojawi się Krogh, i obydwaj odeszli do auta, zachowując dystans paru stóp i nic nie mówiąc. Tłum przybyły na pogrzeb stał w milczeniu. Oto mózg i ręka: ciężkie chłopskie ciało skrępowane przedpołudniowym strojem, uciśnięte kołnierzykiem, i ręka - narzędzie zniszczenia. Cienka talia i wysadzane drogimi kamieniami, skrzącymi się jak szron spinki do mankietów. Nie mieli sobie nic do powiedzenia; to, co leżało pomiędzy nimi, dzieliło ich, jednego i drugiego, tworzyło samotność podczas tej wspólnej jazdy, w niczym nie przypominało sprawy tak prostej jak śmierć, będąc czymś tak bardzo skomplikowanym jak miłość mężczyzny i kobiety.

Kiedy odjechali, ludzie zaczęli się rozchodzić. Nie było na co czekać. Nie było już na co patrzeć. „Patrz - powiedziało dziecko - patrz” - i podreptało niezdarnie chodnikiem potykając się o krawężnik, zapatrzone w samoloty.

- No - powiedział Minty - muszę jechać do redakcji, puścić to do numeru. - Nie wiedział, jak z nią rozmawiać, była kobietą i już samo to, wyzwalało jego złośliwość. - Fatalnie mnie wystawił do wiatru z tym waszym małżeństwem.

- Mieliśmy się pobrać.

- Ach tak - zmieszał się Minty. - Muszę zmykać. Może się jeszcze zobaczymy. Gdyby pani chciała zawrzeć ze mną umowę... - Pragnął uciec; brzydził się perfum, jedwabnych pończoch, pudru, kremu; niby jakiś mały, zadymiony Savonarola wykręcał nos ze wstrętem; aby na nowo poczuć się czystym, będzie musiał wypić swoje kakao przy gazowym liczniku, pod zdjęciem swojej klasy. Aż podskoczył, kiedy do niego przemówiła, nie był przyzwyczajony, by ktoś podtrzymywał z nim rozmowę - każdą kobietę, która zadała sobie trud, żeby z nim porozmawiać, gotów był podejrzewać o najgorsze.

- Pan słyszał, że on krzyknął. A ja nic nie słyszałam. Ja nic nie czułam.

- Tak, ale nic nie widziałem - powiedział. - Nic nie było widać. A kiedy Hall wrócił, myślałem, że wszystko jest w porządku.

- Erik i Hall - mówiła Kate - pokłócili się.

- Myśli pani... - zaczął Minty - że Hall...

- Czy myślę? - powtórzyła Kate. - Ja wiem.

Zadygotał wobec tej pewności, ponieważ, jeśli ktoś ma pewność, powinien coś zrobić, a cóż, pomyślał z kwaśną litością dla samego siebie, może zrobić Minty?

- Dlatego to Laurin jedzie do Nowego Jorku - powiedziała Kate.

- Pani, oczywiście, zostaje? - zapytał z pogardą.

- Nie - odparła Kate. - Ja odchodzę.

- Och, to świetnie - ucieszył się Minty - świetnie. To ich do-

piero zaboli. Nic lepszego nie mogła pani wymyślić? Ostatecznie to był pani brat, a dla mnie tylko... - cofnął się przed słowem „przyjaciel”. Wzbudzała w nim pełen czci lęk tym spokojem i bogatym żalobnym strojem: nie miał prawa do niczego więcej niż znajomość; odbierała mu trochę Anthony'ego samym wyglądem swoich rękawiczek, bucików i płaszcza wprost z żurnala.

- Och - powiedziała. - Parę dni temu mogłam ich zniszczyć. Starczyłoby słówko do Battersona. Ale co by mi z tego przyszło? I złodzieje mają swój honor. Wszyscy jedziemy na tym samym wózku.

- On nie był złodziejem - oświadczył Minty broniąc Spar-rowa, Connella, Baxtera...

- Wszyscy jesteśmy złodziejami - powiedziała Kate. - Tu i tam, i wszędzie, gdzie się da, kradniemy środki do życia nic nie dając w zamian.

- Socjalizm - skrzywił się Minty.

- Och, nie - zaprzeczyła Kate. - Socjalizm to nie dla nas. Na rym naszym wózku nie ma miejsca na braterstwo. Tylko dla tych, którzy potrafią wykroić jak najwięcej dla siebie i którzy potrafią pływać.

Samoloty powróciły nad jezioro, zostawiając za sobą nad Sztokholmem pierzasty ślad, cieniutką smugą dymu wypisane: WYROBY KROGHA, WYROBY KROGHA. K zacierało się, gdy rysowały A.

- Więc wraca pani do Anglii? - zapytał Minty, wspominając pięćdziesiąt sześć schodków, nie zajęte mieszkanie, Włoszkę na trzecim piętrze.

- Nie - odpowiedziała Kate - przenoszę się tylko. Jak Anthony - ... trociczki, skondensowane mleko, filiżanka (o filiżance zapomniałem) - Do pracy w Kopenhadze - ...mszał na szafce. Madonna, pająk skurczony pod szklanką, dom z dala od domu.